

JULIUSZ
MAKAREWICZ



U.S.A.
KARTKI Z PODROZY
PO STANACH
ZJEDNOCZONYCH



NAKŁ. TOW. WYD. "ATENEVM"

U. S. A.

KARTKI Z PODRÓŻY
PO STANACH ZJEDNOCZONYCH

876

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Copyright by Juljusz Makarewicz — 1929 — Lwów.

PROF. DR. JULJUSZ MAKAREWICZ

SENATOR R. P.

U. S. A.

KARTKI Z PODRÓŻY
PO STANACH ZJEDNOCZONYCH



L W Ó W

NAKŁAD TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO »ATENEUM«

1929

MUZEUM
im. Kazimierza Pułaskiego
Winiary k. Warszawy

114. 620

Muzeum im. Kazimierza
620
Warszawa

Poco wyjechałem do Stanów Zjednoczonych?

Od wielu lat, poprostu od chwili, kiedy zacząłem zajmować się światem społecznej patologji i terapij, światem przestępczości i odpowiedzi społecznej na przestępstwo, natrafiam ciągle na pomysły amerykańskie o zdumiewającej często śmiałości, o daleko sięgającym radykalizmie w rozcinaniu węzła gordyjskiego splątanych problemów. Trzeba było to raz zobaczyć na miejscu, w codziennem użyciu, trzeba to było zobaczyć, zanim przedstawimy społeczeństwu polskiemu projekt polskiego kodeksu karnego oparty na długoletnich studjach i rozmyślaniach, owoc pracy indywidualnej i zbiorowych rozważań.

Sprawy społecznej patologji nie można oderwać od społecznego życia, to też, wyjechawszy w ściśle określonym zamiarze badania kryminalistyki amerykańskiej, nie mogłem zamknąć oczu na tętniące życie tego dziwnego społeczeństwa, przedstawiającego niesłychanie ciekawy typ, bajeczny wprost materiał do badań dla socjologa.

Kto chce zdać sobie sprawę choć w przybliżeniu z tej wielkiej retorty, w którą wszystkie części kuli ziemskiej wrzucały i wrzucają jeszcze swoich ludzi, ten musi pamiętać, że USA to nie są masy prowadzone przez wybitne jednostki, a masy, które same tworzą

swoją indywidualność. Trzeba koniecznie w te masy wejść, nie wystarczy rozmawiać z ludźmi mniej, lub więcej wybitnymi, bo ci ludzie albo poprostu nie mają wpływu na wypadki społeczne i polityczne albo są tylko wykładnikiem ruchu społecznego.

Kiedy przed wielu laty, jako młody student, zwiedzałem parlament wiedeński, natrafiłem przypadkowo na mowę Luegera, podówczas jeszcze opozycyjnego mowcy. Mówił on, zwrócony do ław swych przeciwników politycznych:

„Panowie wtykacie swe nosy w książki (Sie stecken Ihre Nasen in die Bücher), ja badam życie ludu (das Leben des Volkes)“. Tę metodę stosować należy w pierwszej linii do USA. Ale jakżeż trudną jest ta metoda w zastosowaniu właśnie do USA, do studwudziestu milionów mieszkańców, rozrzuconych na przestrzeni odpowiadającej wielkością całej Europy.

W zapiskach moich unikać będę o ile możliwości uogólnień z obawy przed zarzutem, może słusznym, braku dostatecznych podstaw. Jeżeli czasem pozwolę sobie na generalizowanie, choćby w ciasnym zakresie, to będzie to owoc już nie spostrzeżeń indywidualnych, a rozmów z szeregiem ludzi z różnych stanów i badań niepodejrzanych źródeł.

Dla zrozumienia tego, co widziałem, a co może wydać się przejawskrawionem, proszę przyjąć z góry kilka zdań ludzi miejscowych.

W jednym z ostatnich zeszytów czasopisma *Journal of the American Institute of Criminal Law and Criminology* znajdują takie uwagi:

In America every street corner or country grocery store holds embryo congressmen or presidents. The government and citizenship here in America being one and the same, the citizens have not the awe and reverence for government that they have in England.

(W Ameryce każdy róg ulicy lub wiejski sklepik posiada załazek członka parlamentu lub prezydenta. Rząd i obywatele tu w Ameryce są jednym i tem samem, wobec czego obywatele nie mają dla rządu tego poszanowania, jakie mają w Anglii).

The prosperity of the masses of the American people is probably unexampled in the history of the world. Carpenters and washerwomen ride to their work in motor-cars“.

(Zamożność mas ludu amerykańskiego jest prawdopodobnie bez analogii w dziejach świata. Cieśle i praczki jeżdżą do pracy samochodami).

Nad życiem społecznem zaciążyła — kobieta, nie jedna kobieta, w rodzaju Aspazji czy Mme Pompadour, lecz kobieta, jako płeć. Dlaczego i jak? to odrębna kwestja, którą omówić trzeba osobno. Obecnie wystarczy przytoczyć zdanie (także kobiety) pani Helen Rowland, specjalistki od spraw kobiecych na łamach *New York Evening Journal* o Amerykance i amerykańskiej rodzinie.

The rise of the average American family: three generations from shirt sleeves to pyjamas parties, and from bare feet to bare legs...

(Ewolucja przeciętnej rodziny amerykańskiej jest następująca: trzy generacje od koszul z rękawami dochodzą do zebrania w pidżamach, od bosych stóp do gołych nóg).

Oto charakterystyka USA, która rzuca się w oczy: bogactwo mas, mnóstwo ludzi świeżo wzbogaconych, wielkości politycznych wczoraj nieznanych, kobiet starających się o pozory dam wielkiego świata, nie przebiegających w sposobach zdobycia męża, niesłychane możliwości życiowego powodzenia. Al. Smith, wychowanek ulicy, dziecko imigrantów irlandzkich, dziś jest gubernatorem Stanu Nowy York, największego, kulturalnie dominującego, kandydatem na prezydenta republiki. Drugi kandydat — Hoover zaczynał także od najniższych szczebli drabiny społecznej. Ford, robotnik przed czterdziestu laty, ma dwa miliardy dolarów majątku. Czem będzie jutro skromny człowiek, z którym dziś rozmawiam? któż to może wiedzieć?

Pod godłem Stanów Zjednoczonych powinien widnieć podpis: *Prosperity - Opportunity* (zamożność, wielkie szanse).

Ten skromny człowiek, z którym rozmawiam, to nietylko możliwy kandydat do wszystkich godności, stanowisk i do majątku, ale to także człowiek, który wytwarza opinię publiczną, a niema społeczeństwa, w którym opinia publiczna miałaby autorytet i wpływ równie wielki...

„Opinia publiczna w USA (według James Bryce *The american commonwealth*) stoi ponad stronnictwami, zimniejsza i o szerszych horyzontach niż stronnictwa, jest postrachem dla przywódców politycznych i organizacji partyjnych. Nikt otwarcie nie ma odwagi przeciw

niej wystąpić. Ona oznacza kierunek i charakter polityki państwowej. Opinia publiczna jest wytworem większej ilości umysłów, niż w jakimkolwiek innym kraju...”

Któż są ci ludzie, którzy wytwarzają opinię publiczną? ludność USA to owoc imigracji, wszak ludność pierwotna (Indjanie) mieszka w pewnych tylko okręgach (rezerwacjach) i nie gra żadnej roli, ani pod względem liczebnym, ani kulturalnym. To, co się nazywa: „we Americans“, to ma z Ameryką związek stosunkowo niedawny, u jednych liczy się na dziesiątki lat, u innych na dziesiątki miesięcy. Ambicją tych przybyszów jest wykazywać pochodzenie od emigrantów europejskich z XVII wieku; o ludziach dumnych na swą „dawność“ mówi się, że noszą Mayflower (nazwa okrętu) w butonierze. Ci „dawniejsi“ — to amerykańska arystokracja „rodowa“, która o innych urodzonych zagranicą, lub pochodzących od urodzonych zagranicą mówi jako o obywatelach „obcego pochodzenia“. Ci „obcy“, pozbawieni są przez dwie generacje rzeczywistego, faktycznego zrównania z resztą, stanowią rodzaj skartabelatu polskiej szlachty (scartabellus — nowy szlachcic — nie miał dostępu do godności państwowych przez dwie generacje).

Takich amerykańskich skartabellów jest trzecia część ludności — około czterdzieści milionów, przedstawiających trzydzieści ośm języków i tysiąc sto pięćdziesiąt czasopism. Jeżeli się uwzględni, że nawet Amerykanie stuprocentowi dochowują w życiu, czy w języku trady-

cje różne (są „dawne“ rodziny francuskie mówiące po francusku), to stwierdzić należy, że USA pod względem składu etnicznego są niebywałym konglomeratem. Stuprocentowi Amerykanie pragną z tego zlepku zrobić stop, z konglomeratu — aljaż o podkładzie kultury anglosaskiej. Narazie w amerykańskiej retorcie kotłują rozmaite czynniki, a co z tego wyniknie, czas dopiero okaże.

Ustawa (z r. 1924) ograniczająca imigrację skierowaną jest przeciw Słowjanom, ludom Romańskim i rasie żółtej, bo te czynniki najtrudniej się rozplývają w morzu amerykanizmu, a zarazem wykazują największą skłonność do imigracji.

Mimo to, drogą legalną, czy nielegalną przybywa co roku około pół miliona nowych ludzi tego właśnie typu trudnego do strawienia.

Pytałem stuprocentowego Amerykanina o przyczyny zamykania granic dla imigracji i przyczyny forsownej amerykanizacji, odpowiedział: przede wszystkim nie chcemy u siebie obcej „kolonizacji“, następnie czynimy to dla podniesienia etycznego ludności, gdyż dzieci imigrantów patrzące z lekceważeniem na rodziców nie mówiących po angielsku, tracą poszanowanie autorytetu nie tylko rodziców, ale autorytetu wszelkiego.

Stuprocentowi Amerykanie zamykają granice dla imigracji i czekają na wyfermentowanie się obecnego społeczeństwa — wydanie nowego, jednolitego typu

Amerykanina. Czy tysiąc sto pięćdziesiąt obcojęzycznych czasopism przestanie wychodzić? czy czterdzieści milionów przestanie je czytać?

Pewnem jest, że USA są terenem nie tylko szybkich zmian w stanie posiadania majątkowego, ale także terenem zmagania się typów najróżniejszych. Ktoby próbował podać cechy przeciętnego Amerykanina w jakimkolwiek kierunku, podjąłby się zadania zbyt trudnego.

Co wspólnego mają ci ludzie? chyba pociąg do wytwórczości i wielką pracowitość. Jednak nie wszyscy Amerykanie są ludźmi businessu.

W dodatku USA nie są jednym państwem, a związkiem państw najróżniejszych, o odrębnym ustawodawstwie, odrębnym klimacie, — państw różnorodnych tak pod względem typu przyrody, jak uprzemysłowienia, rozwoju kultury umysłowej i poglądów moralnych. Komu źle jest w jednym stanie, może dobrze czuć się w drugim.

Zamożność, łatwość zrobienia kariery, kalejdoskop...

I.

Moje pierwsze zetknięcie się ze Stanami Zjednoczonymi nastąpiło w lipcu 1928 — w Warszawie przy ul. Foksał nr. 3. A było to tak. Moi koledzy i znajomi dowiedziawszy się poufnie (wyjazd starałem się utrzymać możliwie w tajemnicy) nie wiadomo skąd, że udaję się w podróż naukową do Stanów, ofiarowali mi swą pomoc polegającą na wystawieniu listów polecających. Jeden z nich polecał mnie władzom amerykańskim imieniem Komisji Kodyfikacyjnej R. P., drugi imieniem międzynarodowego zbliżenia intelektualnego prawników, (może mylę się co do tytułu). Oczywiście było to bardzo pocziwie. Listy te dwujęzyczne, opatrzone podpisaniami i pieczęciami odpowiednich instytucji przyjąłem, dziękując uprzejmie. Człowiek ma tak mało przyjaciół na świecie, nie trzeba zrażać ludzi życzliwych... Wiedziałem doskonale, że władze amerykańskie bardzo niewiele robią sobie z europejskich papierów najbardziej oficjalnych, że więcej znaczy prywatny list obywatela U. S. A. do jakiegokolwiek znajomego dygnitarza pisany, niż setki pism urzędowych europejskich. To też więcej dawałem na plik listów prywatnych tego typu, które miałem już w biurku, niż na pocziwe przecenianie naszych wielkości. Z ostrożności jednak (nigdy nie zaszko-

dzi) postanowiłem starać się o oficjalne polecenie od dygnitarza (amerykańskiego) do dygnitarza (amerykańskiego). Prosta rzecz, od czego telefon? zwróciłem się do poselstwa z zapytaniem, czy mogę w tej sprawie liczyć na pomoc. Otrzymałem odpowiedź po polsku od jakiejś damy, że p. sekretarz mnie oczekuje... W zacisznym pałacyku wśród ogrodów na końcu (czy na początku) Foksalu (licząc od Nowego Świata był to raczej koniec) zastałem wysokiego człowieka świetnie zbudowanego, doskonale ubranego, który rozpoczął rozmowę po francusku, ale chętnie przyjął propozycję rozmowy angielskiej. Otrzymaawszy wyjaśnienie, że chodzi tu o rzecz delikatną — o prawo wstępu do więzień pewnego typu w U. S. A. — znikł na chwilę, poczem wróciwszy krokiem przyspieszonym zawiadomił mnie, że — pan minister prosi... Pan Minister równie pysznie zbudowany, wykwintnie ubrany, przyjął mnie w miłym, chłodnym salonie (na ulicy było 35 stopni Celsiusa w cieniu). Niezmiernie przyjaźnie odniósł się do mojej całej imprezy, przypuszczam, że miło mu było słyszeć podany jako matter of fact rzut oka (oczywiście w stylu telegraficznym) na historję i stan więziennictwa w Stanach. Kilka niezmiernie zręcznie postawionych pytań co do mojej identityczności doprowadziło do wyjaśnienia sytuacji. Otrzymałem przyrzeczenie, że p. minister napisze list do swego przyjaciela — gubernatora Pensylwanji (co za zbieg okoliczności — Pensylwanja była ojczyzną nowo-

żytnego więziennictwa. Eastern Penitentiary wybudowane przed przeszło stu laty było w swoim czasie sensacją światową).

List do gubernatora oznaczał klucz do Pensylwanji. Gubernator jest poprostu prezydentem danego kraju — nie potrzebuję przypominać, że Stany Zjednoczone są związkiem państw. Pensylwanja liczy około dziesięć milionów mieszkańców. P. Minister zapewnił mnie, że gubernator Pensylwanji nie tylko ułatwi mi co można w swoim państewku, ale także poleci mnie dalej.

To się nazywa po amerykańsku. Przytem miły nastrój, w jakim toczy się rozmowa, swoboda (pan minister nie zapomina, że amerykańskie krzesło przy biurku posiada sprężynę, która pozwala przyjmować swobodną pozycję, a nawet używać ruchu). Pan minister odprowadził mnie do drzwi swego salonu, co uważałem za zwykłą uprzejmość towarzyską, ale pan Minister wyszedł za mną i podążył do sekretarza, by mu udzielić odpowiednich wskazówek. W Europie p. minister dzwoni na woźnego i każe prosić pana sekretarza. Wyszedłem do hallu, za chwilę wybiegł pan sekretarz, który potrzebował pewnych wyjaśnień, w Europie p. sekretarz wysłałby woźnego (w przedpokoju było dwu).

Zapomniałem nadmienić, że p. sekretarz urzęduje w obszernym pokoju, ale razem z damą piszącą na maszynie w czasie, kiedy się rozmawia, a rozmowa toczy się przy drzwiach otwartych do przedpokoju, w któ-

rym siedzą woźni. Widocznie zasada jawności, jak w nowożytnym procesie karnym. Inny świat...

Nazajutrz zamiast przyobiecanego jednego listu — otrzymałem listów pięć...

II.

Nie mam zamiaru odkrywać Berlina, bo uczynił to już przed trzydziestu laty Bolesław Prus w swoich listach z podróży. Był tam dokładny opis bramy Brandenburskiej i ulicy pod Lipami. Ograniczę się do stwierdzenia, że Berlin dzisiejszy jest inny, niż był za czasów glorii des Reise- und Rede-Kaisers. Zaryzykuję nawet twierdzenie, że mało go przypomina, pomijając oczywiście to, co tak łatwo nie ulega zmianom, jak sam układ miasta, architektura.

Znikła sławna czystość w utrzymaniu ulic, znikły pikethauby i srogie miny urzędników, znikła kultura militarna, rzucająca się w oczy przy każdej sposobności. Być może, że jest jakieś zakonspirowane pogotowie wojenne, ale gołem okiem ani sposób go dojrzeć. Znikła jaskrawa niemieckość miasta wołającego dawniej do przechodnia natarczywie: Deutschland, Deutschland, ueber Alles...

Zostało miasto niemieckie (zapewne), wielkie, rozrzucone, praktycznie zabudowane, z wielką ilością drzew w środku miasta i na peryferji, w ogrodach i na brzegach chodników, ale prusactwa już nie czuć.

Niema już Drillu, nikt i nic nie stoi już stramm, jak dawniej.

Jest uprzejmość wobec obcych, dla których założono rozmaite agencje, ułatwiające podróżowanie i zwiedzanie miasta (a więc zur Hebung des Fremdenverkehrs).

Drzewa, to nie okazy siły i zdrowia z niemieckiego lasu, a anemiczne, zatrute benzolem lipy. Nawet kobiety są inne. Dawniej po Friedrichstrasse snuły się liczne, rozłożyste Brunhildy, obecnie przeważa modny typ cienkich kończyn, wąskich bioder, zda się ruchoma wystawa gruzlicza pod znakiem niedożywienia. Ach ta moda...

Niema stylu dawnego, są cechy przeciętności między narodowej; jest nowość — Gemütlichkeit, jak gdyby wieńska.

Została Siegesallee ze swoim rzędem dynastycznych pomników (Simplicissimus dał w swoim czasie doskonały rysunek: Wie der kleine Willy spielt).

Dynastyczne pomniki razem ze złoconą Victorją robią wrażenie... zabawne. Dawniej była to buffonada brutalnego siłacza, a dziś „miałeś chacie złoty róg, został ci się tylko sznur“...

Wieczorem wyjechałem do Kopenhagi.

Nasuwa mi się myśl, czy między kinoteatrem a pospiesznym podróżowaniem niema punktów stycznych. Tu i tam szybka zmiana wrażeń, odpowiadająca psychice człowieka nowożytnego. Nie chcę przez to powiedzieć, że jestto mój gust, kinoteatru nie lubię, a szybko podróżuję z konieczności.

Zestawienie kinoteatru z podróżą wypadnie najlepiej

w języku angielskim, który jak wiadomo dla kinoteatru ma wyrażenie *moving pictures*.

Na pytanie: *what is the difference between moving pictures and travelling* brzmiałaby odpowiedź: *To see moving pictures I'm seated, travelling I'm moving to see pictures.*

Boże, jeżeli jakiś Anglik już wpadł na tę grę słów, jestem zgubiony.

Kopenhaga. Mam ją opisywać na podstawie dwudniowej znajomości? może tak, jak p. Alice Schalek (Wiedeń), która przed dziesięciu laty przeszedłszy od dworca krakowskiego przez ulice Florjańską i Grodzką, twierdziła (N. Fr. Presse), że Polki mają nosy zakrzywione, włosy kędzierzawe, czarne lub rude...

Zaprawdę powiadam Wam, że w ślady jej nie pójde, natomiast uczynię zwierzenie, oto nie znałem dokładnie historii duńskiej, nie wiedziałem dotąd o ciekawym epizodzie, na którego ślady natknąłem przy zwiedzaniu muzeum dynastycznego (zwanego „chronologiczna kolekcja królów duńskich“) na zamku Rosenborg.

Działo się to w r. 1665, a zatem w siedmnaście lat po ukończeniu wojny trzydziestoletniej. Danja miała podówczas rządy szlachty wybierającej króla jak w Polsce. W pamiętnym tym roku 1665 wybiera się do króla tłumna deputacja kleru i włościanstwa prosząc, by zechciał panować jako władca absolutny — bez parlamentu. W zamku Rosenborg wisi obraz przedstawiający w sposób naiwny owe masy ludu, domagające się od

króla, by wprowadził absolutum dominium, co też w drodze uchwały Stanów nastąpiło.

Było to w czasach, gdy w Polsce absolutum dominium było straszakiem, który demagogowie szlacheccy w zręczny sposób umieli wyzyskiwać.

A jednak w tych czasach Hobbes stwarzał całą teorię dla uzasadnienia absolutyzmu.

Owa deputacja duńska, to jakby realizacja umowy społecznej na zjednoczenie (*pactum unionis*), za którą szła umowa poddańcza (*pactum subiectionis*).

Gdyby tak po zwycięstwie pod Wiedniem Sobieski był urządził sobie taką deputację...

Szczegół w każdym razie charakterystyczny; masy nie tyle łakną wolności, ile dobrobytu, gotowe się rzec samostanowienia (tak brzmi odpowiednie wyrażenie), byle było lepiej. Wolności domagają się wtedy, gdy absolutyzm im dopieka. Każda forma rządu ma swe dobre i złe strony; którą wybrać należy, to kwestja gustu, układu stosunków politycznych i społecznych, zbiegu okoliczności.

III.

Jedziemy statkiem towarzystwa duńskiego Scandian American Line, największym jaki posiada (Fryderyk VIII), największym, to nie znaczy, żeby był nadmiernie wielki, ma displacement 18.000 ton, daleko mu do Lewiatanów, Majesticów itp. Ażeby się dostać do tamtych

mocarzy, przedstawiających przeciętnie około 50 tysięcy ton, trzeba od nas odbyć długą podróż kolejową przez całą Europę. Perspektywa ta jako program na lato wcale mi się nie uśmiechała, wołałem prędzej dostać się nad morze. Najprędzej byłoby poszło jadąc do Gdańska, a stamtąd albo linią bałtycką (Baltic America Line), albo małym stateczkiem do Kopenhagi i stamtąd dopiero właściwym parowcem transatlantyckim.

Baltic-America-Line rozporządza mniejszymi okrętami, a stateczek przewozowy do Kopenhagi nie ma nawet tysiąca ton. Wiem z doświadczenia, że Bałtyku lekceważyć nie należy, o ile chodzi o siłę kołysania, kilkogodzinna wycieczkę przypłaciłem dobrym bólem głowy. Jechać taką łupiną dwadzieścia kilka godzin nie leżało w moich zamiarach, wybrałem drogę pośrednią: do Kopenhagi koleją; zrobiłem dobrze, słyszałem od towarzyszków podróży, że przejazd z Gdańska do Kopenhagi był nie tyle może dramatyczny, ile nie-estetyczny.

Okręt należy do towarzystwa silnie i skutecznie zabiegającego o pasażerów z Polski, w kabinach umieszczono pouczenia w trzech językach: duńskim, angielskim i — polskim, w Kopenhadze jest urzędnik — Polak, na statku muzyka nie zapomina o repertuarze polskim, grają „Boże coś Polskę“ z wielkiem uczuciem i dużym sukcesem, publiczność polska oklaskuje entuzjastycznie. (Grają także „Bal u weteranów“ jako Alleluja-Foxtrott — Katschera).

Z natury rzeczy okręt ma charakter wybitnie skandynawski, służba rozumie po angielsku, ale władza tym językiem słabo, publiczność przeważnie skandynawska (Duńczycy, Szwedzi, Norwegowie), język towarzyski jednak jest angielski, nie widać tendencji do nacjonalistycznych separatyzmów, a językiem wspólnym dla ludów północy europejskiej jest język angielski, tak jak dla austriackich Słowian była *die allgemein verständliche slavische Sprache — die deutsche Sprache*.

Czy skandynawskim pasażerom przychodzi choć na chwilę do głowy, że mogliby szukać innego sposobu porozumiewania się? nie przepuszczam.

Opowiada mi Szwedka, jak niebezpiecznie jest, będąc w towarzystwie mieszanem skandynawskim używać własnego języka (jak to często uprawiają Słowianie). Zdarzyło się jej znajomej, że przyjechawszy do Kopenhagi rzekła do szofera *Kör mig till ett roligt ställe*, co znaczyło po szwedzku „proszę mnie zawieść do jakiegoś miłego (wesołego) miejsca“. Po duńsku znaczyło to samo, z wyjątkiem wyrazu *roligt*, który po duńsku oznacza: odludny, spokojny.

Szofer zawiózł Szwedkę — na cmentarz...

Moja sąsiadka wyciąga stąd daleko idące konsekwencje, wyszedłszy zamąż za Duńczyka (w Stanach) rozmawia z nim po angielsku, boi się widocznie, by przez językowe nieporozumienie nie zawiózł jej na cmentarz...

Znaczna część tych Christiansenów, Jansenów, Josephsenów, Hansenów, Larsenów, podaje oficjalnie jako stałe miejsce zamieszkania U. S. A. Wracają z Europy przeważnie żony do mężów zarobkujących w Stanach, wracają po kilkumiesięcznym pobycie, jedna odwiedzała matkę, która złamała kość miednicową w 77-ym roku życia, druga pojechała do Szwecji, by się odżywić na łonie rodziny i odetchnąć powietrzem świeżem morza i gór, inna chciała poprostu odwiedzić krewnych, których dawno już nie widziała.

Jedna z tych dam w ciągu pobytu swego dwudziestopięcioletniego w Stanach odbyła podróż do Europy i z powrotem piętnaście razy. Czy to jednak taka sztuka, jeżeli mąż mieszka na przedmieściu Nowego Yorku, a matka w okolicy Kopenhagi? Poprostu jestto kwestja pularesu i wrażliwości na kołysanie. Przebywanie przez siedm do dziesięciu dni na świeżem, morskiem powietrzu w towarzystwie ludzi spokojnych (jestto następstwo nie tyle wrodzonej cnoty, ile morskiego powietrza i morskiej — choroby w stadjum energii kinetycznej lub przynajmniej potencjalnej), czy jestto ryzyko tak wielkie?

Jadą nawet młode panny — same, z pewnością mniej im tu grozi, niż na lądzie. Każdy pasażer jest tu kilkakrotnie zarejestrowany, pozostaje pod ciągłą kontrolą, nawet w chwilach intymnych (może potrzeba pomocy?).

Nawet młodzi ludzie nie uprawiają tu zabawy towarzyskiej zwanej u nas flirtem. Jest stosunek przyjacielsko-

koleżeński, ale nie ma miejsca na „ciche rodaków rozmowy“ po kątach.

Nad wszystkim panuje jakaś dziecinna naiwność i pogoda ducha. Ludzie dojrzałi zabawiają się przesuwaniem po pokładzie drewnianych krążków (Shuffle Board) całemi godzinami, gra polega na tem, by krążek wpadł w stosowny kwadrat, kredą zaznaczony na deskach. Każdy kwadrat przedstawia jakąś matematyczną wielkość, kto prędzej osiągnie cyfrę sto, jako wynikową — wygrywa.

Ile przy tem wybuchów żywiołowej wesołości, zwłaszcza, jeżeli grający mimowoli przesunie krążek przeciwnika na lepsze miejsce (I thank you!). Nie gra się o pieniądze, nawet w bridgea. To psułoby nastrój.

O nastrój starają się tu wszyscy, świadomie czy nieświadomie. Mam uczucie, jak gdyby myśli wszystkich krążyły koło jednego punktu: co robić, by nie zachorować. Choroba morska jest niewątpliwie ostrym atakiem nerwicy żołądka. Nie zapadnie na nią, kto system nerwowy, a zwłaszcza nerwy żołądka ma w porządku, dlatego starać się należy o spokój, lekarz poleca jak najwięcej snu, nie czytać wiele. Mamy kinoteatr, ale program o tak rozbijającej naiwności, że gustować w nim mogą tylko dzieci do lat dziesięciu. Mamy telegraf bez drutu, który raczy nas depeszami ze świata, pozbawionemi podkładu politycznego i wszelkiej sensacyjności. Przypominają się nastroje sanatoryjne, między

innemi znane zjawisko: zainteresowanie wzajemne zdrowiem bliźniego.

Ataki choroby traktuje się humorystycznie, sam pacjent nie stanowi wyjątku; *il faut faire une bonne mine...*

Siedzę przy okrągłym stole w towarzystwie sześciu niewiast (od 25 do 55 lat) i lekarza okrętowego. Przy deserze nagle wybucha wesołość żywiołowa, niewiasty trzymając w ręce jabłko zaśmiewają się, powtarzają po kilka razy jakieś przysłowie angielskie, którego osią jest jabłko. Robi to wrażenie, jak gdyby chodziło o aluzję do jabłka w raju — z owego pamiętnego drzewa wiadomości dobrego i złego, może o aluzję do stosunku Ewy do Adama (i sama jadła i jemu dała...). Poczciwy lekarz, nie biorący udziału w ogólnej wesołości podaje mi dokładną treść przysłowia — bardzo higienicznego: *one apple a day keeps the doctor away*, czyli jabłko uwalnia od wizyt lekarskich. Przypuszczalnie wesołość wynikała z faktu, że przy stole siedział lekarz (miał minę słodko-kwaśną).

Nie przypominam sobie, by udało się komu u nas tak prostymi środkami wywołać takie nastroje. Słyszałem dowcipy okolicznościowe (aluzje do spożywanych potraw np. do szparagów), ale mówiło się je półgłosem i po francusku np. *quel est le comble de l'innocence?* Położenie było zupełnie inne. Mam uczucie, porównując nasze obyczaje i zwyczaje z obcemi, że podniecenie erotyczne w Polsce marnuje wiele naszych przyrodzonych

zdolności i sprowadza energję życiową na fałszywe tory.

Jedną z zabaw towarzyskich na pokładzie jest — jedzenie. Aczkolwiek lekarz twierdzi, że na pokładzie wszyscy są głodni i śpiący, to jednak nie mogę uwierzyć w ten stopień głodu, który każe jeść niemal bez przerwy. Rano o siódmej jest kawa, herbata itp. O ósmej jest uroczyste śniadanie (breakfast), przy którym podaje się owoce (doskonały grapefruit pochodzenia podobno kalifornijskiego), ciepłe potrawy, jajecznicę z szynką, jaja w rozmaitej postaci, oczywiście marmelady itp. i znowu kawę, herbatę itp., o jedenastej roznoszą buljon z dodatkami, o pierwszej luncheon z jedną potrawą ciepłą i szeregiem zimnych, znowu kawa, herbata itp. O trzeciej min. 30 znowu kawa itp. z ciastem francuskim, o siódmej obfity obiad, o pół do dziesiątej sandwiche (zwane u nas kanapkami) z herbatą. Obok tego istnieje bar, otwarty od ósmej rano do 23.30 w nocy, w którym można nie tylko zakrapiać się cocktailami, ale także dostać coś dla posilenia nadwątłego podróżą organizmu.

Jakie zdrowie mieć trzeba, by to wszystko wytrzymać. Dla osób niedożywionych, a mających silny przewód pokarmowy, możnaby polecić wycieczkę okrętem transatlantyckim jako kurację (Niemcy nazywają to Mastkur).

Statki Scandinavian Line zaczepiają po drodze do

Nowego Yorku także o inne miasta. Nasz statek Fryderyk VIII przygotował nam tylko dwie stacje: Chrystjanję, nazwaną niedawno Oslo (jestto jedna z postaci zaznaczania norweskiej, odrębnej kultury... z dziada, pradiada) i Halifax w Kanadzie. Osobiście nie gniewam się na możliwość zobaczenia czegoś „po drodze”. Chrystjanja leży w głębokim fjordzie (zatoce wąskiej, wrzynającej się daleko w głąb lądu). Miasto przedstawia właściwości odrębne w stosunku do Kopenhagi. Kopenhaga czystością przypomina Holandję, architekturą miasta niemieckie, naogół biorąc, nie daje wrażeń silnych. Chrystjanja już na samym wstępie w porcie, który osiągamy po kilkogodzinnej przesuwaniu się wśród skalistych brzegów i kamienistych wysepek, daje nam do poznania, że jesteśmy w królestwie wody i gór. Skała i kamień, morze i rzeka, oto Norwegja. Odbija się ta mnogość kamienia także w architekturze, która w monumentalnych budowlach umie z tego szlachetnego materiału wydobywać rzeczy piękne. Conajmniej cokoły domów i schody korzystają z tego, co natura dała w takiej mnogości.

Góry i morze dają w szczęśliwej kombinacji niezwykłe powietrze, którem się oddycha. Nad brzegiem posmak słonawy, tak znamienny. Kilkaset metrów dalej strefa kombinowana, a nieco w głąb lądu już powietrze górskie. Wyobrażam sobie, że możnaby lato spędzić w Chrystjanji, nie jadąc dalej, to też nie widać tam tego

wyludnienia, które charakteryzuje miasta europejskie w lecie. Czuć jednak, że Chrystjanja jest bramą wypadową dla wycieczek dalszych, w głąb kraju. Na głównych ulicach przeważają księgarnie z planami, podręcznikami, przewodnikami, fotografiami piękności norweskiej przyrody, biura podróży, kioski z dziennikami, wszystko tu przygotowane dla obcych, mówiących po angielsku, niemiecku, francusku. Liczne składy z namiotami i ich wewnętrznem urządzeniem wskazują, że jeżdżą tu nie tylko pasażerowie okrętów wycieczkowych, ale także turyści, szukający własnych wrażeń zdala od wygodnych hoteli. Przypływ obcych stanowi tu niewątpliwie ważny czynnik życia gospodarczego, ratuje bilans płatniczy Norwegji, pozwala na bierny bilans handlowy. Można się tu naocznie uczyć różnicy między temi dwoma pojęciami, a zarazem uczyć także tego, jak się to robi, by przyjazd obcych mógł stanowić poważną pozycję w bilansie płatniczym. Mówiono o góralach w Zakopanem, że mają swojego rodzaju trójpółówkę: „ziemiaki, owsik i goście“. Sposób obchodzenia się z gośćmi uprawiany przed laty przez górali w Zakopanem polegający na wyzysku do granic możliwości pozostał cechą znamionną dla obchodzenia się z przyjezdnymi w Polsce. Jedzie ze mną statkiem jakiś Polak amerykański, który ma swój *byznes* w Niagara Falls, opowiada nadzwyczajności, jak go łupiono w Warszawie; z uznaniem wyraża się o Krakowie i Katowicach. Mam

uczucie, że nasza stolica jeszcze nie rozumie, co to jest przyjazd obcych i co to jest umiejętność ich ściągania. Strzyżenie wełny ma odbywać się umiejętnie bez tego, by owca (nawet owca) mogła się zorjentować. Norwegja to rozumie, rozumiała to Szwajcarja przedwojenna (dopóki różnica waluty złotej w stosunku do pozłacanej nie odstraszyła od przyjazdu), rozumieją to Włochy Mussoliniego.

Polak z Niagara Falls nie jest na statku jedynym przedstawicielem typu amerykańskiej Polonji. Jedzie osób kilkanaście, ludzie widać dość zamożni, jadą drugą klasą, próbują z nimi rozmowy, nie bardzo się składa, każdy z nich zaznacza (z naciskiem), że ma własny *byznes*, żeby go nie posądzać o to, czem był jeszcze wczoraj. Człowiek we wieku czterdziestu lat opowiada, że trudni się *Real Estate* (handel nieruchomościami, kupuje, sprzedaje, pośredniczy), jest właścicielem nieruchomości przedstawiającej wartość kilkunastu tysięcy dolarów. Mówi po angielsku amerykańskim slangiem (*I cannot kick* znaczy: nie mogę się skarżyć) po polsku mieszaniną mazurowania i gwary przedmiejskiej. Czuje się kapitalistą, ale gdy chodzi o zaznaczenie orientacji politycznej zaznacza, że Polacy w Ameryce podzielili się na dwa obozy inteligentów posiadających większy majątek (prawica) i część uboższą (lewica); z całą naiwnością podkreśla ten sposób politycznej orientacji i w pełnem przeświadczeniu, że podział na ludzi z wielkim i małym pularsem jest

najodpowiedniejszy. „My tam za panem Paderewskim nie pójdziemy, bo on trzyma z panami“.

Przypominają mi się czasy dzieciństwa, kiedy w dawnej Galicji zjawiała się demokracja (później nazwana bezprzymiotnikową), kombinacja wiedeńskiego liberalizmu z polskiem: „co mi zrobisz“. Wstecznictwem było chodzenie do kościoła i rozmawianie z — hrabiami. Nie było większego zmartwienia. Polityczne wyrobienie Polonji amerykańskiej nie zdaje się być większem.

IV.

Zbliżamy się do wybrzeży Nowej Funlandji. Syrena „okrętowa“ (dodatek zbyteczny, gdyż innych syren niema tu nawet na lekarstwo) wydaje przeraźliwe ryki automatycznie co minutę, płyniemy wśród gęstej mgły, od czasu do czasu natrafiamy na sferę poryków jakiegoś innego parowca, niewidzialnego, który powoli nas mija. Nastrój Ibsenowski. Mgła panuje w tych stronach nagminnie, jako wynik golfstromu okrążającego kompleks lądu pokrytego przeważnie śniegiem i lodem.

Nad wieczorem mgły zwolna się rozsuwają, w niebieskawem oświetleniu pokazują się kontury miasta Halifax (Kanada); zbliżamy się zwolna, w oddaleniu może dwu kilometrów zarzucamy kotwicę, statek się uspokaja, niema kołysania, niema ryków (przerażenia czy przestrogi), panuje błoga cisza, pasażerowie mają uczucie pacjenta, któremu lekarz usunął ząb, przyczynę bolesnych chwil. Robi się dziwnie miło, morze spokojne, jak staw,

zlekka tylko drga nieznacznem falowaniem, niebieskawy obraz miasta zlewa się z wodą w jedną całość o perłowych odcieniach. Stojąca obok mnie młoda osoba zauważa, że obraz przypomina kolorytem Whistlera; uwaga psychologicznie ciekawa, tak częsta w swej formie u ludzi wychowanych w mieście — zjawiska przyrody przypominają im rzeczy widziane w przeróbce ludzkiej. Wychowanie nasze polega na pozbawianiu bezpośredniości wrażeń. Kiedy stykamy się z wielką dostarczycielką wszelkich impresji — naturą, spoglądamy na nią nie oczami własnemi, lecz przez okulary artysty, poety, podróżnika lub przynajmniej fotografa. Człowiek kultury jest uboższym o całe światy bezpośredniości.

Dlaczego stoimy w Halifaxie? Mamy na pokładzie znaczną ilość osób jadących do Kanady, przeważnie są to emigranci, podobno Rusini z wschodniej Małopolski. Wieczorem jest zapóźno na lądowanie, czekamy do rana...

Ranek wstał posępny, pochmurny, dżdżysty. Zbliżamy się powoli do brzegu, przybijamy do moła z wielkimi budynkami. Halifax wita nas zapachem ropy.

Wizja dnia poprzedniego minęła, została rzeczywistość — brudna gromada wyrostków ofiarująca dzienniki, bijąca się potem o rzucane z pokładu monety. Przypominają się dawne Włochy, lazzaroni staczający walki o *un soldo* rzucane przez jakiegoś płytkiego *straniero*...

Formalności załatwione, rusza kondukt (jakby po-grzebowy jakiejś biedoty) z drewnianemi kuferkami, tobo-

łami, przewiązanemi grubym sznurem. Materiał ludzki marny, niedożywiony, a klimat Kanady ostry, praca człowieka wyrzuczonego w obce warunki twarda i wyzyskiwana. Czy wytrzymają?

Emigracja — wielki problem.

Kiedy wyjeżdżałem z Warszawy, mówił mi jeden z wyższych urzędników: „niema mowy o dyskusji, czy emigracja jest pożądaną czy nie, jest faktem, na który niema rady; chodzi tylko o opanowanie jej, ujęcie w korcyto; chodzi o to, czy mamy utrzymywać za każdą cenę polskość naszych wychodźców, czy też zadowolić się faktem, że nasi ludzie zatraciwszy z czasem język, zachowają pewien sentyment dla Polski, pomnażając w ten sposób ilość naszych przyjaciół zagranicą“.

Czy posyłać polską inteligencję tam, gdzie są polskie skupienia? Mam uczucie, że jak cała emigracja jest objawem społecznych konieczności, zjawiskiem elementarnym, tak jej regulowanie tylko w skromnych granicach jest możliwem.

Skupienia wytwarzają się w sposób automatyczny: za wychodźcą, któremu się wiedzie, idzie jego rodzina, krewni, znajomi; — zaczynają się wytwarzać całe osiedla jednolite.

Uderzającym jest, że wbrew temu, czegoby należało się spodziewać, człowiek niższej kultury, o ile ma oparcie o osiedle, daleko lepiej zachowuje swoje etniczne właściwości. Nieznajomość obcego języka zmusza go do

szukania towarzystwa mówiącego tym samym językiem, zmusza do czytania dzienników własnych, tworzenia związków z ludźmi tej samej narodowej przynależności. Odwrotnie człowiek kultury wyższej znajdzie łatwo punkty styeczne z ludźmi tego samego poziomu, trudność językowa wogóle nie zachodzi, powstaje wielka łatwość asymilacji. Widzę to na okręcie na pasażerach pierwszej i drugiej klasy. W drugiej klasie podział etniczny jak najdalej posunięty, kółka, kółeczka... w pierwszej kospomopolis, narodowy indyferentyzm. Niemiec z Frankfurtu nad Menem, ożeniony z amerykanką niemieckiego pochodzenia (mówi po niemiecku źle, ale jeszcze z doskonałym akcentem) rozmawia o Niemcach jako czemś zupełnie dla siebie obcem. Ci wszyscy „byli“ Europejczycy, którzy odbywają obecnie podróże po Europie, patrzą na nią z uczuciem ciekawości, pozbawionej nieraz nawet tkliwości. Wrócą do domu na to, by czytać dzienniki angielskie, informujące o amerykańskich interesach i wypadkach.

Siła polskiej emigracji w Ameryce tkwi w jej rodzimem prostactwie. Jak się widzi tych naszych rodaków z tamtej strony wielkiego stawu, to się rozumie ich dzienniki, tę zdumiewającą jałowość myśli, tę przyziemność małego sklepikarza, ten brak wrażliwości na jakąkolwiek subtelność. Tacy ludzie, o takich tępych nerwach, o braku polotu nie potrzebują się obawiać kultury anglosaskiej, czy innej, bo jej nie rozumieją, nie czują

konieczności; *byznes* idzie dobrze, zdrowie jest, reszta to fraszka, pańskie wymysły. Z chwilą gdyby odczuł potrzebę wykształcenia, zapisałby się do szkół wyższych z angielskim językiem wykładowym, wszedłby w inny świat, ciasnota polsko-amerykańskiego osiedla stałaby się dla niego nieznośną. Rozpłynąłby się w tem morzu, jak tylu Niemców, Holendrów, Skandynawczyków.

Wysyłać polską inteligencję dla tworzenia przeciw-
wagi angielskiej kulturze? Jakich ilości trzebaby na to?
Co z nią robić? zakładać polskie uniwersytety?

Czy mamy dość sił dla obsadzenia tych uniwersy-
tetów, które w pełnym rozpędzie pierwszej chwili pań-
stwowego życia potworzyliśmy?

Nie miejmy złudzeń.

Śmiem twierdzić, że w polskiej emigracji do Stanów
nie potrzeba nic zmieniać, ani regulować, uważam, że
wciąganie jej w odmęty polskich walk politycznych jest
rzeczą niezdrową; poco tych ludzi niepokoić pokazywa-
niem wewnętrznych swarów, dla których należytego
zrozumienia mieć nie mogą, o wiele prostszą jest rzeczą
mówić im o Polsce jako takiej: „Polska, to wielka rzecz
i basta...”

V.

Ostatni dzień podróży morskiej nastroił nas mino-
rowo, jechaliśmy wśród mgły, silnie przez słońce na-
świetlanej i nagrzewanej, oddechaliśmy jakimś powie-

trzem ciepłem, syrena (dlaczego „syrena“?) ryczała bez miłosierdzia. Wszyscy uprzytomniali sobie, że to już sfera klimatyczna Nowego Yorku, o którym wiadomo, że miewa t. zw. fale gorąca, że gorąco jego jest wilgotne. Ktoś otrzymuje depeszę iskrową, że w N. Yorku panuje niemożliwy upał, 24 wypadki śmierci z udaru słonecznego. Ktoś opowiada o pladze letniej N. Yorku — moskitach...

Ładna historia — zapowiada się Wenecja w czasie *scirocca*. Wieczorem sytuacja zaczyna się wyjaśniać w świetle błyskawic, powietrze nasycone elektrycznością; niemniej w kajucie duszno.

Statek ma zawinąć do portu nad ranem. Ranek przyniósł miłą niespodziankę (wobec nastrojów nocnych równie niespodziewaną jak życzenia w dniu imienin) — deszcz i ochłodzenie temperatury. Kiedy z miejsca postoju (prawie na pełnem morzu) ruszamy ku portowi, zjawia się mgła, która otula brzegi szarą gazą. Wymijamy setki statków rozmaitego rodzaju i wielkości. Okazują się spowite w mgłę kontury pomnika Wolności na wyspie... Dlaczego tak mało się u nas słyszy o tem, że N. York leży na wyspach (kilku), a tak wiele o tem samem w stosunku do Wenecji? Pyta mnie towarzysz podróży, jakie wrażenie zrobił na mnie pomnik Wolności. Odpowiadam żartem, że mgła robi wrażenie symboliczne: „Wolność okryta mgłą — może kapitalizmu?“ Natrafiłem widocznie na „wdzięcznego“ słuchacza, bo

przyjmuje moją uwagę ze złe ukrywanem zadowoleniem. Poczwieć ma słabość do Marksa i socjalizmu, ale jako profesor Harvard-University, boi się z tem jawnie wystąpić. Czy jednak kiedykolwiek istnieć może owa wymarzona wolność? czy dostarczyć jej ma dyktatura proletariatu z przymusową organizacją gospodarczą? czy nie lepsze jest tworzenie pośredniej zawiśłości gospodarczej tak, jak jest w systemie prywatnej własności, od stworzenia bezpośredniej zawiśłości (od państwa socjalistycznego)?

Płyniemy dalej we mgle; ukazują się zarysy jakichś kamiennych kolosów, domyślam się, że to „drapacze nieba“ znane z fotografii. Dzięki Bogu — jest mgła — choć to wypada inaczej niż na fotografii. We mgle robi to wszystko wrażenie jakichś gigantycznych budowli o linjach zamków, kościołów, ratuszów. Wszystko to nieporządnie zrzucone na jedno miejsce, jak w rekwizytorni teatralnej. Możeby to pooddzielać od siebie przestrzenią choćby kilku kilometrów?

Dojeżdżamy do Hoboken, skąd promem parowym t. zw. ferry dostajemy się na wyspę Manhattan, na której znajduje się właściwy Nowy York ze swemi drapaczami. Urzędnik polskiego konsulatu udziela mi kilku cennych informacji (cennych, bo oszczędzających niepotrzebne wydatki), poczem dostajemy się do konsulatu.

Konsulat poruszony sprawą polskich lotników.

Niedzielę wypełniło niespokojne wyczekiwanie — „przylecą, czy nie przylecą“. W poniedziałek rano pojawiły się obszerne depesze w pismach amerykańskich o odnalezieniu i uratowaniu ich przez statek — niemiecki. Równocześnie nadeszła do Konsulatu depesza samych lotników (Kubali i Idzikowskiego), wyrażająca żal, że nie było im danem przybyć do „ojczyzny wielkiego narodu“.

Uderza mnie wyrażenie — naród. Wielki naród? Nie kwestjonuję wielkości, bo zawsze dla niej byłem z największym podziwem, ale mam wątpliwości, czy Stany Zjednoczone wytworzyły lub kiedykolwiek wytworzą naród. Czy to nie jest tylko wielkie społeczeństwo złożone z rozmaitych narodów? Czy można pojęcie narodu tak niesłychanie rozciągać, by nie grały żadnej roli różnice etniczne członków tego społeczeństwa, by nie grało roli istnienie odrębnych grup narodowych, porozumiewających się między sobą po angielsku. Język państwowy angielski nie daje podstawy do tego, by mówić o narodzie, bo musielibyśmy wtedy mówić o narodzie — angielskim w Ameryce. Czyżby liczne amerykańskie językowe miały uprawniać do mówienia o nowym języku? Cóżby powiedział na to Boston uważający się za najbardziej angielskie miasto w U. S. A.?

Mniejsza o to — w czasie rozmowy w konsulacie z miłymi i uczynnymi ludźmi, czuję, że dłużej nie wytrzymam; to czego nie znoszę — hałas i brak powietrza — mam w wydaniu luksusowem. Nie udzielam

swych spostrzeżeń ludziom, którzy muszą w tych warunkach urzędować, natomiast zaczynam się naradzać na temat, gdzieby zamieszkać spokojnie i w dobrym powietrzu. Dają mi do poznania, że wybrałem się fatalnie do Nowego Yorku po spokój i świeże powietrze. Przypomina mi się stara barkarola: „Dziewczę słóweczko rzucić, gdzie z Tobą płynąć mam“. Dziewczę odpowiada, że płynąć chce do wiecznej miłości krainy, gdzie wieczna miłość trwa. Na to bezlitosny wiosłarz odpowiada: „tej krainy me dziecię niema nigdzie na świecie“. W N. Yorku niema spokoju i powietrza.

W ostatecznej rozpaczy przypominam sobie rozmowę na statku, gdzie zwołałem *consilium facultatis* ludzi w Nowym Yorku zamieszkałych dla wyszukania owego poszukiwanego zakątka. Wówczas poradził mi profesor z Harvard-University, a reszta przyklasnęła myśli, by zamieszkać w International House, ma to być dom dla *University-people* — profesorów i uczniów, cudzoziemców. Potrzeba jednak potwierdzenia czyjegoś, że się jest profesorem (czasem się to na coś przyda, że się jest profesorem). Poddam sprawę tę w konsulacie pod rozwagę. Myśl uznano za dobrą — telefon — pokój jest — jazda.

Bagaż odnosił mi do samochodu woźny przydyjalny (b. miły człowiek z Wileńszczyzny — ładna, rasowa twarz). Szofer usłyszał, że rozmawiamy po polsku i zaraz zgłosił swoją polskość łamanym językiem, twierdzi, że jest syrem emigranta, ojciec nazywa się Janiszewski,

matka Wilczyńska, ma bliskich krewnych Lewandowskich. Patrzę na tabliczkę policyjną wewnątrz samochodu podającą fotografię szofera i bliższe szczegóły. Okazuje się, że mój szofer jest właścicielem samochodu (b. dobrego — 110.000 mil angielskich w 2 latach bez naprawy) a nazwisko — Vincent A. Sheskie; widocznie inaczej nie można było wydobyć po angielsku dźwięków odpowiadających naszemu „Janiszewski”. (Swego czasu objeżdżała Amerykę Modrzejewska jako Modjeska). Szofer zabawia mnie uwagami o polskich lotnikach, krytykuje lekkomyślność ich, że mieli tylko jedną grupę przewodów dla oliwienia, zamiast dwu (wiadomo, że defekt w oliwieniu przeszkodził dalszemu lotowi); z szyderczym śmiechem opowiada o swoim ojcu, że zakupił za swoje oszczędności (10.000 dolarów) polskich marek i wszystko — „zgubił” (stracił).

Zajeżdżam do International House — wielopiętrowego zamczyska — nad rzeką Hudson wśród zieloności. International House ma na parterze szereg salonów, których nie powstydziliby się pierwszorzędny hotel, a to tylko „Dom Akademicki”. Co prawda, by w tym domu mieszkać i stołować się, musi mieć ów akademik około 100 dolarów miesięcznie — tanio jak na N. York, ale jest to 889 Złotych. Ten „dom akademicki” ma niewątpliwe cele propagandy. Jakiej? Może odpowie na to książka znajdująca się w każdym pokoju pod tytułem: *Selections from six great religions (Confucian — Hebrew —*

Christian — Buddhist — Hindu — Mohammedan). Printed for International House. New York. 1927. W przedmowie znajduje się zdanie:... *one God for all mankind and all mankind as brothers* (jeden Bóg dla całej ludzkości i cała ludzkość złożona z braci) *This has been a theory too long, it must be practiced between nations and races* (to było teorią za długo, to musi się wprowadzić w czyn w stosunku do narodów i ras ludzkich). W każdym egzemplarzu tej deistycznej książki znajduje się miejsce na wpisanie nazwiska gościa zajmującego pokój. Mój pokój ma Nr. 731 — pierwsze nazwisko Lien Lai-China (pełno tu ludzi o pergaminowej twarzy).

Oczywiście nie ma tu ciszy jak na wsi, ale w stosunku do łoskotu nieustannego takiego Broadway — jest niemal sielanka. Widok na rzekę Hudson, powietrze możliwe. Przejeżdżam przez miasto wzdłuż i wszerz. Brzydkie? zdaje mi się, że to ktoś kiedyś powiedział. Śmiem twierdzić, że zdanie to jest niesłuszne. Przeciwnie, jest tu wiele rzeczy ładnych, nawet niektóre drapacze mają swój styl swoisty, harmonję linii, siłę, powagę. *N. Y. Telephone Building* ma w sobie coś z florenckiej *Signoria*; *Woolworth Building* to jakby ratusz wiedeński, chwycony za głowę (wieżę) i wyciągnięty gwałtownie w górę. *Paramount-theatre-building* przypomina znów zasadniczymi linjami domy staroniemieckie o fasadzie kończącej się trójkątem. Psuje wszystko to straszne skupienie, to przerażające wciąganie się w górę. Ta wzajemna konkurencja cisnących się domów wywołuje

uczucie przygnębienia. Na czym to się skończy? W oczach zrzuca się budynki sześciopiętrowe, by na ich miejscu stawiać conajmniej dwudziestopiętrowe; coraz mniej światła i powietrza.

VI.

Miałem do załatwienia kilka interesów — w urzędach czy instytucjach amerykańskich. Uderzyło mnie to, że nie widziałem nigdzie owej gorączkowej, nerwowej pracy, o której się u nas tyle mówi. Przeciwnie, panuje tu spokojna rozwaga bez pośpiechu. Prawda, że nie widziałem ludzi tracących czas, ale nie widziałem gorączki. Mam uczucie, że to raczej u nas w Polsce jest owa gorączka, jako następstwo spóźniania się do biura, straty czasu na śniadanie, na prywatne telefoniczne rozmowy i t. p. Prawda, że życie ulicy N. Yorku robi wrażenie jakiegoś nieustannego alarmu, ale okazuje się, że jest to tylko wynik wielkich odległości, konieczności szybkiej jazdy. Ten sam człowiek, który z pośpiechem wchodzi do wagonu (koleji podziemnej), siada potem najspokojniej, czyta dziennik lub ziewa, potem szybko wyskakuje — trudno inaczej — zatrzymanie pociągu liczy się na sekundy. Jeżeli potrzeba pośpiechu nie zachodzi, (np. przy wychodzeniu z okrętu) spokój zupełny. Zapewne urzędnicy publiczni czy prywatni zrana koło dziewiątej, popołudniu koło piątej starają się odrobić drogę oficjalną jak najprędzej — mieszkają daleko. Jestto

jednak tylko wzmożone o pewnej godzinie falowanie życia ulicznego, ruchu komunikacyjnego. Ten potężny ruch robi wrażenie ruchu zegarka, w którym kółkami są — miliony ludzi. Jak to się odbywa składnie! Amerykanin od wczesnej młodości zaprawia się do życia zbiorowego. Wyobraźmy sobie ruch na rogu Kärntnerstrasse i Ringu wiedeńskiego, lub Friedrichstrasse i berlińskiej ulicy „pod lipami“ przeniesione na setki ulic z dodaniem kolei nadziemnej i podziemnej (we wielu punktach). Ale to wszystko odbywa się bez nerwów — jegomość prowadzący swój samochód z dowolną chyżością (często 40 km.) pali cygaro i obtrząsa popiół. Tak wygląda przeciętny pracownik, oczywiście nie widziałem przy pracy *captains of industry*, tych, którzy tem mrowiskiem — kierują.

Schodząc długą ulicą Broadway w kierunku portów zaszedłem do dzielnicy Battery, gdzie zapraszał mnie jakiś człowiek w mundurze do wzięcia udziału w wycieczce do pomnika Liberty. Było duszno, wycieczka okrętem w takich chwilach jest zawsze miła. Odbijając od brzegu zauważyłem, że z tej strony owe gigantyczne budowle tak charakterystyczne dla N. Yorku robią wrażenie lepsze. Widziane przy wjeździe, rozrzucone w niepokojnej linii, robią wrażenie nieporządku, od strony Battery stanowią zwartą w sobie, jakby niesamowitą symfonię jakiegoś pasma górskiego, jakgdyby masywu Mont-Blanc widzianego z Chamonix. Równie głowę

trzeba podnosić wysoko do góry, równie zabierają światło słoneczne. Tylko w masywie N. Yorku ludzki rodzaj prowadzi wewnątrz życie mrówek, tylko tego masywu N. Yorku nie dała natura, a stworzyli ludzie.

Pomnik Liberty ma wewnątrz windę elektryczną, schody żelazne oświetlone także elektrycznie. To, co w nim jest dla mnie najciekawszego, to tablica spiżowa wmurowana przy wyjściu na balkon I-go piętra — publikująca sonet napisany przez widocznie entuzjastyczną Amerykankę p. Emmę Lazarus (!) born in New York 1849, died 1887. Sonet wkłada „Wolności“ w usta znamienne słowa: *keep ancient lands your storied pomp* (stare kraje niech zachowają swą wspaniałość). *Give me your tired, your poor, your huddled masses... send these, the homeless, tempest-tost to me, I lift my lamp beside the golden door...*, (do mnie niech garną się zmęczeni, ubodzy (!), prześladowani przez los).

Przypuszczam, że jeżeli amerykańscy urzędnicy konsularni, zajmujący się wykonywaniem ustaw o imigracji przypomną sobie ten sonet lub przeczytają (umieszczony zresztą na miejscu nieświećnym), to uśmiechną się na myśl, że Stany Zjednoczone mają otwierać podwoje dla wszystkich — wydziedziczonych tej kuli ziemskiej. W polityce Stanów widać tendencję do podnoszenia gatunku „człowiek“ a nie do tworzenia azylu dla ludzi ułomnych fizycznie czy psychicznie. Dla ubogiego (*poor*) nie mają oni współczucia, lecz litość zmieszaną z pogardą. Istnieje teoria amerykańska, że ubogi, to

człowiek należący do typu zwyrodniałego — inaczej nie byłby ubogim. Stany ograniczają do znikomych rozmiarów imigrację słowiańską, romańską i kolorową. Gdzież te otwarte podwoje?

Wracając do Battery zastaję na pięknym skwerze tłumy ludzi siedzących na ławkach; pełno śmiecia, gazet na trawnikach, po których mimo tablic: *keep off grass* — uganiają dzieci. Widzę murzynów (niewielu) siedzących spokojnie, jak gdyby chcieli się ukryć przed ludzkim wzrokiem (w Brooklynie widziałem ich więcej i znacznie swobodniejszych), za to słychać wyraźne i głośnie dźwięki słowiańskie. Kiedy doleciały mnie dźwięki polskie, zbliżyłem się do trzech dżentelmenów w nowych, słomkowych kapeluszach. Dowiedziałem się, że owa publiczność, to ludzie zajęci przy poruszaniu wewnętrznych kółek tego niesamowitego Mont-Blanc, ludzie zajęci przy windach, dozorczy, elektrotechnicy, palacze przy kotłach, to są ci ludzie, którzy zostają na straży gigantycznych budynków wtedy, gdy urzędnicy uciekają daleko na kraj miasta.

Widocznie są potrzebni bardzo, skoro policja pozwala im zachowywać się w parku publicznym w sposób przeciwny zwykłym normom.

Nie wiem, czy za tę pobłażliwość należy być wdzięcznym.

W następstwie tego polskość zagranicą wiąże się z pojęciem chamstwa, nieokrzesania, brudu, niechlujstwa. W Europie jeszcze, znajoma Amerykanka zwierzyła mi

się z uwagą, że Polacy Amerykańscy należą do najgorszego typu przybyszów z Europy. Przypomina mi się z dawnych czasów epizod z balu wydanego przez Rektora Uniwersytetu w Halli nad Saalą (pruska część Saksonji). Dama jakaś poznawszy po akcencie, że nie jestem „tutejszy“ — zabawiała się odgadywaniem mojej przynależności etnicznej. Bez skutku, kiedy jej wkońcu pomogłem — wydeła wargi: *Ein Pole! wir haben hier viele Polen...*

Niestety po Halli snuły się egzemplarze t. zw. obieży-sasów, wychodźców sezonowych (na lato), z których część zimowała zebrząc i zapijając się.

Polacy mają swoje szczęście do swej zagranicznej reprezentacji. We Wiedniu uważają nas za Żydów; opowiadał mi ktoś, że we Wiedniu dama pochodząca z t. zw. towarzystwa w chwili czułości zwróciła się do Polki z dyskretnem zapytaniem: *Nicht wahr, Gnädige Frau, Sie sind eine Gräfin.* — Na przeczącą odpowiedź oświadczyła — *Ach! dann sind Sie eine Jüdin.* — Nie dała sobie wytłumaczyć: *in Polen giebt es doch entweder Grafen oder Juden.* Oczywiście było to wynikową powierzchownej z pewnością obserwacji, ale z takich obserwacji składają się podłoża do nastrojów w masach... Do Wiednia przyjeżdżało przed wojną buńczuczne, małopolskie ziemiaństwo, które za cenę sutych napiwków zdobywało tytuł hrabiego „z woli ludu“; bywali także hrabiowie autentyczni, wszak Józef II. niedługo po porozbiorowym

przyłączeniu Galicji do Austrii postarał się o to, by tytuł hrabiowski — spopularyzować.

Żydzi znów również masowo z Galicji przenoszący się do Wiednia i zaludniający okolice *Nordbahnhofu* albo byli (rzadko) Polakami mojżeszowego wyznania, albo uważali, że lepiej się kalkuluje „robić“ Polaka, niż być zwykłym galicyjskim żydkiem, typem we Wiedniu Luegera lekceważonym, pogardzanym, wyśmiewanym — a Polacy (naród rycerski) odgrywali rolę polityczną bardzo poważną w Austrii. „Dlaczego nie mamy być Polakami“ myśleli i mówili po polsku głośno, ostentacyjnie...

Jak przedstawia się sprawa polskiego refleksu w Stanach Zjednoczonych? Zauważyłem, że zaznaczanie przeze mnie polskości wywołuje podejrzliwe zdumienie u przeciętnego obywatela U. S. A. Ci, którzy byli kiedyś w Europie, wiedzą coś o Polsce, inni w najlepszym razie wiedzą o Paderewskim, którego uważają za pierwszego prezydenta Polski, rodzaj polskiego Jerzego Waszyngtona. Reszta sortuje Polaków (Polish) obok Irlandczyków (Irish) i murzynów. Gdziekolwiek się pokażę, choć pary z ust nie wypuszczę — uważają mnie za Niemca (*German? you from Germany?*) tłumaczenie, że jestem Polakiem wywołuje wrażenie fatalne — jak gdyby przerażenia, przypuszczenia, że to jakaś mistyfikacja.

Oczywiście, Polak amerykański, to człowiek najcięższej, najniższej pracy, bo tacy tutaj od dziesiątek lat

przyjeżdżają, a potem w trzeciej generacji się amerykanizują (Janiszewski przemienia się na A. Sheskier), Niemiec — to człowiek inteligentny, bo tacy głównie emigrują, mają swoje naukowe stowarzyszenia, inżynierowie, lekarze, którzy zresztą amerykanizują się często — już w pierwszej generacji z całą świadomością i bez żadnych skrupułów. Polacy amerykanizują się wolniej — bo asymilują się trudniej.

Dowodu, co to znaczy z punktu widzenia narodowego stanu posiadania niezdolność dostosowania się — przedewszystkiem językowego, dostarczyło mi następujące przeżycie.

Przy ulicy 23-iej w N. Yorku koło stacji kolei nadziemnej znajduje się włoska restauracja Venice Garden. Dwa znane lewki marmurowe na kilku metrach kwadratowych jakiejs zieloności zaznaczają swe pochodzenia od lwa św. Marka, patrona Wenecji. Ucieszyłem się na widok karty zapowiadającej włoskie specjalności, bo dość już miałem kuchni amerykańskiej, która ma cechy wspólne z amerykańską produkcją przemysłową; jest seryjna, masowa, standardowa. Ma się uczucie, że jajo spożywane nie pochodzi od kury, lecz jest wynikiem fabrycznej wytwórczości opartej na zadziwiającej syntezie genialnego chemika. Wchodzę przez jakieś kurytarze do owego włoskiego czy weneckiego ogrodu. Na przestrzeni może 50 metrów kwadratowych stoliki, krzesła, w środku dwa gliniane wazony o typie florentyńskim (*Signa*), za-

wierające palmy o wyglądzie anemicznym. Pod ścianami również coś się zieleni; — ponad głowami dach płócienny. Do jakiegoś młodego człowieka o miłej powierzchowności i ruchach gondoljera zwracam się kilkoma słowami po włosku; następuje pytanie radosne: „Pan Włoch“? moja odpowiedź: „Nie Włoch, ale przyjaciel Włoch i Włochów“, następują oznaki uprzejmości wzmożonej, zamawiam obiad obejmujący *minestrone* (zupa jarzynowa), *spaghetti con parmigiano e sugo* (rodzaj makaronu z serem i sosem pomidorowym), *steak* cielęcy na oliwie (wolę od amerykańskiego tłuszczu), owoce, kawa. Na wstęp dostaję *Grape - fruit* (specjalność amerykańską, podobno produkt genialnego botanika: krzyżowanie cytryny z pomarańczą). Usługuje mi kelnerka w średnim wieku mówiąca dobrze po włosku (bez dialektu), rozpoczyna ze mną rozmowę na temat, kiedy się nauczyłem po włosku (zapewnia mnie, że mówię jak Włoch — oczywisty komplement), oświadczam, że właściwie się nie uczyłem, nauczył mnie dziesięciokrotny pobyt we Włoszech, każdym razem po kilka tygodni. Na to ona z widocznym smutkiem powiada: *Lei è intelligente* (pan jest inteligentem) i szybko odchodzi. Nic nie rozumiem, dlaczego moja „inteligencja“ ma być powodem zmartwienia dla kelnerki. Postanawiam sprawę zbadać. Przy nadarzonej sposobności pytam ją, jak dawno jest w U. S. A. Odpowiada *cinque anni*, wstrząsając ręką z rozstawionymi pięciu palcami i ucieka dodając: *e non parlo...* (i nie mó-

wię — po angielsku). Doskonale! potwierdzenie dosłowne mojej teorii: człowiek inteligentny uczy się języków łatwiej, bo ma zwykle podstawę w łacinie (dla języków romańskich), w niemieckim (dla germańskich). Człowiek z gminu staje przy każdym języku jak wobec zagadki trudnej do rozwiązania, potrzebuje wielu lat, by się móc porozumieć, a mówić nie nauczy się nigdy, ale też ten człowiek do końca życia zachowuje swój własny język i szuka towarzystwa u swoich rodaków, czyta dzienniki swoje własne, zachowuje swoją narodowość.

Kiedy wychodzę z Giardino, kanarek przebudzony dźwiękami gramofonu zaczyna swoje trele, stara się przekrzywić gramofon (ma zupełną rację), nastrój jak w jakiejś małej trattoria na kanale Grande, brak tylko plusku wody i charakterystycznego zapachu. Wszystko to kilkadziesiąt kroków od Broadway pulsującej niesamowitem, bezbarwnem, kosmopolitycznem życiem, rozświetlonej reklamami ruchomemi, jaskrawemi, niepokojącemi...

VII.

Korzystam z mglistego poranku i wyjeżdżam z dworca kolei Lackawanna do Elmira. Pociąg złożony w części z wagonów zwykłych, w części z Pullmanowskich (wóz restauracyjny, salon, wóz widokowy). Za odpowiednią dopłatą, otrzymuje się numerowany fotel w wozie salowym lub widokowym. Jazda bardzo wygodna. Wozy noszą nazwiska wybitnych ludzi. Wóz widokowy nosi

nazwisko — Helena Modjeska. Czy pamiętają t. zw. 100% Amerykanie, ile kultury zawdzięczają tej genialnej artystce, która im odtwarzała przez długie lata postacie Szekspirowskie? Zdaje się, że tak.

Popołudniu znajduję się na miejscu. Miasto, miasteczko, wieś czy letnisko? nie wiem na razie. Stacyjka wśród zieleni, niewielka; koło dworca żadnego ruchu, jakieś małe domki, pola, ogrody. Środków lokomocji nie widzę, natrafiam wreszcie na ślady tramwaju, który po jakimś czasie rzeczywiście się ukazuje. Wsiadam. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Mkniemy wśród drzew ocieniających domki drewniane lub murowane, parterowe lub piętrowe. Przeważają domy drewniane. Niezwykle często zjawiają się przy domkach murowane (czy mur imitujące) słupy jońskie lub doryckie dźwigające grecki architrav, jakby wstęp do świątyni. Hotel Rathbrun, najlepszy w miejscu jest budynkiem starym, w którym wprowadzono inowacje w rodzaju windy, przewodów elektrycznych, wodnych i t. p. dopiero później. I to ma być Ameryka? Hotel jest pełny — widać jakieś twarze ogorzałe, pewnie agrarjuszy, obiad wykazuje, że jesteśmy w jakiejś krainie warzywa i owoców. Prospekt kolei Lackawanna oświadcza, że dla agrarnej ludności mieszkającej wzdłuż linii New-York City — Buffalo ma osobnych doradców-expertów w sprawach rolniczych. Powiada przewodnik (oczywiście Baedeker), że Elmira, jako taka, jest miastem przemysłowem, gdzież te fabryki?

Dla mnie Elmira przedstawia interes swoisty, tutaj w latach siedmdziesiątych, przed laty przeszło pięćdziesięciu założył stan New York zakład penitencjarny dla mężczyzn we wieku 16 — 30 lat o typie nowym, zwanym Reformatory. Więźnia miano tu trzymać przez nieokreślony przeciąg czasu, o trwaniu zamknięcia rozstrzygać miała nie wielkość winy, a zachowanie się we więzieniu. System ten z czasem przyjęła większość stanów dziś system ten wprowadzono ogółem w 36 Stanach. Elmira jest jego kolebką, a Reformatory w Elmirze jest zawsze prototypem i wzorem do naśladowania.

Miałem list polecający od *commissioner Department of corrections* z Albany (stolicy stanu New-York) do dyrektora (*superintendent*) zakładu, p. Christian. Prosiłem o to gen. konsula polskiego p. Rozwadowskiego. List czekał na mnie w konsulacie.

Zamówiwszy się telefonicznie zaraz po przybyciu, wybrałem się na zwiedzanie zakładu nazajutrz rano. Sam wygląd budynku zakładowego jest niezwykle. Nie ma w nim nic z grozy — rzuca się w oczy piękna linja angielskiego pałacyku wiejskiego. Pałacyk spogląda ze wzgórza na tonące w zieleni drzew miasto; wzgórze pokryte świetnie utrzymanym trawnikiem. Wprowadzają mnie do gabinetu, gdzie mnie wita starszy człowiek w koszuli — zastępca dyrektora. Po chwili wchodzi p. Christian, fizycznie przypominający Korfantego. Pyta

się mnie, czy umiem po angielsku, bo on nie umie po polsku. Z głośnego śmiechu człowieka w koszuli wnoszę, że był to dowcip w typie *american humour*.

Nie tracimy czasu na długi wstęp, — wychodzimy na obszerny dziedziniec, na którym inny starszy człowiek (zawodowy żołnierz-kapitan) kieruje musztrą kilkuset młodych ludzi.

Musztra nie ma znaczenia przygotowania wojskowego, bo żadnego z tych młodych ludzi armja U. S. A. nie przyjmie; mimo wszystko mieć będą piętno — „był we więzieniu“, społeczeństwo amerykańskie tego nie zapomni. Tylko powszechna służba wojskowa nie wzdraga się obejmować także karanych; armja ochotnicza w U. S. A. ma inne znaczenie, może też wybierać wśród 120 milionów. Poco zatem musztra? Otrzymałem wyjaśnienie, że musztra wytwarza pewne właściwości charakteru, które stanowią walory społeczne i indywidualne także poza wojskiem, uczy posłuszeństwa, szybkiego wykonywania rozkazów, precyzyjności ruchów, kształci uwagę.

Przechodzimy dalej do jakiegoś wielkiego budynku — poświęconego sportowi, obszerna pływalnia napełniona kryształowo czystą wodą, obok sala do piłki koszykowej (*basket-ball*); o tej godzinie (w czasie musztry) powinna być pustą — spotykamy jednak 2 młodych ludzi, którzy choć nieco zmieszani, gry (czy ćwiczeń) nie przerywają. Dyrektor żąda od nich wyjaśnień, dla-

czego nie biorą udziału w ogólnej mustrze, dają odpowiedzi widocznie niewystarczające, bo dyrektor żąda podania numerów (zastępujących nazwiska) i zapisuje. Idziemy dalej, wchodzimy do sali, w której oddział jakiś odbywa ćwiczenia gimnastyczne (zamiast musztry) pod kierunkiem fachowego nauczyciela, wreszcie dostajemy się na obszerny plac z ławkami amfiteatralnie wzniesionymi, to plac zabaw i igrzysk. Z dwu stron plac otwarty na przyległy las i na fermę (500 akrów) należącą do zakładu i dostarczającą środków żywności (na fermie pracują więźniowie pod dozorem luźnym). Plac zabaw ma znaczenie pedagogiczne — podnoszenia na duchu a równocześnie przyzwyczajania do zasady, że zabawę należy przerwać, gdy głos obowiązku zawoła. Na znak trąby zabawę przerywa się momentalnie.

Gdy powracamy do środka zakładu natrafiamy na oddziały maszerujące, musztra skończona, zaczyna się nauka w ośmiu oddziałach (stosownie do przygotowania). Jest oddział dla analfabetów, w którym zwykle są Hiszpanie, Włosi i Polacy, tym razem Polaków niema. Jest także oddział dla tzw. *special training*, dla osobników trudnych do prowadzenia (*disturber*), którzy przeszkadzają innym, nie mogą nagiąć się do dyscypliny zakładowej. Kto uczy? przeważnie więźniowie sami, można ich wybrać z pomiędzy 1.200 ludzi. Są także nauczyciele zawodowi, płatni z poza zakładu, jest nawet rodzaj kursów uniwersyteckich *University — extension*; co

pewien czas wykłady o wysokim poziomie (historja, geografja).

Dalsze zwiedzanie przerwał lunch, który spożyliśmy w prywatnem mieszkaniu p. Christian w obszernym, chłodnym pokoju. Pani domu i jej starsza córka spędziły dłuższy czas w Paryżu, panna Chr. odbywała studia gry na harfie, czuć też na paniach wpływ tego pobytu, tak w sposobie ubierania się, jak w formach towarzyskich. Rozmowa potoczyła się oczywiście na temat podróży i podróżowania, wrażeń. Młodsza córka pp. Chr. (około 10 lat) pyta mnie, dlaczego wyruszyłem z Kopenhagi a nie z Gdańska (geografja widocznie stoi nie źle), potem potrąca o historję polską i Kościuszkę. Pan domu informuje się, jaką właściwie mamy formę rządu, nie wiem, czy jestto brak we wiadomościach o Polsce, czy aluzja do obecnej chwili. Dowiaduję się, że w Elmirze długie lata żył Marek Twain (jak wiadomo pseudonim dla Clement), tutaj żyje rodzina jego żony, tutaj spoczywa on wraz z żoną snem wiecznym, tutaj ma powstać wielki, nowożytny hotel — na jego cześć nazwany „Marc Twain“. Teraz rozumiem ten pogodny humor jego nowel i te może naiwne, ale niesłychanie zabawne sytuacje: „człowieka, który redagował gazetę rolniczą“. Oczywiście Elmira ze swym typem pogodnego letniska nadaje się do tego, by pisać niefrasobliwe humoreski. W Nowym Yorku trudno byłoby o to.

P. Chr. zachwala mieszkających w Elmirze Polaków, jako bardzo lojalnych; pracują w tutejszych fabrykach, mają swój kościół, swą szkołę parafjalną. Potracamy o sprawę utrzymania własnej narodowości na obczyźnie, pani Chr. zaznacza, że U. S. A. spodziewa się szybkiej asymilacji nowych przybyszów. Pan Chr. milczy dyplomatycznie. Po lunchu obwożę mnie pp. Chr. *Studebakerem* po Elmirze — okazuje się, że ten las obejmuje wielkie ilości dworków piętrowych, parterowych z werandami cienistemi, typu *bungalow*. Przejżdżamy koło miejscowego cmentarza zupełnie nieogrodzonego, pomniki stoją wśród traw i drzew tuż obok drogi, niema w tem grozy, owego miejsca wiecznego spoczynku, o którym mówi się po cichu. Amerykanie mają swoisty pogląd na te sprawy — na przejście z życia do śmierci patrzą jak na przeprowadzkę z miasta do miasta. Przeprowadzka odbywa się szybko — samochodem.

W czasie przejażdżki zatrzymujemy się przed jakimś wysokim, siwym dżentelmenem, znajomym pp. Chr. Rozmowa schodzi na temat Polski, więziennictwa, prawa karnego. Dżentelmen wygłasza rozmaite poglądy nie stojące na wysokości Elmiry. Żegnamy się, otrzymuję wyjaśnienie: był to wybitny w swoim czasie prawnik, ożenił się niedawno, ma lat 70, żona 30, ona była urzędniczką w tej instytucji, w której on jest prezesem. Jest bardzo szczęśliwym, a ona? także...

Niema to jak U. S. A. — kraj nadzwyczajności.

Niedługo trzeba było czekać na rozwiązanie zagadki — w kilka tygodni później w jednym z amerykańskich miesięczników znalazłem artykuł znanej publicystki Elli Winter (obecnie Mrs. Lincoln Steffens) pod tytułem „o korzyściach poślubienia starszego człowieka”. (*The advantages of marrying an older man*), p. Winter pisze na podstawie doświadczenia kilkuletniego (różnica wieku 21 lat): „zachodzi wielkie ryzyko (*a big element of doubt*) przy poślubieniu młodego człowieka, — ale jeżeli panna znajdzie (*picks out*) mężczyznę, którego charakter, dobre imię i dochody (*income*) są ustalone, to wie, co dostaje (*what she is getting*)”.

Powracamy z przejażdżki. Żegnam się z Paniami. Zaczynam z panem Chr. długą rozmowę na temat Reformatorji i przerabiania ludzkiego charakteru. Chr. jest oczywiście oddany swemu zakładowi i jego przewodniej myśli. Spodziewa się dodatnich wyników, powołuje się na swoje długoletnie doświadczenie. Nie przeczy, że są wielkie trudności. Koniecznością jest zapoznanie się dokładne z więźniem i jego umysłowością. Dlatego utrzymuje Elmira osobne biuro psycho-analizy (oczywiście nie w rozumieniu wiedeńskiego Dra Freuda). Lekarz-psychjatra-psycholog bada nowo przybyłego w dwojaki sposób: przez badanie przeszłości i stosunków rodzinnych (kwestja wychowania i dziedziczności) a także przez indywidualne badanie systemu psychofizycznego.

Rozpisuje się listy do rodziny, szkoły, chlebodawców, zbiera się obraz poprzedniego życia młodego przestępcy. Stawia mu się szereg pytań, których celem badanie intelektu.

Badania te prowadzą często do wyniku, że przestępca jest albo obłąkanym, albo zacofanym w rozwoju (*infantilismus*), czy w innym typie częściowo anormalnym (*defective delinquent*). Po zbadaniu pacjenta następuje odpowiednia decyzja: odesłania do Zakładu dla chorych umysłowo przestępców, lub zatrzymania w Elmirze z odpowiedniami wskazówkami co do traktowania w przyszłości. Ważnym czynnikiem pedagogicznym w stosunku do pozostałych jest pozyskanie zaufania. W tym celu zakład a właściwie jego dyrektor podejmuje się załatwiania spraw prywatnych i rodzinnych więźnia, udziela mu rady i pomocy. Przeciętnie 20 więźniów dziennie zgłasza się do dyrektora na konferencję.

Przedkładał p. Christian ułożony przezemnie kwestjonariusz dotyczący wszelkich ważnych dla mnie spraw. Istnieje wprawdzie w Europie obszerna literatura dotycząca danego przedmiotu, bo nie ja pierwszy zwiedzam U. S. A. i reformatory, ale nie znalazłem w sprawozdaniach odpowiedzi na wiele pytań. Christian dyktuje swemu zastępcy wyjaśnienia, zastępcą stenografuje (nogi na biurku), poczem ma je przepisać na maszynie do pisania. Co za stosunki! Zastępcą dyrektora użyty za

stenotypistkę! W Polsce zastępca miałby osobny pokój i nigdyby nie notował, celem przepisywania. Inny kraj — dyrektorowie banku siedzą przy biurkach w sali operacyjnej widzialni dla wszystkich i wszystko widzący; zastępcy dyrektora więzienia spełniają w razie potrzeby funkcje podrzędne.

Wstajemy. Kończymy zwiedzanie. Po południu zakład przemienia się w szkołę rzemiosł — 29 kierunków znajduje tutaj swe uwzględnienie. Elmira nie jest jednak zakładem przemysłowym, wytwarzającym na eksport, jest raczej szkołą przemysłową, nauczanie ma na celu dać więźniowi kawałek chleba do ręki, a nie wyzyskiwanie jego pracy, a jeżeli z wyników jej zakład korzysta, to jedynie dla swoich własnych celów, lub dla zaspokojenia potrzeb państwa (*state use*).

Poznaję przy tej sposobności dwu Polaków: jeden z nich więzień, urodzony i wychowany w Buffalo doskonale mówi po polsku, skarży się, że przez złe towarzystwo wpadł w przestępstwo, drugi, to dozorca rodem z Pensylwanji (rok szkoły parafialnej, reszta — szkoła publiczna); ożeniony z Irlandką, z trudnością tylko zdoła wykrztusić parę wyrazów polskich.

VIII.

Nad wieczorem dojeżdżam do Buffalo; — słońce zachodzi krwawo, widać je poprzez ciemne smugi dymu wydobywającego się z licznych kominów fabrycznych,

nadających sylwetce miasta charakterystyczne kontury. Postanawiam w Buffalo nie zatrzymywać się wcale — fala upału, przed którym uciekłem z Nowego Yorku, ściga mnie ciągle, pragnę chłodu za każdą cenę, wyobrażam sobie, że w tych stronach znajdę go, albo na jeziorze, albo przy wodospadzie. Buffalo leży nad jeziorem Erie, ma też żeglugę jeziorową bardzo rozwiniętą w kierunku Cleveland, Detroit nawet Chicago. Pytam o statek do Detroit; już odszedł. Nie pozostaje nic innego, jak wodospad. Pytam o połączenie z Niagara-Falls, otrzymuję informacje niepomyślne, — niema połączenia kolejowego o tej porze. Nie wiem, czy informacja trafna, mam uczucie, że informator w czapce z napisem, którego nie badam, ma interes zatrzymać mnie w B. Oświadczam murzynowi, który niesie mój bagaż, że muszę dziś jeszcze być w Niagara-Falls. Niema jak murzyni w U. S. A., za zaszczyt rozmawiania z nimi gotowi są do wszelkich usług. Posługacz natychmiast daje mi znak, na który biały informator odpowiada szeregiem niezrozumiałych, ale widocznie nieuprzejmych wyrazów, pod adresem murzyna, murzyn odpowiada coś pokornie i mknie z walizkami do tramwaju, wyjaśniając, że będę musiał niedługo tramwaj zmienić i wziąć wagon, który zawiezie mnie na miejsce. Po upływie przeszło godziny zajeżdżam do Niagara-Falls. Gdzież te masy wody, które winny dawać pył wodny, chłodzący skórę i płuca? Nie ma śladu — jest

tylko wiele światła, jakichś sklepów z cukrami, napojami, wiele prywatnych samochodów, stojących i jadących. Ktoś ofiarowuje mi hotel opodal. Tutaj? w tym zaduchu i zgiełku? Przenigdy. Wsiadam do nadjeżdżającego tramwaju i informuję konduktora, że chodzi mi o hotel blisko wodospadu. Wsiadam wkrótce na rogu uliczki prowadzącej do hotelu The Niagara.

Samo wejście do obszernego hallu (nazywanego tu *lobby*) daje przedsmak miłych chwil w czasie mieszkania i przykrych sensacji przy płaceniu rachunku. Poufna pogawędka z dżentelmanem, rozdzielającym pokoje, nie pozostawia pod tym względem żadnych wątpliwości. Wyjeżdżam na ósme piętro, (jest ich kilkanaście), wprowadza mnie jakiś młodzieniec do obszernego pokoju narożnego z przylegającą doń umywalnią. W pokoju chłód. Oto, czego szukałem; zostaję. W umywalni oprócz zwykłych kurków z ciepłą i zimną wodą, osobny kurek z wodą lodowatą (*ice-water*), przeznaczoną oczywiście do picia.

Nazajutrz, po doskonałym wypoczynku, szukam sposobności do ujrzenia „cudów natury“. Wystarczy ukazać się na ulicy, by spotkać się z natrętną uprzejmością agentów. Czuć, że *byznes* główny tego miasteczka to usługi dla obcych — ofiarowują między innymi wynajęcie samochodu, który za cenę 5—10 dolarów obwozi bądź po części należącej do Stanów Zjednoczonych, bądź po całym obszarze wodospadu, obejmującym także stronę

kanadyjską. Samochód na jedną osobę — jak wiadomo — nie kalkuluje się nigdy. Widzę napis biura urządzającego specjalne wycieczki. Otrzymuję bilet kombinowany na autobusy i tramwaje za cenę 2 dol, z tem, że mam zobaczyć wszystko, co do Niagary należy. Ruszamy autobusem najprzód do części należącej do U. S. A. Zbliżam się do wodospadu. Niewątpliwie wiele wody i wiele huk. Czy piękne? szukam zachwytu w głębiach mojej psyche, nie znajduję, patrzę z boku na spadające kaskady, widzę jak woda rozdziela się na drobne strumyczki, które lśnią w słońcu jak sople lodu, robione przez cukiernika. Na dole naprzeciw kaskady na wzburzonych falach rzeki, dalej płynącej poprzebyciu tak wysokiego progu, kołysze się mały stateczek noszący piękną nazwę *Maid of The Mist*, coś w rodzaju Nimfy Pyłu Wodnego (*mist* po angielsku oznacza jasną mgłę w przeciwieństwie do *fog*, mgły ciemnej, brudnej). Jakaś para niemiecka była w kłopotcie przy tłumaczeniu tej nazwy, bo *Mist* po niemiecku znaczy — śmiecie.

Autobus zatrzymuje się znowu — oto „trzy siostry“, — trzy wysepki wśród rzeki szeroko rozlanej przed spadkiem — wysepki skaliste, porośnięte roślinnością niziną, jakaś grabina, klony, orzechy. Niebawem kończy się teren Stanów Zjednoczonych, zaczyna się Kanada. Największe efekty wodne są w posiadaniu Jego Królewskiej Mości Jerzego V-go. Na moście między 2 największemi mocarstwami świata odbywa się deli-

katna rewizja. Oczywiście mój zarost twarzy wskazuje na cudzoziemca, a więc „proszę o paszport“. Ruszamy dalej, nasz tramwaj ulega lekkiemu wypadkowi wskazującemu dowodnie, do czego doprowadza przerost automobilizmu. Zderzamy się z samochodem, oczywiście z winy kierowcy samochodu, ale czy winą tak wielką? Wiadomo, że w U. S. A. na pięciu mieszkańców wypada jeden samochód, można sobie wyobrazić, że te samochody są przeważnie w ruchu. Dla dróg i ulic władze nie przewidywały takiego ruchu, dlatego zadawałniały się szerokością 12—16 metrów. Obecnie wytwarza się następująca sytuacja: oprócz miejsca dla pieszych i dla kolei elektrycznej, dalej dla jezdni właściwej trzeba jeszcze zostawić wolne miejsce dla samochodów spoczywających (*parking*). Tutaj zaczyna się katastrofa. Jeżeli korzystać będą z tego jeden za drugim, to licząc 3 i pół metra przeciętnej długości — 20 samochodów zajmie 70 metrów długości; dwudziesty oddalony będzie od miejsca danego, przy którym ma czekać o siedmdziesiąt metrów, a gdzie reszta? Dlatego postanowiono stawiać wozy w poprzek; wystarczyłoby półtora metra długości, ale wtedy znów zapełnia się ulicę w poprzek. Wypośredkowano w końcu coś przeciętnego, przecznice między szerokością i długością, wozy stoją skośnie do jezdni — ale i tak, każdy centymetr przedstawia tu swe znaczenie. Dlatego miejsca owego *parking* zaznaczone są żółtą farbą na betonie, czy asfalcie, tak samo jak miej-

sca, gdzie wozom stawać nie wolno (*no parking*), miejsca bezpieczeństwa (*safety zone*), po których jeździć nie wolno (rodzaj wysepki — dla wsiadających do tramwaju). Nasz tramwaj zderzył się z samochodem, który szukał spoczynku (*parking*) i przejechał żółtą farbę o dwadzieścia centymetrów, tramwaj odniósł lekkie uszkodzenie deski do wsiadania, gorsze następstwa były dla samochodów, obok których stanął niefortunny automobilista, tramwaj odpierając atak popchnął niefortunny samochód na sąsiadów, nastąpiło skrzywienie sztang bezpieczeństwa, która wjechała w błotnik sąsiada, ten znów zaczepił o wóz następujący. Krótkie spisywanie protokołu, wśród zupełnego spokoju. Nikt nie krzyczał, nie tłómaczył się.

Ruszyliśmy dalej, niedługo powitał nas deszcz — to krople wody, odrywające się od kanadyjskiego wodospadu. Dojeżdżamy na miejsce do t. zw. *Table Rock*. Niema wątpliwości, że efekt siły jest tu jeszcze większy, efekt piękna jeszcze mniejszy. Mam wyższość nad towarzyszami podróży — płaszcz gumowy, który pozwala mi chodzić wśród deszczu, odrywającego się od ogromu wody. Jakiś młodzieniec zaprasza do zejścia pod wodospad, do oglądania go z pod spodu niejako, kupuję bilet do t. zw. *Scennic tunnel*. Trzeba do tego celu ubrać się w gruby gumowy płaszcz, także buty, na głowę dostaje się kaptur, poczem windą (oczywiście) zjeżdża się na dół. Kurytarzami, wykutymi w skale, snują się podobne mi postacie w kapturach, jakiś niesamowity pochód mni-

chów i mniszek, coś podobnego do Monsummano, różnica tylko w kolorze; w Monsummano chodzi się w płaszczu białym. Różnica także w temperaturze, w Monsummano mamy się wygrzewać, tutaj chłód.

Spędzam wśród huku czasu wiele, z rozmaitych punktów patrzę na te masy wody spadającej z góry tuż obok mej głowy i pytam się znowu, dlaczego mi to nie daje żadnego zadowolenia estetycznego. Innemi oczami patrzyłem w mej młodości choćby na mały wodospad koło Roztoki w Tatrach, innemi na wodospad koło świątyni Sybilli w Tivoli, czy choćby na sztuczne kaskady w Villa d'Este. Dlaczego? Dlatego, że te masy wody nie mają odpowiednich dla siebie ram. Jestto rzeka rozlana płytko na wielkiej przestrzeni i spadająca nagle z hałasem. To samo możnaby zrobić sztucznie, zamykając wodę górskich potoków tamą, później nagle otwartą. Woda w wielkiej masie pozostanie zawsze tylko wodą. Aby była czemś pięknem, musi jak na obrazie Ruysdaela wiązać się z innymi czynnikami przyrody — musi mieć obramowanie z kamieni, skał, zieloności, drzew, to wszystko razem daje dopiero harmonijną całość. Niagara jest zabójczo monotonna przy całej swej potędze. Jedziemy dalej, przedsiębiorstwo chcąc uzasadnić, dlaczego nas obwozi, (wszak wycieczka nazywa się szumnie *Niagara Great Gorge Trip*) — każe co chwila wysiadać i podziwiać. Tutaj rzeka wpadając w zakręt wytwarza niebezpieczny wir (*Whirlpool*), który można oglądać z wysoko-

ści wagoniku wiszącego na linie (*spanish Aero-Car*), tam znów piękna flora i pokłady zajmujące geologa, gdzieindziej znów pomnik angielskiego generała. Tablica zapowiada: 1) wysokość pomnika 195 stóp, 2) generał padł w walkach r. 1812. 3) tereny dla pikników, sposobność do zjedzenia obiadu. Niema to jak lapidarność stylu, która pozwala uzasadnić ewentualny zachwyt (ach jaki wysoki!), daje historyczne pouczenie i praktyczne, życiowo, wnioski wysnuć pozwala.

Sam pomnik, widziany z daleka, przypomina warszawską kolumnę Zygmunta, lub paryską Napoleona na Place Vendôme. Zawsze się zastanawiałem nad tem, dlaczego podobiznę człowieka stawia się na wysokim słupie, na to, by nikt nie mógł stwierdzić, czy to on, czy nie on. Pomysł dobry dla uczczenia św. Piotra Stylity, który stanieniem na słupie starał się pozyskać łaskę niebios.

Przejeżdżamy z powrotem granicę U. S. A.; pytają mnie, jakiego państwa jestem obywatelem? Polskość, którą zgłaszam, budzi sensację wśród towarzyszy podróży.

Na zakończenie stajemy przed kompleksem budynków, należących do Zakładu przetwarzania siły wodnej w elektryczność (*hydro-electric power house*) — poprostu przed wielką elektrownią. Przedsiębiorstwo przemiany energii, tkwiącej w masach wody, spadających z wysokości, w siłę elektryczną dającą się przenosić i rozdzie-

lać nie jest niczem innem dla Europy nowem, nieznanem, była i u nas mowa o zużyciu siły tkwiącej w górskich potokach. Imponującą jest tylko ta wielkość zakładu związana z wielkością siły. To, co nie było pięknem jako krajobraz, stało się niemal pięknem, jako potęga twórcza; tak, jak pięknem jest bohaterstwo brzydkiego mężczyzny lub poświęcenie szpetnej kobiety. Zadowolenie estetyczne przesuwamy w inną płaszczyznę, z dziedziny zmysłów w dziedzinę sensacji umysłowych.

Turystów oprowadza się systematycznie grupami, tłumaczy się popularnie stronę techniczną, często na migi lub przez megafon wobec ogłuszającego hałasu. Nie poraz pierwszy spotykam się ze zorganizowaną służbą informacyjną przedsiębiorstw amerykańskich, tkwi w niej chęć pochwalenia się, żądza reklamy czasem, ale świadomie czy nieświadomie jest w tem wiele chęci popularyzacji pomysłów technicznych, popularyzacji wiedzy. Zwiedzający słuchają i uczą się chętnie. Funkcję popularyzatorów wiedzy spełniają w lecie akademicy, zdobywający w ten sposób niezłe utrzymanie.

Patrząc na tę potęgę sił natury ujarzmionych przez człowieka dopatruję się pewnej myśli w umieszczeniu tego fenomenu właśnie tu, na granicy dwu największych mocarstw świata, w których przewodzi rasa anglo-saska. Nasuwa mi się parafraza znanego powiedzenia *the right man for the right place*; o pomieszczeniu Niagary możnaby powiedzieć: *the right place for the right men* — cóżby się

stało z tą wielką energią sił wodnych, gdyby pomieszczono ją w środkowej Azji, czy w Chinach, lub nawet w Europie w niejednym miejscu.

Dzieje uprzemysłowienia Niagary podają, że niejeden był amator wyzyskania tej siły, niejeden padł finansowo by „ciałem swem służyć innym za pomost do sławy grodu“, aż wreszcie dzięki postępom elektrotechniki — udało się.

IX.

Czas nagli, trzeba dalej naprzód, wracam do Buffalo, sierpniowy zaduch fabrycznego miasta zniewala mnie do szukania gościny na statku, odchodzącym wieczorem do Cleveland.

Noc przemiła, chłodna, jezioro spokojne, kabiny wygodne, łóżka szerokie, łóżko dolne ma charakter podwójnego, górne niezajęte, restauracja z usługą murzyńską. Murzyni doskonale się do tego nadają, mają uprzejmość „na wesoło“, pokorną służbistość, mimo-wolny szacunek dla białego, przeżytek wieloletniego niewolnictwa. Na zewnętrznych galerjach koło kajut szeregi podróżnych, chłodzących się powiewem od jeziora, szereg męskich trzewików na balustradzie, jak gdyby wystawa wyrobów krajowych, szukam ich właścicieli, siedzą w cieniu na krzesłach z wyciągniętymi odnóżami zakończonemi w rzucające się w oczy wytwory przemysłu szewskiego. Siadam obok i próbuję dostosować

się do zwyczajów miejscowych, mówiono mi w Europie, że Amerykanin lubi standaryzację, nie znosi ludzi innych, niż przeciętnych, niechętnie patrzy na inaczej się ubierających (w lecie kapelusz słomkowy jest obowiązującym), inaczej noszących zarost (t. zn. wogóle posiadających zarost na twarzy), inaczej chodzących (laskę noszą tylko cudzoziemcy lub eleganci w N. Yorku). A więc standaryzacja! i tak się już upieram przy zarostie, miękkim Borsalino i lasce, przynajmniej w tem się zastosuję do zwyczajów krajowych, że pokażę moje półbuciki. Nie sposób. Na to, by siedzieć po amerykańsku, trzeba się trenować, tak jak do siedzenia po turecku.

Nazajutrz wstał ranek pochmurny, w Cleveland mam postój czterogodzinny, oczywiście postój przemienił się u mnie w pochód. Pierwsze wrażenie czterogodzinnej przechadzki daje się ująć krótko: miasto przemysłowo-handlowe bez większych pretensji do roli kulturalnej, ciemne domy, fasady nieciekawe, dym zdaje się zakopcił tutaj wszystko. Przed dziewiątą rano stoję przed wielkim magazynem May et Co i obserwuję tę falę sprzedawczy obojga płci, wchodzącą do miejsca pracy, która za chwilę ożywi pusty budynek i puści w ruch wielki zegar handlowy. Jeden z przejawów organizacji pracy — przemiana ludzi pospolitych, bez pomysłowości czy energii, w siłę twórczą, przemiana tkwiących w nich, niewielkich walorów w użyteczną siłę społeczną, jeden z przejawów, jak z człowieka niedołężnego wykrzesać

można iskrę, pożądaną dla przemysłu czy handlu. Zdolny organizator, ów *captain of industry*, to jednostka, do której przyczepiony szereg zer daje miliardy społecznego dochodu. W Stanach Zjednoczonych można uczyć się nacznie, jaką rolę odgrywa w życiu społecznem pomysłowość jednostki; tam, gdzie była pustka, powstało miasto tętniące życiem, gdzie było ubóstwo, zakwitł dobrobyt, wszystko dlatego, że organizator (często pracując kapitałem obcym, pożyczonym) zaczął przeprowadzać pewną myśl.

Do magazynów May et Co wsuwają się przeważnie młodzi ludzie, zjawisko spotykane także w Nowym Yorku w godzinach przypływu i odpływu ludzkiego do ognisk pracy. Starsi już nie pracują na obcy rachunek, za oszczędności stworzyli własny warsztat pracy handlowy, przemysłowy czy inny, mają już własny *byznes* (jak mówią amerykańscy Polacy). W obcym przedsiębiorstwie pracują na starość tylko ludzie bez zdolności, czy bez szczęścia. Inaczej jak w Europie, gdzie szuka się zajęcia o stałych dochodach na całe życie osładzane myślą o emeryturze — bez pracy. Tego ideału społeczeństwo amerykańskie nie rozumie, pragnie zarabiać na to, by mieć — majątek, gotowe pracować cały dzień i część nocy, by utrzymać swą samoistość, dającą możność — dorobienia się.

Nędzna emerytura bez pracy nie pociąga nikogo, wszyscy tu godzą się na pracę nawet w późniejszym

wieku, byle tylko zdobyć podstawy ekonomicznej niezależności lub co więcej stworzenia zależności wielkich mas od siebie. „Panami będziem my“, brzmi to inaczej w ustach robociarza amerykańskiego, niż socjalisty europejskiego. „Panami będziem my“, to nie upaństwowienie warsztatów pracy i rządu masy robotniczej, to znaczy co innego, to znaczy stworzenie nowej placówki ekonomicznej i uzależnienie od siebie masy nowych, dorabiających się dopiero sił ludzkich.

Filozofja ekonomiczna socjalizmu nie może tu trafić do przekonania komu innemu, jak tylko tym niedołęgom, którzy wiedzą, że nie mają kwalifikacji na przywódców handlowych lub przemysłowych, albo tym biedakom, którzy brali się za bary z losem i padli. Poznałem tu człowieka, który straciwszy majątek na awjatyce we Francji, przyjechał do Stanów złamany, zgorzkniały, w poszukiwaniu kawałka chleba, mył naczynie w *lunchroomie* i był anarchistą (najwyższy stopień rozgoryczenia społecznego — 100 %), dziś ma stanowisko naukowe: ma nawet czas i ochotę do zabawiania się spirytyzmem.

Większość ludzi pracy żyje nadzieją, podtrzymywaną przykładem wielkich fortun, robionych przez liczne jednostki.

Captain of industry, to wielkie drzewo, w cieniu którego wyrastają majątki tak zwykłych spryciarzy, jak twórczych umysłów. Masy nadsłuchują, czy gdzieś nie tętni

już nowe życie ekonomiczne, nowa fabryka, w tej chwili około niej rozpocznie się konjunktura dla hoteljerów, restauratorów, golarzy, rozpocznie się ruch budowlany i spekulacja parcelacyjna. Na co tu socjalizmu? Umysł amerykański nie jest syntetycznym, tak jak umysł niemiecki lub rosyjski, stoi na biegunie przeciwnym diametralnie do „pryncypjalności“. Amerykanin chce „poprawić sobie los“ i widzi, że socjalizm bardzo marną jest do tego drogą, widzi to i czuje, a synteza socjalistycznej niwelacji wcale go nie zachwyca, on nie chce wcale równości ekonomicznej — co on za to sobie kupi? gramofon czy samochód?

To tak przyjemna rzecz jest nierówność — jeżeli się jest tym wyższym, silniejszym, piękniejszym, zdrowszym, mądrzejszym lub bogatszym. Kto rezygnuje z próby zdobycia owej wyższej platformy, to w oczach Amerykanina niedołęga.

X.

O jedenastej przed południem odchodzi statek z Cleveland do Detroit, gdzie ma stanąć przed szóstą wieczorem. Statek silnie napełniony — oczywiście, wszak to sobota, *Week-end*, koniec tygodnia, może o kilka godzin przyspieszony. Publiczność ma wybitne cechy — końca tygodnia, czuć radość studenta jadącego na wakacje, ruch, kręcenie się po okręcie, gorączkowe zajmowanie miejsc na pokładzie dających największe szanse

widoku, powietrza, ludzie stęsknieni widocznie jakiejś odmiany wrażeń, świeżości, podmuchu wiatru, o mało, że krzeseł nie stawiają na balustradzie, odchodząc kładą coś na swe miejsce na znak, że jest zajęte. Obok mnie jakaś dama z dwojgiem dzieci, dopytujących się po polsku, czy to w Cleveland pracował ich ojciec; dzieci równie podniecone jak starsi, wreszcie podnoszą okrzyk radości — „jedziemy“. Jakżeż krótką była radość — jak w życiu często — jezioro Erie było w złym humorze i dało temu wyraz zaraz po wyruszeniu z portu, statek zaczął wykonywać znane ruchy naprzód i wstecz a także z boku na bok. Publiczność widocznie nie była przyzwyczajona do takich kaprysów natury, stała oszołomiona. Owa dama — Polka zapytała mnie całkiem naiwnie — „co to takiego?“ Poradziłem, by zabrała dzieci ku środkowi okrętu, gdzie ruchy nie będą tak wyraźne. W tej samej chwili zaczął się ogólny Exodus, twarze wybladłe, zielone, wystraszone. Zostawiłem mój bagaż pod opieką matki-Polki z tem, że wyszukam jej lepsze miejsce, niż dotychczas zajmowane, gdy wróciłem dzieci oddawały się już morskiej chorobie, nie oszczędzając moich walizek, czyż miała to być symboliczna zapowiedź mego zetknięcia się z amerykańską Polonją?

Zaczęły się sceny, których o ile pamiętam, Dante nie wyzyskał w swoim Inferno a jednak byłby to motyw niezły; umieszczenie grzesznika wśród osób chorych — na morze. Kilkanaście *stewardessek* (zwanych

po krótko *maids*) wyszło w białych fartuchach, czy ochronnych sukniach na pomoc chorym, służba roznosiła gorączkowo blaszane naczynia, mające ratować dywany przed atakami pasażerów. Jakaś młoda amerykanka, siedząca obok mnie, mdlejącym głosem coś do mnie mówi, potrzebuje mego miejsca dla swoich dzieci, bo ma zamiar chorować razem z niemi — w kółku rodzinnem. Powoli zaczyna się opróżniać nie tylko pokład, ale także wewnętrzne korytarze i salony, chorzy znikają po licznych kabinach (statek przeznaczony także do komunikacji nocnej), zasiadam na wygodnej sofce i jestem — sam. Od czasu do czasu przemykają białe postacie *maids*, spoglądają na mnie badawczo: czy już? i idą dalej. Cicho, słychać pracę maszyny, okręt kołysze do snu. Kiedy się zbudziłem, zdawało mi się, że śnię jeszcze, było cicho, jak przedtem, ale kołysanka ustała, nie dowierzając sobie (do wszystkiego można się przyzwyczaić, można się stać nieczułym na wdzięki pięknej żony) — wysuwam się na pokład — pusto, ale pogoda zupełna, jezioro spokojne. Nie wiem, jakiego rodzaju jest Erie; po tym ataku histerycznym, który się tak prędko skończył, przypuszczam, że żeńskiego.

Nad wieczorem dojeżdżamy do Detroit, zdala widać kominy wysokie niezmiernie, jakgdyby z blachy i drapacze; mniej ich tu niż w N. Yorku, ale są. Na jednym z nich, lśniącym białemi kaflami, zresztą bardzo szczerliwie rozwiązującym sprawę harmonijnego rozkładu

masy drogą doboru szerszych i węższych kondygnacji — na szczycie pomieścił ktoś żelazną wieżę w rodzaju wieży Eiffla. Pomysł niezwykle, wrażenie estetyczne straszne. Jestto wypadek w Stanach Zjednoczonych częsty — budowlę wcale niezłą oszpecił ktoś szczegółem przerażającym. Oczywiście jest zaraz sposobność do wymyślania na temat braku smaku u nowobogackich, westchnienia na temat: „nie ma to, jak stara kultura, stara rasa“, cóż kiedy przypominam sobie, co mi opowiadał kiedyś znajomy malarz o pewnym arcyksięciu austriackim (Habsburgów zwykło się uważać za starą rodzinę), z którym łączyły go węzły przyjaźni. Arcyksiążę oddawał się z namiętnością i zapalem bronzowaniu gipsowych figurek, kupionym w tym celu proszkiem. Był to jego kult sztuki i piękna. A więc nie generalizować, zboczenia dobrego smaku zdarzają się wszędzie.

XI.

W porcie stolicy samochodów, oczekiwało na mnie dwu inżynierów — Polaków, jeden bardzo dobrze znajomy, drugi całkiem nieznajomy, ale przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi. Odwożą mnie do cichego hoteliku, choć w śródmieściu położonego, mój typ: cicho, spokojnie, bez pretensji, a wygodnie. Portjer murzyn, restaurację prowadzą Chińczycy, rolę t. zw. *Stubenmädchen* spełniają wyschnięte murzynki. W hallu nieustanny koncert radjowy, na szczęście w pokoju go niesłychać. — Te-

lefon wewnętrzny w każdym pokoju. Stacja telefoniczna na każdym piętrze, czasem dwie, za wrzuceniem nikla (5 cts), 5 minut rozmowy. Książka telefoniczna grubością odpowiada Nowojorskiej. Klucz do pokoju, sposobem amerykańskim jak do safe'u — system Yale. Do pokoju należy zacisze, obejmujące tusz z ciepłą i zimną wodą, w pokoju umywalnia z wodą obojga temperatur. W oknie poza szybą rama z organtyny, nad drzwiami okienko otwarte, ten sam system widziałem w Niagara Falls i Nowym Yorku. W nocy śpi się, a w dzień siedzi się — na przeciągu — bo inaczej można się w lecie udusić. Klimat w okolicy wielkich jezior, jak w Nowym Yorku nie należy do miłych — wilgotne ciepło. — Przypominam sobie dyskretny hygrometr zawieszony w jakimś kiosku w Nauheim (koło Frankfurtu nad Menem) — zawierał on dwa napisy, oznaczające stopień wilgoci w powietrzu: 1) *für die Blumen günstig* 2) *für die Menschen günstig*. Wilgotne ciepło w Detroit i okolicy należy do pierwszej kategorii, a roślinność mogłaby się tu pięknie rozwijać, gdyby nie pewien drobiazg, którego nie przewidziała przyroda, gdyby nie hypertrofja automobilizmu, wywołująca zatrucie powietrza. Statystyka twierdzi, że w Stanach Zjednoczonych samochód jeden wypada na 5 osób. Jeżeli tak, to w Detroit musi wypadać jeden na trzy. Mam uczucie chłopca, który nie chciał się uczyć, a lubiał słodycze. Rodzice oddali go za karę (!) do cukiernika (oczywiście ujęcie kwestji zupeł-

nie europejskie). Chłopiec otoczony cały dzień ciastkami patrzeć na nie nie może. Można znienawidzić samochody, będąc w Detroit. Na każdym wolnym miejscu (niezabudowanym placu) w śródmieściu, ktoś pomysłowy urządził parking, to znaczy stację wypoczynkową samochodów (za 25 cts. samochód może stać 24 godzin). Właściciel odszedł do jakiegoś zajęcia (*job*), samochód zostawił, unieruchamiając go w ten, czy inny sposób.

Na każdym takim placu kilkadziesiąt sztuk, ulice oczywiście wypełnione samochodami, czekającymi, lub jadącymi. Inne place wypełnione setkami samochodów używanych, nie opłaca się ich trzymać w zamkniętym lokalu. Do sprzedania! Sklepy zawierają albo nowe modele, albo lepsze wozy używane, albo części składowe samochodów albo dodatków do nich. Mam przekonanie, że mieszkaniowiec w Detroit przychodzi na świat na to, żeby pracować przy wytwarzaniu samochodów, lub przy ich naprawianiu, ich sprzedaży, albo przy sprzedaży benzolu i oliwy w niezliczonych stacjach benzynowych, albo przy myciu w „pralniach“ (*laundry*) samochodów (9 minut *while U (-yon) wait* t. zn. na poczekaniu). Jeżeli ktoś ma kłopot z samochodem (nie chce startować) zbliża się chłopiec kilkunastoletni, skromnie ubrany i udziela porady technicznej (zupełnie trafnej). Dla dodania sobie powagi nadmienia lekko: „ja mam także samochód“. Ogłoszenia sprzedaży samochodów używanych opiewają: od 50 do 1.500 dolarów. A co to jest

50 dolarów w Detroit? w mieście, gdzie za strzyżenie głowy i brody płaci się dolara (połowa dla właściciela, połowa dla pracownika). Automobilizm zatruwa powietrze wyziewami, które ciepło wilgotne trzyma przy ziemi, zmuszając do ciągłego oddechania niemi; automobilizm masowy hamuje komunikację nie tylko pieszą, ale swoją własną. — Co chwila zjawia się czerwone światło na latarni ulicznej, co chwila trzeba przystawać, czekać na światło zielone, na to, by stanąć znowu, wyjazd z miasta i przyjazd do miasta wymaga godziny czasu lub więcej. Wyjeżdżamy wreszcie za miasto, nareszcie... ale przed nami mknie szereg innych samochodów, zostawiając zapach charakterystyczny, my dodajemy swój dla użytku następców — i tak kilometrami całemi. Gdzie uciec, gdzie się schronić? Najwyższy czas przejść do aeronautyki — na ziemi jest za ciasno — tak się przynajmniej wydaje w Detroit. Pocieszajmy się, że w Polsce jeszcze do tego daleko. Samochód amerykański kosztuje w Polsce ściśle dwa razy tyle, co w Detroit, a w Polsce zarobków nie wypłaca się w dolarach. Hypertrofia samochodów w Detroit ma dla mnie dodatnie strony, rodacy co chwila ofiarowują mi swoje samochody do dyspozycji, począwszy od wspaniałego Buicka konsula Kozłowskiego, poprzez mniej wspaniałego Buicka innych znajomych, aż do Fordów rozmaitego rodzaju. Szofer nie istnieje w prywatnych samochodach, wozem kieruje właściciel lub przyjaciel domu.

Ma to swój urok, rozmowa swobodna, nie krępowana obecnością człowieka innej umysłowości.

XII.

Zaraz pierwszego wieczora zawieziono mnie daleko za miasto (około 20 mil angielskich) do Venice-Beach — Weneckiej plaży — droga cała oświetlona *al giorno*, jak zresztą wszystkie główne arterie komunikacji pozamiejskiej; sama plaża dostępna za opłatą, która uprawnia nietylko do siedzenia i słuchania tanecznej muzyki, ale także konsumpcji chłodników, lub odtąnczenia swoich pieniędzy. Tańce odbywają się na gładkiej, polerowanej posadzce betonowej. Głęboko w jezioro sięga drewniany pomost zakończony miejscem do kąpiei; pomimo późnej pory, jest już po dziesiątej P. M. (Amerykanie nie stosują europejskiego sposobu liczenia godzin 24 w jednej rozciągłości) amatorów kąpiei było równie wiele, jak amatorów tańca. Kto żądny był świeższego powietrza, mógł być korzystać z motorowej łodzi, mocno hałaśliwej. Byłoby tam może przyjemnie, gdyby nie straszny pomysł rozwieszenia lampek różnokolorowych — zielonych, czerwonych, niebieskich, żółtych. Całość spadła odrazu do poziomu jakiejś zabawy na odpuszcie, czy rozrywek w wiedeńskim Volksprater. Może zresztą ta iluminacja odpowiadała gustom licznie zebranej publiczności, może to była publiczność stosowna dla tych efektów świetlnych.

Nazajutrz znalazłem się na Belle - Isle (nazwa francuska wymawiana po angielsku — pochodzi z czasów, gdy gościli tu Francuzi, margrabia Cadillac i towarzysze — nazwisko margrabiego figuruje na znanych ośmio-cylindrowych samochodach). Jestto wysepka, połączona mostem z Detroit.

Była to niedziela, wysepka, posiadająca park wcale dobrze założony z małym ogrodem zoologicznym, ciepłarnią, zawierającą palmy — (daleko im do kolekcji Rotszyldów w Frankfurcie nad Menem) pełny był samochodów, przeważnie stojących (*parking*) wzdłuż drogi; samochody były różne, wiele było nowych i drogich (w Europie). Obok samochodów na trawie leżeli właściciele ich w towarzystwie rodzin, przeważnie bez marynarki. Nastrój był spokojnie rodzinny. Czuć było, że to robotnicy wypoczywają po pracy całego tygodnia. Tłumy, leżące w trawie obok samochodów zachowywały się spokojnie. Zauważyłem, że tłumy te prażyły się w słońcu nad brzegiem jeziora, a w głębi parku, gdzie był miły cień, droga była pusta. Zwróciłem na to uwagę towarzysza mego, na co otrzymałem informację, że tłum amerykański przepada za tem, by być tłumem. Ludzie ci potrzebują otoczenia bliznich, hałasu lub gwaru, nie znoszą samotności.

Czy to rys amerykański? czemuż jednak wytłumaczyć siedzenie w kawiarniach zadymionych i przepełnionych — w Europie? To swoista psychika nowożytnego człowieka i niższego (umysłowo) typu.

Belle - Isle ma jedną rzecz cudowną, — oto na miejscu bardzo widocznem ustawiono fontannę, architektonicznie szeroko rozbudowaną. Naprzeciw niej pomnik siedzącego w fotelu mężczyzny, patrzącego na wodotrysk. Otrzymuję wyjaśnienie, że jakiś „finansista“ zapisał miastu znaczną sumę na fontannę pod warunkiem postawienia mu pomnika. Była opozycja w Radzie miejskiej przeciw przyjęciu tego zapisu, ale przeważyło zdanie: *pecunia non olet*; oczywiście możnaby zaraz podnieść rys znamienny zmaterializowania nowego społeczeństwa, cóż kiedy łacińska maksyma o pieniądzu, który nigdy źle nie pachnie, pochodzi od jednego z rzymskich cesarów. Stary świat miał swój cynizm znacznie dawniej. Przypominam sobie, że na krańcu Neapolu na Pozylipie wystawił sobie jakiś bogaty Żyd, wspaniałe mauzoleum w stylu wschodnim, po śmierci nie mógł tam zamieszkać, gmina nie pozwoliła na to „ze względów sanitarnych.“ Co za gest wobec bogacza! Ale bogacz gminie nic nie zapisał...

XIII.

Konsul R. P. p. Kozłowski, typ ziemiański w formach towarzyskich i poglądach na życie, był dla mnie bardzo uprzejmy, zawiózł mnie raz do kanadyjskiego miasteczka Windsor (nazwa przypomina Anglję). Jazda do Windsoru miała swe momenty ciekawe o tyle, że przejeżdżaliśmy przez dzielnicę miljonerów *Grosse pointe*,

obejmującą wille wcale smaczne, wśród obszernych parków prawie nie ogrodzonych (ogrodzenie od złodzieja nie zabezpiecza, a utrudnia pokazanie się „niech świat widzi, co ma Dzidzi“), konsul objaśnia mnie: tu mieszkają ludzie, z których każdy ma najmniej kilkanaście milionów. Zajmującym jest przejazd na kanadyjską stronę promem (*Ferry*), samochody wjeżdżają zgrabnie i ustawiają się z uwzględnieniem ekonomji miejsca. We Windsorze można już pić zupełnie bez obstrukcji, czego dusza zapagnie, z Windsoru przewozi się do Detroit — jak mówią wtajemniczeni — alkoholu za 150 milionów dolarów rocznie, odbywają się na rzece bitwy między armją kontrobandzystów (*bootlegerów*, *moonshinerów*) a armją stróżów prawa. Strzały trafiają często w budynki na kanadyjskim brzegu, zwłaszcza w te, gdzie mieszczą się magazyny alkoholowych napoi. Rząd angielski wysyła notę do Waszyngtonu, Waszyngton się usprawiedliwia i dalej toczy się bój, czy też zabawa w ciuciubabkę (po angielsku nazywa się to *hide and seek* — bądźmy w stylu). Osobiście jestem abstynentem z przekonania, ale bez zasługi, nie lubię uczucia, które nazywamy podchmieleciem, czy alkoholizmem podnieceniem. Nie lubię tak, jak ktoś nie znosi kołysania. Wiem także, że alkohol jest pod każdym względem zabójczym; słowem i piórem głoszę od lat, że między alkoholizmem, a przestępczością pewnego typu zachodzi związek jak najściślejszy, a jednak zobaczywszy ciuciubabkę amerykańską, zachwiałem

się w swoich zapatrywaniach na prohibicję jako środek umoralnienia społeczeństwa.

Byłem kiedyś w towarzystwie mieszanem w restauracji w Detroit (w której? „dyskrecja rzecz honoru“), panowie i panie zamawiają wódeczki, piwo, i otrzymują piwo we flaszcze od *Ginger* — ale (niewinny napój z imbirem) lub wódeczkę w małych szklaneczkach, zupełnie jak w Warszawie, kiedy istniał zakaz szynkowania alkoholu w niedzielę (może jeszcze istnieje?). Pytam się: jakto, to wolno sprzedawać alkohol, otrzymuję odpowiedź: „sprzedawać? Broń Boże, ale właściciel jadłodajni może zrobić prezent“ (poczęstunek przyjacielski), pytam, czy ten alkohol przychodzi w drodze kontrabandy? niekoniecznie, są ulice, na których każdy dom zawiera tajną gorzelnię i tajny browar.

Nie musi być w tem wiele przesady, skoro literatura i sztuka amerykańska tak często bierze za główny temat, lub przynajmniej za tło walkę przemytników z policją lub między sobą w związku z obchodzeniem przepisów o prohibicji.

Przypominam sztukę *Broadway*, dawaną z powodzeniem w Warszawie w Teatrze Polskim, wypełnia ją walka dwu band przemytniczych o rynek zbytu.

Zupełnie ten sam temat z innem powikłaniem miłosnem, widziałem w Detroit w kinie United Artists, film nazywa się *Gangwar* t. zn. walka band. W innem kinie widziałem film *Lights of New York*, gdzie znowu

przynajmniej jako epizod zjawia się ukrywanie alkoholu i poszukiwanie za nim policji, oczywiście bezskuteczne. Złośliwi twierdzą, że najlepszy alkohol dostać można od — policji, złośliwi opowiadają, jakie podarunki składać trzeba na rzecz organów kontroli, by przewieźć motorówką alkohol z Kanady do stanu Michigan, wymieniają nawet taryfę. Słyszy się zdanie, że prohibicja demoralizuje, bo przyzwyczajają obywatela do obchodzenia prawa, które uważa za niesłuszne, a jak wiadomo, *ce n'est que le premier pas qui coûte...* demoralizacją jest oczywiście łapownictwo organów kontrolnych. Jest w tem rzecz jeszcze gorsza. Oto przedsiębiorcy kontrabandy zaangażowali dla swych celów zawodowych przestępców, którym lepiej kalkuluje się przewozić alkohol, niż rozbijać po drogach. Następstwa tego są fatalne, świat zawodowej przestępczości, który jest wrzodem życia społecznego, otrzymał wpływowych sojuszników, otrzymał znakomitą organizację, otrzymał wybitnych adwokatów jako obrońców w razie procesu karnego, otrzymał dopływ kapitału. Świat przestępców zawodowych, który istnieć winien poza społeczeństwem (doskonale polskie wyrażenie — „wyrzutek społeczeństwa“) znalazł się w środku życia społecznego jako pożyteczne narzędzie.

Pojęcia tak się pomieszały, że przedsiębiorca kontrabandy używa swoich ludzi od „majchra“ i witrychu nie tylko do celów zawodowych, ale i do politycznych. Bootlegerzy wynajmują się do akcji politycznej.

A dzieje się to w tych samych Stanach Zjednoczonych, w których tak wiele się robi mądrego dla walki z przestępczością, w których zakłada się Reformatories, tworzy się *Juvenile Courts* (przejęte już przez Europę); tutaj stała kolebka nowożytnego więziennictwa, stąd szło w świat t. zw. warunkowe wstrzymanie wykonania kary. Dyrektorowie więzień uskarżają się na przepełnienie zakładów penitencjarnych, jakiego nigdy nie było, a to w czasie, gdy w Anglii więzienia się zamyka, budynki więzienne się sprzedaje. Społecznicy widzą falę przestępczości wyraźnie rosnącą w U. S. A. Co będzie dalej? Zwolennicy prohibicji odpowiadają: „to nic nie szkodzi, tylko trochę cierpliwości, przyszła generacja błogosławić nas będzie, bo wychowa się w abstynencji od alkoholu“. Tu, zdaje się, zachodzi pomyłka — prohibicja teoretyczna i bezskuteczna wywołuje tylko podrażnienie ciekawości, tak niebezpieczne u młodzieży — wytwarza „zakazany owoc“. Zakazy palenia wpędziły setki młodzieży w ten nieszczęśliwy nałóg. Równocześnie kontrabanda jako intratny zawód może pociągnąć jednostki odważniejsze i rzucić w ramiona bootlegerów i zawodowej przestępczości. Wytworzył się obok bootlegerów (moonshinerów) nowy typ zbrodniczy — *bijaker*, człowiek, który w licznej bandzie napada na bootlegerów dla odebrania wódki, lub zdobycia okupu...

Alkoholizmu prohibicją się nie zwalcza, zwalcza się propagandą, zwalcza się odciąganiem robotnika od

knaipy, całym szeregiem umiejętnych zabiegów, ale nie policją, sądami, więzieniami.

Rzecz szczególna, w Anglii, która zarzuciła myśl prohibicji, konsumpcja alkoholu ma wynosić trzecią część tego, co w roku 1914; podobno czterdzieści dwie rafinerje spirytusu w ciągu lat dziesięciu ostatnich zaprzestały produkcję. Dział ten przemysłu upadłby zupełnie, gdyby nie eksport do — prohibicyjnych U. S. A. Jaka przyczyna zjawiska tego? może pozostaje to w związku ze skargami rafinerów na podwyższenie podatku od butelki ośmiokrotne, obecnie ma wynosić podatek około ośmnastu złotych od butelki.

Ale pocóż się przejmować tą sprawą? nam w Polsce prohibicja nie grozi; tam, gdzie równowaga budżetu państwowego opiera się w znacznej części na monopolu spirytusowym, tam byłoby nieszczerością wprowadzać prohibicję — tak, jakgdyby te wielkie masy spirytusu produkowanego można było zużytkować wyłącznie w celach przemysłowych lub leczniczych. Przypomina mi się stary Dunajewski, który będąc 11 lat austriackim ministrem skarbu i zwolennikiem monopolu tytoniowego, tak przesiąkł swoim zawodem, że już jako emeryt niechętnie się odnosił do niepalących. „Pan nie pali, to źle, to z uszczerbkiem dla Skarbu Państwa“. Austrija miała monopol tytoniowy, podobnie jak dziś Polska. Polska ma także monopol spirytusu. Jakiś polski minister skarbu powie mi kiedyś (rumienię się na tą

myśl): „Pan nie pije — to źle — to z uszczerbkiem dla Skarbu Państwa“.

XIV.

Konsul Kozłowski zaproponował mi pewnego dnia, że zawiezie mnie do Ann - Arbor miejscowości małej, ale siedziby Uniwersytetu Stanowego. Stan Michigan jako taki ponosi kosztą jego utrzymania; w Detroit jest także Uniwersytet, ale prywatny, jak to często bywa w Stanach Zjednoczonych. Oczekiwać nas będzie rodak, prof. Pawłowski. Oczywiście powitałem myśl z entuzjazmem. Po drodze widzieliśmy, jak jakiś samochód wyprzedzając poprzednika, tak go pięknie trącił, że potrącony przejechał rów i zatrzymał się na miękkiej rozkopanej ziemi — bez uszczerbku dla pasażerów, lecz z jakimś poważnym defektem dla siebie. Sprawca zło czynu zatrzymał się, poczem obie strony interesowane rozmawiały — bez widocznych oznak wzburzenia. Ta zimna krew tłómaczy się nietylko jakimś anglosaskiem opanowaniem nerwów, ale także tem, że każdy automobilista jest ubezpieczony od odpowiedzialności. Potrącony wiedział, że szkoda będzie wyrównana (podobno zazwyczaj — świetnie), potrącający wiedział, że go to nic kosztować nie będzie: „nieszczęśliwy wypadek“ i koniec. Kluby automobilistów mają system ubezpieczenia wzajemnego członków.

Po półtoragodzinnej jeździe ukazują się wille wśród

drzew; wszystko czyste, miłe, wreszcie liczne budynki uniwersyteckie; zajeżdżamy do siedziby prof. Pawłowskiego (awjatyki), w halu wisi model samolotu, zbudowanego przed kilku laty przez jego ucznia, dostajemy się do jego pracowni, następnie do miejsca, gdzie wytwarza się wiatr (potrzebny do próby samolotów). Motor o sile 300 koni, wywołuje ruch powietrza, które przechodząc przez szereg komór i rurek, otrzymuje stały kierunek — staje się ściśle określonym wiatrem.

Wychodzimy na zwiedzenie reszty — Uniwersytet ma własny szpital, okazałe kolegium dla prawników (mieszkania) — dar adwokata z Nowego Yorku Cooka, zastępcy prawnego trustów (*corporations*) we walkach z państwem. Ofiarował 20 miljonów dolarów, z których część dopiero zużytkowano na luksusowe budynki. P. Pawłowski pokazuje nam w podwórzu gotyckie gmachy w typie kościoła i nadmienia, to wcale nie jest kościół — to jadalnia dla prawników. Nie mogę powiedzieć, by pomysł ten robił miłe wrażenie. Wątpię także czy ogrzanie takiej wysokiej sali łatwo przychodzi.

Biblioteka Uniwersytecka niezbyt wielka, ma ogromną salę czasopism, każde czasopismo ma swoją skrzynkę w szafie biegnącej wzdłuż ścian. Katalog kartkowy dostępny dla wszystkich, bo kartki są na drutach, wyjąć ich nie można. Przypadek chciał, że stałem przy literze „Ma“ — zaglądam, czy niema czego mojego. Jest — *Einführung in die Philosophie des Strafrechts i Juristische Ab-*

handlungen. Mam uczucie zadowolenia, że książki moje dostały się wprowadzić nie „pod strzechy“, ale na drugą półkulę. Mam uczucie smutku, że do wielkiego świata po polsku mówić nie można. Mamy wybór języka angielskiego, francuskiego, niemieckiego. Trudno, nie ma na to rady. — W Cambridge (obok Bostonu) w bibliotece Harvard - University znalazłem (w dwa tygodnie później) jeszcze inne swoje publikacje: *Das Wesen des Verbrechens*, *Evolution de la peine* i po polsku (!) *Prawo karne* 1924. W N. Yorku w Public Library na 5-tej Avenue jest tylko *Einführung*.

Piękną willę zajmuje prezydent Uniwersytetu, wybierany przez regensów, których znów wybiera stan. Tak zatem pośrednio prezydent Uniwersytetu wychodzi z powszechnego głosowania.

Na obiad idziemy do restauracji chińskiej — oprócz nas niema żadnego przedstawiciela rasy kaukaskiej, za to pełno młodych chińczyków, obojga płci. To uczniowie, którym nie opłaca się jechać na wakacje do domu. Obiad polega na tem, że każdy z nas, (jest nas czterech) zamawia jedną potrawę, poczem dzielimy się, gdyż porcje są ogromne. Podobno w Chinach jest inaczej. Jak określić to, co jedliśmy? wiele jarzyn czy roślin nieznanych naszemu podniebieniu (skąd oni to biorą?) w kombinacji z tłuszczami i mięsem. Czy to była kuchnia chińska, czy tylko potrawy przyrządzane przez Chińczyka, nie wiem. Wiem tylko, że zaraz po obiedzie

wybraliśmy się do — apteki. — Proszę tego nie brać tragicznie. Apteka amerykańska odznacza się tem, że miejsce przeznaczone dla wyrobu leków według recepty (*prescriptions*) jest starannie schowane (pewnie z delikatności, żeby nie przerażać), natomiast na pierwszy plan wysuwa się lada, przy której jak w europejskim barze, popija się trunki (bez alkoholu), mające służyć do ugaszenia pragnienia. W aptece sprzedaje się także perfumy, książki, dzienniki i kartki widokowe. Chodzi widocznie o wyzyskanie miejsca. Biesiadnicy po chińskiej uczcie nie udali się do części wstydlivej apteki a do tej widocznej. W aptece był ruch, jakieś dzieci kupowały lody w rurkach z andrutów...

XV.

Głównym celem mojej podróży do stanu Michigan było zwiedzenie więzienia (reformatory) stanowego w Ionia... *It is a long way to Tipperary* — mówi popularna piosenka. Wyjechałem rano o 8-mej autobusem do stolicy stanu — Lansing. Stolicą jest, jak zwykle, mała miejscina. Przyjechałem o 11-tej (84 mil angielskich), idę do gubernatora (*governor*), do którego mam list od posła Stetsona. Governor urzęduje na Capitolu (tak nazywa się budynek reprezentacyjny). Capitol zewnętrznie przedstawia się poważnie — renesans włoski z kopułą św. Piotra, którą widocznie w czasie budowy jakiś cyklop pochwycił w dwa palce i pociągnął w górę, wydłużyło

się biedactwo i już tak zostało. Nic na to nie poradzę. Wchodzę do środka, dostojna okazałość, drzwi wszędzie szeroko pootwierane; w Stanach zasada jawności idzie niezmiernie daleko, wchodzę do biura informacyjnego, gdzie jakaś starsza dama wita mnie z okrzykiem radości *How do you do?* jak człowieka dobrze znanego, którego się nie widziało kopę lat. Po zapytaniu otrzymuję niezmiernie uprzejme wyjaśnienia. Idę na piętro, gdzie mieszczą się sale posiedzeń i biura gubernatora. W wielkiej sali na środku siedzi człowiek w średnim wieku i z kimś rozmawia, pod ścianami czekają na swą kolej, siedząc na krzesłach, inni; mogą słuchać rozmowy, — jawność... Orjentuję się, że to sekretarz, czekam na swą kolej — oświadczam, że mam list do gubernatora. Cóż kiedy teraz kampanja przedwyborcza, a p. Fred W. Green walczy o utrzymanie się na stanowisku, bo ma kontrkandydata, w sprawach administracyjnych zastępuje go sekretarz, który telefonuje do p. sędziego Wood, kierownika departamentu Corrections i Parole. Niema pana Wood, jest w urzędowych rozjazdach, ale jest zastępca, który otrzymuje polecenie zrobienia wszystkiego, czego będę sobie życzył. Idę do State - Office, właściwych biur stanowych, położonych niedaleko. Okazały budynek z kamienia, — dostaję się do właściwego człowieka, który w koszuli (gorąco) wita mnie kordjalnie. Oświadczam mu, że mam tylko jedno życzenie — zwiedzić Reformatory. Zaraz telefon do Ionia, coś kiedy

warden (dyrektor) wyszedł na śniadanie. Umawiamy się, że ja jadę zaraz, a mój protektor zatelefonuje później. Zjadam w jakimś lunchroomie — jakiś drobiazg i jadę autobusem w niesłychanem tempie (jak na autobus) dwie godziny. Jestem na miejscu, ale budynek samego Reformatory na końcu (przeciwnym) miasteczka. Najmuję samochód. Wyjeżdżamy na wzgórze, widzę jakiś wcale malowniczy budynek, jestem u celu. Po dłuższej chwili czekania wychodzi do mnie wysoki starzec, wcale sympatyczny i prowadzi mnie milcząco poprzez rozmaite bramy z grubych żelaznych prętów; zatrzymujemy się na chwilę, on po kogoś posyła, pokazuje się, że z obawy, że się nie porozumiemy, posłał po więźnia, mówiącego po polsku. Przychodzi jakiś niesympatyczny młodzieniec, którego trudno zrozumieć, to Polak urodzony w Kanadzie. Dyrektor, któremu komunikuję wynik rozmowy, posyła po drugiego, ten już urodzony w Polsce, mówi niezłe. Idziemy, okazuje się, że choć dyrektor mówi po angielsku w sposób bardzo Michigański, to obchodzimy się bez tłumacza, rozumiemy się dobrze.

To Reformatory w Ionia a Reformatory w Elmira, to są dwa światy zupełnie różne. Zakład w Ionia, to nie jest zakład reformujący, regenerujący, to jest więzienie polskie z możliwością skrócenia czasu pobytu według uznania *Board of managers*. A więc zasada nieoznaczonego skazania, ale bez dodatkich stron reformacji. Zaraz na wstępie uderza rzecz niesłychana —

olbrzymia sypialnia, wypełniona łózkami. Tego nie ma nawet w Polsce, nie wiem, czy jest gdzie na świecie. Do tej sypialni wprowadza się młodych ludzi od 16-tu do 30-tu lat, w epoce największej pobudliwości płciowej. Zapytuję skromnie, czy niema przykrych doświadczeń z tą wspólną sypialnią. Spokojna odpowiedź „o tak, bardzo przykre“. Pytam, czy w zakładzie nie ma celek. „O! są — ale tylko dla więźniów podejrzanych o zakaźną chorobę“ (a więc izolacja dla zapobieżenia epidemji). Celek tych wogóle niewiele, z tego część tylko zajęta. Idziemy dalej, wchodzimy na podwórze, na którym stoją budynki fabryczne — w jednym z nich kilkaset ludzi zajmuje się krawiectwem, w drugim inni zajęci stolarką i t. d.

Wszędzie organizacja amerykańska pracy, robotnik odrabia stale jeden tylko szczegół. Pytam, ile godzin dziennie trwa praca? dziewięć, pytam: czy następuje zmiana w rodzaju zajęcia? O! nie! Cały czas, jak długo młodzieniec jest w fabryce (więzieniu), robi ciągle jedno i to samo (n. p. przyszywa guziki, prasuje i t. p.). A więc zajęcie fabryczne służy do tego, by korzystać z siły roboczej? Oczywiście, że tak. Dyrektor wyjaśnia: „Więzienie nie jest zakładem do nauczania“. Przechadzka? nie istnieje. Rozrywki? od czasu do czasu — kinoteatr. Pytam o dział analizy psychologicznej, tak dobrze zorganizowanej w Elmirze; nie ma. Za to dział fotografii więźnia, odcisków jego palców na bardzo wy-

sokim poziomie dokładności. Wizyta pouczająca niezmiernie. — Stwierdzam naocznie, że Stan do Stanu niepodobny nawet w dziedzinie penitencjarnej. Nie można mówić o Stanach Zjednoczonych na podstawie znajomości jednego Stanu. Takie Reformatory, jak w Ionia, może tylko dobrą opinię tego typu penitencjarnego na szwank narazić. Tutaj oczywiście więzień nie poprawia się, a tylko uczy się hypokryzji (zwykły zarzut podnoszony przeciw wyrokom nieoznaczonym).

Wracam do miasteczka hałaśliwie obchodzącego jakieś „targi“.

Droga do Detroit przez Lansing prowadzi wśród farm, z których prawie każda składa się z willi (*bungalow*), wiatraka do pompowania wody i budynków gospodarczych wraz z *silosem* (krągłą wieżą na konserwy paszy dla bydła). Roślinność jak u nas. Już po zbiorach. Stoją wielkie sterty słomy, jak pod Zaleszczykami, złożące się w słońcu, żółcą się pola kukurudzy, na okolicach otoczonych płotem z drutu — trochę bydła, rzadko owce.

Zrywa się krótka burza, powietrze się odświeża. O pół do pierwszej w nocy staję w Detroit. Uspokoił się ruch, ale powietrze ciężkie, wilgotne i przesycone wyziewami samochodowymi — zostało. Trudno, trzeba cierpieć.

XVI.

Pewnego dnia po licho spędzonej nocy w atmosferze benzynowej ciepłarni postanawiam uciec tam,

gdzie niema samochodów, — choć na dwa dni. Wyjeżdżam parowcem, mam przejechać jezioro Hurońskie na północ i zawrócić na południe przez jezioro Michigan do Chicago. Opatrzność łaskawa — pogoda piękna, statek idzie spokojnie dłuższy czas wśród skrawków ziemi, przemienionych w letniska. Mijamy co chwila ogromne parowce towarowe, od czasu do czasu przewinie się statek osobowy. Ruch ożywiony, ale na jeziorze jest jeszcze dość miejsca. Towarzystwo na statku nieliczne, przeważnie kobiety, jadą na wyspę Mackinac (na połowie drogi), stanowiącą popularne letnisko. Wyszukuję zaciszne miejsce na pokładzie i zaczynam pisać. Nagle słyszę głos mówiący po angielsku: „Ja Pana widziałem dziś u polskiego konsula“. Nie mogę zaprzeczyć, byłem. Na to zaczyna się rozmowa po polsku. Rodak jest fotografem, który właśnie robił zdjęcia z personalu konsularnego do wydawnictwa jubileuszowego Rzeczypospolitej Polskiej. Rodak posiada dwa „byznyesy“ fotograficzne i zatrudnia siedm osób personalu; polityką i sprawami polskimi interesuje się bardzo, ale zapatrywań swych nie wypowiada, bo „człowiek w *byzniesie* nie chce zrazić sobie klientów“. Po chwili zjawia się połowica, młoda, ale już okazała, z pięcioletnią córeczką jeszcze bardziej rozlewną. Państwo fotografowie wypytują mnie, poco przyjechałem, mam uczucie, że nie wierzą w szczerość moich zapodań. Uskarżają się na jakiegoś młodzieńca, który niedawno przyjechał do Detroit,

ażeby opowiedzieć rodakom o swym zamiarze „opasania kuli ziemskiej sztandarem polskim“. Do tego celu potrzebny mu był nowy, dobry samochód, bo stary Ford, którym dojechał do Oranu, nie bardzo się nadał na dalsze podróże. Obiecujący młodzieniec pokazywał fotografie z dotychczasowej podróży. Słuchano go pilnie, miewał ogromne audytorjum (po kilka tysięcy ludzi). Myśl propagandy polskości zapomocą podróży okrężnej trafiała do przekonania słuchaczom. Jedna słuchaczka (uboga pracownica) ofiarowała mu w przystępie entuzjazmu aparat radjowy za 100 dolarów. Znalazł się też nowy *Buick* dla podróżnika. Po kilku tygodniach młodzieniec opuścił Detroit, celem jazdy do Kalifornji. Pp. fotografowie są jednak zaniepokojeni, bo doszła ich uszu wiadomość, że podróżnik spędził kilka tygodni w Toledo, niedaleko Detroit, przyjmowany entuzjastycznie, a potem zamiast na zachód, pojechał na wschód do Baltimore, gdzie miał się zaręczyć z córką jakiegoś sędziego. Pp. fotografów gnębi pytanie, dlaczego on pojechał na wschód, zamiast na zachód, dlaczego nie daje żadnego znaku życia. Mówią, że sprawa podróżnika odbiła się niedobrze na frekwencji w czasie odczytów Sztemlera (z Macierzy polskiej), którego audytorjum było tylko fragmentem w stosunku do ilości słuchaczów przedsiębiorczego podróżnika. Pani fotografowa ryzykuje nawet twierdzenia, że jakby teraz kto chciał wystąpić z odczytem, to mogłoby go spotkać przykre przyjęcie.

Czuć w głosie gorycz i pogardę dla tych ludzi z dawnego kraju, do których nie można mieć zaufania *). Emigracja często odnosi się do Polski, jako do państwa, wyciągającego od emigrantów ich krwawicę w rozmaity sposób — przez dewaluację pieniądza, przez odczyty, przez propagandę polityczną. Miałem ochotę uspokoić pp. fotografów, że z żadnym odczytem nie wystąpię i mówiąc po Detroucku „nie nabiję ich w butelkę“. Pani fotografowa z lekceważeniem odnosiła się także do Polek w starym kraju, które wstydzą się roboty i trzymają domową służbę... Opowiada o spostrzeżeniach swojej znajomej, która niedawno odbywała podróż po Polsce, jak to ludzie od Amerykanów znacznie ubożsi, wydają niepotrzebnie pieniądze na służbę. Pozwoliłem sobie na mały wykład ekonomji: w Stanach Zjednoczonych służąca oprócz całego utrzymania pobiera płacę około 80 dolarów miesięcznie, pracuje do ósmej, ma wolną Niedzielę i dwa wolne półdnia w tygodniu — w tych warunkach oczywiście niejedna czy niejedna stawia sobie pytanie, czy nie lepiej obejść się bez takiej pomocy i kwotę tę samemu zarobić. W Polsce płaca wynosi około 50 złotych, a czas zajęcia jest dłuższy.

*) W wypadku owego młodocianego podróżnika, obawy emigracji okazały się bezzasadnemi. Powróciwszy do Polski, stwierdziłem na podstawie informacji naszych dzienników, że skaut Jeliński dotrzymał obietnicy i w październiku 1928 r. ukończył swą podróż okrężną naokoło kuli ziemskiej. Przyjął go Prezydent francuskiej Republiki na audjencji.

Znowu powstaje pytanie, czy warto czas tracić i siły, jeżeli można mieć pomoc — tanią. Pani fotografowa nie przeczy, ale nie jest zadowolniona. Na drugi dzień rano dowiaduję się, że państwo jadą na tydzień do Mackinac - island, że ceny za pokój bez utrzymania mają wynosić dziennie 11 dolarów od osoby. Musi to być oczywiste nieporozumienie, prawdopodobnie nie zauważono, że przy cenie pokoju dodano wyrazy: *american plan*, co tutaj oznacza *tout compris* a więc także utrzymanie. Jeżeli cena miałaby oznaczać sam pokój, to byłby (często stosowany) dodatek *european plan*. Państwo fotografowie chcą jednak pokazać, że im o cenę nie chodzi i opowiadają, że gdzieś tam mieli apartament z trzech pokoi za dziewięć dolarów dziennie. Mam uczucie, że rodakom powodzi się kokosowo, czują się też doskonale i odpowiednio spoglądają na życie. Przypomina mi się mimowoli historia z przed wielu lat, jak to urzędnik lwowski namiestnictwa oświadczył się o rękę córki bogatego rzeźnika. Rzeźnik dowiedziawszy się, że kandydat na zięcia jest — urzędnikiem, zawołał z oburzeniem: „megaj baciarz, pókim dobry...” Tutejsza emigracja ma na tem polu poglądy czasem liberalniejsze, bo jeden z urzędników konsularnych otrzymał rękę córki polskiego miljonera.

XVII.

Czy Polonja w Detroit jest bogata? Zamożności jest tu wiele, dzięki temu, że nasi emigranci, pochodząc

przeważnie ze wsi, chętnie lokowali pieniądze w ziemię, choćby w mieście, kupowali choćby małe działki (loty). Tymczasem Detroit rosło i to szybko, za działki płacono po kilkunastu latach wysokie ceny. Są tu także aferzyści, zręcznie operujący pieniędzmi, częsty jest typ spekulanta gruntowego, jeszcze częstszy pośrednika w handlu nieruchomościami (*real estate*), pozatem Polonja (300.000 ludzi) ma kilka restauracji, dwa dzienniki, walczące z sobą na noże (symbolicznie) i na — więzienie (realnie), apteki (z dodatkami, jak zwykle — perfum, książek, dzienników i t. p.). Znaczna część pracuje u Forda (płaca dobra), nie spotkałem nikogo, ktoby chciał do kraju wracać. Wracają tylko młodzi ludzie „dobrze“, których rodzina wysłała w bliżej nieokreślonych celach, dla nich jest ten teren pod każdym względem niemożliwy. Detroit, jak całe Stany, a zwłaszcza miasta w Stanach, tętni dążeniem do pieniądza, w regule poprzez — ciężką pracę, rozmowa przeważnie toczy się koło *byznesu*. Dla wykwintu, nawet dla kultury, ci ludzie nie mają zrozumienia, a gdy ich dzieci przeszedłszy przez angielską szkołę, zobaczą poprzez mgłę *byznesu* świat ducha, choć w bardzo skromnych wymiarach, to się co prędzej anglicyzują, bo otoczenie polskie jest jałowe, a angielskie biblioteki, uniwersytety, kluby dają w każdym razie wyższy polot.

Opowiadała mi tutejsza Polka (jedna z tych rzadkich, z którymi można rozmawiać czas dłuższy), że có-

reczka jej wychowywana w klasztorze (polskich) Zmarłychwstanek koło Chicago, miała zwyczaj grzecznie pytać się matki: *Mother, please, may I ask you something?* zanim postawiła właściwe pytanie. Wyszedłszy z klasztoru, znalazłszy się w otoczeniu polskiem w Detroit, zgrubiała momentalnie.

XVIII.

Mackinac — Island jest to wysepka bardzo miła, skalista, pokryta przeważnie tujami, ma kilka miejsc malowniczych, przy których stoi ogonek niewiast z Kodakami, czekając na oswobodzenie się punktu dobrego do zdjęć. Rzecz najważniejsza — nie ma tu samochodów, nie wolno ich używać, — nareszcie ktoś stwierdził, co to za plaga. Są konie (dawno nie widziane), są murzyni poruszający (nogami) trycykle (na froncie dwie osoby).

W południe drugiego dnia nastąpiła zmiana publiczności na pokładzie parowca — wsiedli nowi pasażerowie, jadący do Chicago. Kiedy popołudniu pisałem w zacisznym kącie, przechodząca młoda osoba usiadła obok z grubą książką w ręce. Tyle miejsca na pokładzie, dlaczego tutaj? widoczna ochota zrobienia znajomości. Kiedy spostrzegam, że wyraźnie zaznacza przerwę w lekturze, pytam o tytuł — okazuje się, że jestto drugi tom (około 500 stron) biografji Abrahama Lincolna. Rozmowa potoczyła się swobodnie, panienka (ubrana

skromnie), kończy trzyletni kurs nauczycielski i ma zostać nauczycielką w Chicago, nawet jako substytutka nauczycielki pobierać będzie 7 dolarów dziennie, ma zamiar chodzić równocześnie na Uniwersytet (t. zw. kursy letnie policzane za jedno półrocze). Dowiedziawszy się, że jestem Polakiem, spieszy pochwalić się, że jej ojciec pochodzi także z polskiej rodziny z zaboru pruskiego, tylko nazwisko obecne jest już przekręcone dwukrotnie (raz dziadek, drugi raz ojciec coś z nim fabrykował), obecnie nazwisko to brzmi: Mayhercy (niewątpliwie coś jak gdyby Majewski-Majerski). Ze strony matki jest pochodzenia niemieckiego, babka przybyła z Trier (Nadrenja). Matka jednak nie odnosi się do niemieckości z pietyzmem; stwierdziwszy, że córka bawiąc u babki rozmawia z nią po niemiecku, zabrała dziecko co prędzej do domu z obawy, by nie zepsuło sobie dobrej wymowy angielskiej. Nie dowierzając tej rodzinnej historii proponuję rozmowę po niemiecku, widać jednak, że mało umie. Robię drugą próbę: kiedy rozmawiamy o dziedziczności i o tem, że podobno córki dziedziczą po ojcu, a synowie po matce najwybitniejsze cechy charakterystyczne, cytuję jej autobiografię Goethego: *Vom Vater hab' ich die Statur und des Lebens ernstes Führen, vom Mütterchen die Frohnatur und die Lust zu fabulieren*. Oświadczam, że nic nie rozumiem, muszę tłumaczyć wyraz za wyrazem. — A więc to tak, ojciec zmienił polskie nazwisko (gruntowniej, niż dziadek), matka bała się

niemczyzny dla córki, powstała — „Amerykanka“. — Tak się tworzy „naród“ amerykański. Kiedy patrzyłem na to miłe stworzenie i widziałem ten wdzięk, który mają tylko Polki, przypomniał mi się z komedji Flersa i Caillavet (zdaje się „Zielony frak“) ów hrabia rosyjski, pytający wszystkich, czy czują wdzięk rasy słowiańskiej; widziałem to w wiedeńskim *Deutsches Volkstheater*, gdzie doskonały aktor powtarzał pytanie: *Spüren Sie den Charme der slavischen Rasse?* Ten wdzięk u kobiety jest niebezpieczny, bo zaraz potem zjawia się Asnyk i śpiewa do ucha z akompanjamentem Galla: „Gdybym był młodszym dziewczyno, ach gdybym był młodszym, wówczas piłbym nie wino...“ (w Stanach Zjedn. ludzie prawomyślni piją — *Ginger — ale*). Obawiam się, że na poezję Asnyka odpowiedziałaby urocza panienka amerykańską prozą p. Elli Winter (obecnie Mrs. Lincoln Steffens): „O korzyściach poślubienia człowieka — starszego“: charakter, dobre imię i — dochody są ustalone... Nie psujmy nastroju... Jakaś starsza osoba przedstawiona mi „my friend“, po krótkiej rozmowie zaproponowała wspólną przechadzkę po pokładzie, wymówiłem się zmęczeniem — *...et ne nos inducas in tentationem, sed libera nos a malo...*

XIX.

Jezioro Michigan potrafi mieć burzę także, nawet z piorunami. Wśród deszczu wjeżdżamy do Chicago, które odrazu zarysowuje się sympatycznie linją parków

położonych nad jeziorem. Nie mając wiele czasu rzucam się w rozmaitego rodzaju środki komunikacyjne, by jaknajprędzej zaznajomić się z ogólnym charakterem miasta. Chicago ma się tak do Detroit, jak rodzina posiadająca majątek w trzeciej generacji do rodziny mającej dobrobyt w drugiej. Chicago jest mniej jaskrawe, mniej hałaśliwe, ma budynki dawniejsze, posiadające patynę starości, jest pewna dostojność w liniach domów, wiele harmonji w zabudowaniu miasta — nie spotyka się *bungalows* drewnianych w środku miasta, podczas gdy w Detroit nie jestto rzadkością. Chicago posiada bardzo szerokie ulice, często wysadzone drzewami, a przede wszystkim parki bardzo obszerne, dające oku wytchnienie a jakie takie powietrze płucom. Miasto około trzech - milionowe, dwukrotnie liczniejsze niż Detroit. Chcę poznać smak mieszkańców tego miasta — wchodzę do Art Institute, wielkiego budynku poświęconego sztuce, jestto kombinacja muzeum, przechodniej, wystawy obrazów i szkoły sztuk pięknych. Muzeum zawiera zbiory znacznie bogatsze, niż w Detroit, choć budynek znacznie skromniejszy w wewnętrznym urządzeniu. Jeżeli Detroit ma niewiele obrazów europejskiego pędzla i to drugiej jakości, to Chicago ma niektóre rzeczy doskonałe, jak Velazqueza portret królowej Izabelli. Amerykańska sztuka, co do której miałem wątpliwości w Detroit, występuje w Chicago poważniej, w pewnym odrębnym od europejskiego typie. Mam uczucie, że jednak

rzeźba więcej odpowiada poczuciu plastyki u Amerykanów. W sposobie patrzenia na świat barw jest pewna surowość, co silnie występuje zwłaszcza w sposobie traktowania śniegu, który tak mistrzowsko wypada u naszych malarzy n. p. u Fałata.

XX.

Z Chicago wyjeżdżam autobusem, bojąc się dymu amerykańskiej kolei żelaznej. Po drodze — przekonuję się, że nie wszędzie panuje akuratność, dokładność, przezorność. Po drodze wydobywa się dym z pod maski motoru, okazuje się defekt w oliwieniu, rurka przewodząca oliwę zepsuta, oliwa wyciekła. Oczywiście potrzeba naprawy nieodzwonna. Niema zapasowej rurki jedziemy dalej po dokonaniu prowizorycznego zabiegu i napełnieniu oliwą zbiornika, po drodze kupujemy nową rurkę i zakładamy, niedługo pokazuje się dym na nowo, rurka źle założona, oliwa znowu wyciekła, poszukiwania za narzędziami t. zn. kluczem lub kombinaczką do szczelnego zaciągnięcia rurki. Pomimo, że stacje benzynowe stoją przy drodze co kilka kilometrów nie możemy dostać odpowiedniego klucza. Autobus nie ma własnych narzędzi! wreszcie jakiś przejeżdżający autobus pożycza swego. Nikt jednak się nie gniewa, niecierpliwi, dziwna wyrozumiałość dla młodzieńców, prowadzących samochód pomimo, że straciliśmy 2 godziny czasu.

Korzystam ze sposobności, by w czasie postojów przypatrzeć się ludzkim typom farmerów, krzątającym się przed domostwami, położonemi tuż przy drodze. Przedstawiają się zewnętrznie tak, jak nasi ogrodnicy przedmiejscy, ubranie typu miejskiego, możliwie tandetne. Kombinują rolnictwo ze sprzedażą owoców z własnych drzew, czasem kulturą kwiatów, gdzieś znów z chowem kur na wielką skalę. W stanie Indiana, czy Ohio, podobnie jak w stanie Michigan budynki stoją zawsze blisko drogi, budynek mieszkalny z drzewa biało lakierowanego, budynki gospodarcze czerwone (kolor jakby pompejański).

W autobusie siedzi obok mnie jakaś dama starsza w okularach; w czasie jazdy wywiązuje się rozmowa, okazuje się, że z pochodzenia jest Czeszką o niemieckiem nazwisku, zamężną za Niemcem z Westfalji o nazwisku znowu francuskim Jerome. Dla równowagi dzieci wychowują się w języku angielskim. Badam jej językowe zdolności, okazuje się, że po niemiecku nie umie, czeskiego języka nie zapomniała, choć urodzona w Chicago. Opowiadam jej historję Krzysztofa Kolumba, którego w chwili przybijania do brzegu powitać mieli pierwotni mieszkańcy Ameryki entuzjastycznym okrzykiem „*Pane Kolumbus, taticzka, my sem tady*”. Nie rozumie *pointy* (nieco złośliwej), lecz po chwili namysłu, pyta radośnie: „czy to może być, żeby Czesi już tak dawno byli w Ameryce”? Opowiada, że syn jej zaręczył się

z Polką, urodzoną w Chicago, mówiącą doskonale po polsku, a słabo po angielsku, chodziła do szkoły „kato-lickiej“ (parafjalnej). Z tego małżeństwa z człowiekiem zupełnie zamerykanizowanym wyniknie prawdopodobnie już potomstwo mówiące wyłącznie po angielsku, „Amerykanie“...

XXI.

Stosunek społeczeństwa do jednostki w U. S. A. nacechowany jest troską dobrego ojca, który chciałby wychowywać — jak najlepiej, — ale bez konieczności uciekania się do środków drastycznych, a zatem o ile możliwości perswazją, tłumaczeniem.

Spółeczeństwo Stanów wie doskonale, że ma do czynienia z materiałem surowym, czy to miejscowym (Murzyni), czy napływowym (imigracja), trzeba też for-sownie go dźwigać. Do tego celu służy oprócz akcji odczytowej, zakładanie szkół publicznych, protegowanie szkolnictwa prywatnego — zakładanie czytelń i biblijo-tek, muzeów otwartych prawie cały dzień. W Detroit zwiedzałem miejscowy pałac sztuki — poraz pierwszy — o dziewiątej wieczorem. Budynki służące celom kultu-ralnym są przestronne, urządzenia niezmiernie wygodne, nie ma tłoku, bo w wielkiej sali jest miejsc do siedze-nia kilkanaście, najwyżej kilkadziesiąt, a i te nie są zajęte. W Bibliotece spotkać można osobny oddział — dla miłośników książki (*for booklover*), urządzony z szcze-gólną zabieглиwością, jakaś lampa buduarowa na

środku, wygodne fotele, jak w prywatnym salonie. Istnieją w bibliotece osobne poradnie dla chcących czytać, a nie wiedzących od czego zacząć, nie znających literatury przedmiotu. Najbardziej znamienne są oddziały — dla dzieci. Widziałem w muzeum sztuki Chicago dwa pokoje (na razie widać próba) „dla dzieci“, wypełnione bądźto obrazami o prostej treści, bądź obrazami lalek artystycznych, bądź przedmiotami, pozostającymi w związku z techniką malarstwa.

W Detroit biblioteka publiczna poświęciła wielką salę na czytelną dla dzieci — książki leżą na półkach, dzieci same sobie przynoszą. Widziałem przeważnie murzyniátka o wielkich, czarnych jakby zadumanych oczach, czysto ubrane, zachowujące się cicho, skromnie.

W bibliotece uniwersyteckiej w Ann Arbor istnieją w obrębie księgozbioru liczne łóże przy oknach (t. zw. *boksy*) przeznaczone dla zaufanych uczniów Uniwersytetu, którzy chcą pracować spokojnie i mieć całą bibliotekę do dyspozycji, bez potrzeby uciekania się do pomocy służby. Pytam się, czy książki nie giną (każdy z naszych bibliotekarzy wzdrygnąłby się na myśl dopuszczania do księgozbioru osób innych poza urzędnikami i służbą) otrzymuję spokojną odpowiedź — „o tak, kilkaset do kilku tysięcy rocznie“. Społeczeństwo jednak widać woli, by ginęły książki (widać komuś potrzebne), niż utrudniać korzystanie z księgozbioru i tak rzadkim amatorom. — Bogate społeczeństwo, pragnące szybkiego

dźwignięcia się z poziomu farmera, robociarza, *byznessmana*... za każdą cenę.

Wychowywać, reformować, podnosić, poprawiać, ostrzegać, namawiać. Jeżeli chodzi o wstrzymanie od jakiegoś niepożądanego kroku, to się objaśnia — częste są napisy: „bądź ostrożny“ (*be careful*) — z dodatkiem „przede wszystkim bezpieczeństwo“ (*safety first*), „uważaj na stopnie“ (*watch your step*). Jeżeli chodzi o ostrożność w przejeżdżaniu krzyżowania z koleją żelazną, to się pisze pouczenie propagandowe. Barjery ochronne w typie europejskim prawie, że nie istnieją, pociągi zestawia się na ulicy, jak na X-tej Avenue w Nowym Yorku, pociągi pędzą z wielką chyżością przez krzyżowania z drogami. — Ktoby tam chciał trzymać budników, podnoszących i spuszcających barjery. Towarzystwa kolejowe obliczyły, że kalkuluje się lepiej płacić odszkodowanie, niż opłacać personal. Pouczenie propagandowe rozlepia się w pobliżu punktów zbornych dla automobilistów — mówi się im: „w ostatnim roku było 5.640 wypadków skutkiem szybkiej jazdy przez szyny kolejowe, 2.371 osób zabitych, 6613 rannych“ — wynika stąd jako konsekwencja prośba: *help lessen crossing accidents this year* — prośba pod adresem jadącego, by dążył do zmniejszenia ilości nieszczęśliwych wypadków tego rodzaju. Nic się nie nakazuje, ani zakazuje, prosi się jadącego, by nie narażał siebie i innych... Ciężkie autobusy poprostu stoją przed szynami, szofer rozgląda się w obie strony, po-

tem szybko przejeżdża przez niebezpieczne miejsce. Jest już gotowa reguła dla takiej sytuacji: *stop — look — listen...* Jeżeli chodzi o utrzymanie czystości — to się prosi — „pomóż utrzymać czystość w mieście“. Nawet gdzieś na krańcu miasta w podrzędnej umywalni wypisał ktoś piórem na kawałku papieru: *please help keep this place clean*. Czasem krzyżują się dwie propagandy utrzymywane w tonie perswazji — prywatne towarzystwa telegraficzne namawiają: „Nie pisz — telegrafuj“ (*don't write-telegraph* —) na to poczta państwowa odpowiada: „nie telegrafuj — pisz, bo poczta używa aeroplanów, oszczędza czas i pieniądze“ *don't telegraph — write, U. S. Mail use Air Mail, saves time and money*).

Amerykanin przepada za pouczeniem, daje mu to poczucie wyższości, gotów jest to samo powtórzyć kilka razy (oczywiście, jeżeli ma czas), tłumaczyć na różne sposoby, na końcu praktycznie demonstrować. Jeżeliby to wszystko pozostało bez skutku, przypatrzy się bystro i pomyśli: „a możeby tego jegomością oddać do zakładu dla *feeble — minded*, (umysłowo upośledzonych) szkoda go, tamby może z niego coś zrobili...“

Rady sięgają bardzo daleko, szerzy się propagandę — uprzejmości. Ci surowi ludzie czują, jak niewygodną dla innych jest bezwzględność, brutalność jednostki, czują, że życie jest łatwiejszem, gdy się stosuje choćby elementarne dobre wychowanie, którego treścią jest wzgląd na bliźniego. Czasem trzeba sięgnąć do imperatywu:

w autobusie pojawia się zakaz (!) *No smoking* (nie palić), ale złagodzony wyjaśnieniem: „będziemy mieli pięć postojów“. Kiedy indziej zjawia się wprowadzić także nakaz, ale jako oczywista *lex imperfecta* — (bez jakiegokolwiek sankcji) *keep smiling* — uśmiechaj się! Ten nakaz mówi tomy; — „uśmiechaj się“, a więc nie rzucaj się w irytacji, a więc nie mów grubiaństw, bo to trudno pogodzić z uśmiechem, bądź uprzejmy. Firmy rozmaite (restauracje, sklepy, stacje benzynowe) konkurują ze sobą ogłaszając: *service with smile*, (usługa z uśmiechem), albo nawet *courtesy* (uprzejmość). Często spotkać można pouczenie: uśmiech nic nie kosztuje (*a smile costs nothing*) a kupuje to, czego nie kupi się za miliony (*and buys what Millions can't*). Automobilistom poleca się *courtesy* z wyjaśnieniem *courtesy prevents accidents* (zapobiega nieszczęśliwym wypadkom). Propaganda swoista. — Analogię do niej stanowi propaganda we Włoszech Mussoliniego przeciw używaniu przekleństw (*non bestemmiare*). W Weronie widziałem na murze ogromnymi literami wymalowane wezwanie w tym kierunku, z dodatkiem, że przekleństwo obniża honor narodu włoskiego.

Jestto spopularyzowanie dobrego wychowania. Najwyższy czas, bo człowiek nowożytny nie może żyć wyłącznie w salonie i w klubie, musi wyjść na ulicę, a brutalność ulicy jest przykra.

W U. S. A. propaganda robi swoje: panowie zdejmują w windzie (*lifcie*) kapelusz, jeżeli jadą kobiety;

widywałem też rozmowy z istoty swej niebardzo miłe jak targowanie się o cenę — z uśmiechem. Uśmiech kelnerek, panien sklepowych mógłby nawet wprowadzić w błąd, gdyby nie świadomość, że jestto wynik propagandy a także... sposób prowadzący do małżeństwa.

XXII.

Upalna Niedziela w Stanach Zjednoczonych staje się katastrofą dla obcego, który nie ma swego *home*, który chce uciec z rozpalonego i dusznego miasta, nie przedstawiającego już nawet uroku tętniącego życia handlowego i przemysłowego. Wszyscy właściciele niezliczonych samochodów wyrrywają się z zaduchu, szukają zieleni, powietrza; cóż kiedy tych szukających jest tyle mniej więcej, co mieszkańców miasta. Powstaje konkurencja nie tylko na drodze, co do tempa jazdy, ale także w poszukiwaniu miejsca wypoczynku. Miasto milionowe wysyła poza mury najmniej pół miliona ludzi. Gdzie mają się pomieścić? Oczywiście miejsca byłoby wiele, gdyby nie drobna okoliczność, że właściciele lasów nie pragną gości z miasta. Lasy są silnie przetrzebione dzięki rabulistycznej gospodarce przemysłu zużywającego drewno dla swych celów, bez myśli o przyszłości zupełnie tak samo jak przed wiekami gospodarowali Wenecjanie w Dalmacji, Istrii i okolicy, tworząc dzisiejszy *Kras*. Nie pragną gości z miasta także farme rzy — właściciele folwarków. Jedni i drudzy otaczają

swe posiadłości drutem, lub przynajmniej zastrzegają się: „Własność prywatna“, „no parking“, „no trespassing“. Można przejechać kilkadziesiąt mil i nie znaleźć nigdzie jakiegoś miejsca do postawienia samochodu, do przejścia się, rozprostowania kości. Ludzie miejscowi mają albo własne farmy, albo znajomych na farmie, albo w niektórych punktach, w lesie stawiają możliwie prymitywne domki letnie, rodzaj wielkich altan, z jakimiś pokojkami w środku. Tam spędzają dwie noce i jeden dzień w tygodniu. Co ma zrobić człowiek, który nie posiada nawet tego? jedzie do jakiegoś miejsca, gdzie może postawić samochód. Bywają często jakieś skromne jadłodajnie, które zezwalają na to pod warunkiem konsumpcji — *parking while U (you) eat*. Niepodobna jeść cały dzień, jedzie się zatem do jakiegoś większego zbiorowiska ludzkiego, gdzie można mieć inne jeszcze przyjemności — nad jezioro (Lake — wymawia się tutaj „lejk“). Jak to pięknie brzmi! w rzeczywistości jednak jest to mniej więcej to samo, co jakiś park publiczny w Niedzielę. Tłumy, samochody w olbrzymich ilościach zgromadzone, tam, gdzie nikt nie protestuje; entuzjaści przyrody kręcą się w kostjumach kąpielowych koło jakiejś wody szeroko rozlanej w obrębie miejsca przeznaczonego do kąpiei i pływania. Są łódki dla amatorów, jest sklep z napojami chłodzącymi, nawet restauracja lub hotel sezonowy — jest miły głos gramofonu. Słońce praży, promienie odbijają się jaskrawo od powierzchni

wody, przeglądając przez anemiczne gałęzie rzadkich drzew. Samochody krążące koło jeziora wzbijają tumany kurzu, widocznie nie opłaca się doskonałych betonowych czy asfaltowych dróg przeciągać aż do miejsca t. zw. wypoczynku niedzielnego — a gramofon ciągle wrzeszczy. Towarzystwo zebrane nad wodą rozebrane czy ubrane w kostjumy zachowuje się spokojnie, nikt nikomu nie skacze do oczu, oznaka zdrowia czy wyczerpania nerwów? Zapewne, po tygodniu spędzonym w fabryce ogłuszającej hukiem, gramofon to śpiew syren, po tygodniu spędzonym w temperaturze bliskiej punktu gotowania się wody, ciepłota nagrzanego słońcem brzegu, to rozkosze oazy na Saharze...

O ile jest w Polsce lepiej! Poczciwi właściciele lasów pozwalają na zaśmiecanie ich papierami, skorupkami z jaj, łupinami z pomarańcz, na łamanie gałęzi, równie poczciwi właściciele pastwisk, łąk, pól, z westchnieniem tylko spoglądają na niedzielne tłumy, krążące po ich „prywatnej własności“... Z drugiej strony trudno się dziwić amerykańskim farmerom, że się bronią, bo groziłby im inaczej zalew gorszy od szarańczy — ale z drugiej strony położenie owych automobilistów, szukających odpoczynku na łonie natury jest także tragiczne. Na co komu samochód, jeżeli nie ma gdzie jechać, jeżeli można zajechać tylko do tego samego gwaru, który daje miasto. Ale Amerykanin tego prawdopodobnie nie czuje, wszak on lubi tłum i hałas, wszak widać twarze roześmiane, wesołe... —

Kto niema samochodu lub sposobności do korzystania z cudzego samochodu, wybierać musi wycieczki autobusem, tramwajem lub statkiem po rzece lub jeziorze. Na statku jest dancing z jazz-bandami; kto nie tańczy, ten słucha, patrzy, rozmawia, czyta dzienniki, które w Niedzielę przybierają kształty potworne: pęcznią ogłoszeniami, działem sportowym, komicznym (*funny stories*) o naiwności przekraczającej europejskie wyobrażenia. Odbywa się też improwizowana zabawa towarzyska w „miejsce zajęte“ (*taken*). Ciągłe aktualną staje się kwestja „prawna“ czy miejsce, na którym leży kapelusz, jest *tabu* dla innych. Oczywiście ta kwestja prawna dotyczy raczej towarzyskiej uprzejmości — w razie sporu następuje pouczenie ze strony oficjalnej, że każde miejsce opuszczone jest wolnem. Niemniej wytwarzają się spory — byłem świadkiem sceny, jak jakiś jegomość poszukując miejsca dla swej towarzyszki zabrał krzesło, o którym inna dama twierdziła, że jest zajęte. Perswazje nie pomogły — jegomość krzesło zabrał, oświadczając: *I don't care*. Dama dotknięta w swem poczuciu słuszności, po dłuższych wyjaśnieniach sytuacji zakonkludowała — „pan jesteś świnią“ (*you are a pig*). Dżentelmenowi twarz skurczyła się, pozieleniał, usta złożył do gwizdu, oznaczającego lekceważenie, — ale nic nie odpowiedział.

Było to pierwsze zetknięcie się moje praktyczne ze znaną mi z opowiadania rolą *Kobiety* w U. S. A. Ko-

bieta może sobie pozwolić na rzeczy, któreby nigdy nie uszły mężczyźnie, kobieta czuje się królową; *ladies first* powtarza z powagą dziesięcioletnia dziewczynka. Jeżeli kobieta prowadzi samochód, wszyscy jej ustępują. Pamiętam, jak nagle musieliśmy zatrzymać automobil wobec imperatywnego ruchu ręką policjanta. Stanęliśmy zdumieni, bo nie było żadnego powodu do zatrzymania. Zdumienie było jeszcze większe, gdy policjant dał znak jakiemuś obdartemu Fordowi w bocznej ulicy, że może nam popod nos przejechać. Samochodem kierowała młoda dziewczyna. Gdy minęła, policjant młody, doskonale odżywiony rzekł z jowjalnym uśmiechem, sentencjonalnie: *Woman! you know, how they are* znaczyłoby to: „zatrzymałem was, bo kobieta jest nieobliczalna, mogła była na was najechać“. Uśmiechnęliśmy się także, bo *keep smiling* jest w stylu.

XXIII.

Kobieta rządzi w rodzinie. Pocóż powtarzać sceny z życia miljonerów podane przez Bourgeta w jego *Outre — mer* przed czterdziestu laty? kobieta bogata, żona bogatego człowieka jest na to, by wydawać pieniądze, prowadzić dom, przyjmować gości, bawić się — mąż jest od robienia pieniędzy. Tylko nie rozrzewniajmy się — ów mąż nie zapracowuje się — dla żony, jak czasem u nas biedny urzędnik, mający lekkomyślną piękność w domu. Wcale nie, on robi miliony dla przy-

jemności robienia pieniędzy, ma ich więcej, niż potrzebuje, robi je dalej, jest zapalonym *byznesmanem*, jak ktoś inny namiętym *sportsmanem*. On nie zajmuje się żoną, bo nie ma na to czasu, żona zaś otrzymuje jako ekwiwalent możność wydawania pieniędzy. To samo dzieje się na małą skalę w rodzinie średnio zamożnej. Kobieta otrzymuje oprócz pieniędzy ekwiwalent drugi — swobodę urządzenia życia domowego według swego uznania. Wyrabia się u niej stanowczość, szybkość orjentacji i decyzji, a na końcu robi się z niej tyran. Jest w tem może nieco mściwości, złośliwości, bo mimo wszystko czuje ona dokładnie, że mąż ma obok niej inną jeszcze namiętność, która go wyczerpuje nerwowo i fizycznie. Przerobiwszy się na tyrankę, kobieta tyranizuje całe otoczenie. Jej wola, jej egoizm decyduje o wszystkim.

Dlaczego ustępuje jej obcy człowiek, nienależący do żadnej kategorii jej niewolników, człowieka, którego nic nie wiąże z tą kobietą. Myślałem pierwotnie: oto rycerskość, która, jak w średniowieczu, każe silnemu mężczyźnie otaczać opieką — słabych, uciśnionych — a więc słabą kobietę, — byłby to rycerski *Frauendienst*. Zachwiałem się w tem ujęciu kwestji, gdy zobaczyłem, że stanowisko uprzywilejowane rośnie w miarę młodości i piękności. Protest przeciw tyranji młodych i pięknych Amerykanek zaczyna się podnosić nie ze strony mężczyzn, ale kobiet starszych i od natury upośle-

dzonych. Zaczynają się tworzyć nieco humorystyczne „Ligi obrony praw mężczyzny” — tworzone przez poczciwe, ale nienadobne kobieciska. Dlaczego? dlatego, że staruszki, lub brzydkiej kobiety nie oszczędzi szofer, czy kierowca - amator, natomiast cała ulica zakotłuje nagle zatrzymaniem ruchu samochodowego, gdy przechodzić będzie młoda dziewczyna pełna kokietery w ruchach i w obcisłej toalecie, uwydatniającej kształty t. zw. *dangerous flapper*. A więc nie rycerskość romantyczna odgrywa tu rolę, a co innego. To inny przeżytek, to szczątkowy objaw czasów, kiedy Anglja władająca na tych terenach kolonizowanych przez siebie musiała sprowadzać kobiety, subwencjonować zakładanie rodziny, kiedy zjawienie się nowej kobiety było wypadkiem historycznym. To nie rycerskość wobec istoty słabej, to uleganie świadomemu pożądaniu, to chęć zaszanowania dla siebie, czy innego samca, ponętnej samicy. W Nowym Yorku, gdzie kobieta przestała być w mniejszości, stosunek obu płci uległ już zmianie.

Kobieta w U. S. A., w środowiskach przemysłowo-handlowych, młoda i piękna jest nie tylko tyranką, jest czemś więcej, jest to *business-woman* w specjalnem znaczeniu. Wychowana od młodości w atmosferze przesiąkniętej tendencją do wzbogacenia się, do robienia interesów, przejmuje się tą mentalnością. Ona ma także kapitał, który może przynosić doskonałe oprocentowanie, trzeba tylko dobrze prowadzić swój *byznes*. Nie

mówię oczywiście o tych, które czynią to w sposób najmniej skomplikowany na jakiejś bocznej ulicy, przy starannem unikaniu zetknięcia się z policją.

Są dziewczęta, które myślą o bogatym mężu i prowadzą kampanję w tym kierunku z całym wyrachowaniem, zimną krwią i siłą woli, tak jak ich ojciec prowadzi kampanję dla zniszczenia konkurencji w handlu lub przemyśle. Opowiadała mi pewna dama, żona człowieka starszego o lat dwadzieścia — z całym spokojem: „O mojego męża musiałam się starać przez cały rok, zawsze był taki zimny, ale dopięłam swego“. Inna znów ma pieniędzy dość, potrzebuje historycznego nazwiska (zaraza europejska) — wychodzi za mąż, by się rozwieść. Inna potrzebuje przyjaciela domu, któryby jej w niejednym pomagał, *sweethearta* dającego chwilę miłego zapomnienia (nie każda Amerykanka jest wolną od zapotrzebowania tego artykułu), wszystko to można mieć przy zachowaniu środków ostrożności na zewnątrz a przebiegłości na wewnątrz w stosunku do wybranej ofiary. A mężczyźni? Idą na lep z baraniem rozrzewnieniem i łatwowiernością studenta mimo często późniejszego wieku, nie widzą gry, zasadzki pozbawionej sentymentu. Nie mieli i nie mają czasu myśleć nad psychiką tej czy innej kobiety. Na podłożu pustki uczuciowej i czczości codziennego życia, nie znajdując dla resztek uczuciowości pozostawionych przez *byznes* innej lokacji, dla swej fantazji niezabitej jeszcze doszczętnie całodzienną kalku-

lacją innego wyładowania — tworzą sobie z kobiety bożka, do którego się modlą, w którego wierzą, któremu ofiary z dolarów składają. Tworzą sobie ideał, jasny promień życia, a nawet gdy się domyślają, że jest ktoś drugi lub trzeci, nie wycofują się, lecz chcą zwyciężyć w walce konkurencyjnej. Jakieś Samsony w rękach Dalili, czy Holofernesy w rękach Judyty.

Czy mężowie nie zdradzają żon? Owszem, ale wtedy dostają się w ręce innej Dalili, której są oddani z tem samem zaślepieniem, co przedtem.

Czy potępiać te kobiety? *Tout comprendre, c'est tout pardonner*. Kobiety te są produktem specyficznej gleby tytanicznie rozwijającego się handlu i przemysłu, wynikiem atmosfery bogacenia się, życiowej czczości, braku czasu na estetykę uczucia, luksus głębokiego sentymentu. Najjaskrawiej występuje to w miastach nowych, gdzie bogactwo tworzy się dopiero, gdzie są wielkie apetyty... Jedno jest rzeczą pewną: jeżeli Bourget pisać przedmowę do swego *Disciple* — ostrzegał lat temu czterdzieści przed typem młodego człowieka nowej doby, którego nazwał *struggle — for — life*, człowieka bez etyki, bez skrupułów, który w życiu ceni powodzenie a w powodzeniu pieniądze, to wszystko to dosłownie należy zastosować do Amerykanek wychowanych w kulcie Złotego Cielca. Wyraz „powodzenie“ jest na ustach wszystkich równie często jak dolar, a najwyższy przymiotnik — to — *Successful*... Bohater powieści Bour-

geta posiadał intelekt wykształcony przez sceptycznego filozofa, nie miał żadnych przesądów, Amerykanki danego typu nie posiadają wyrafinowanego intelektu, ale za to intuicję i zręczność dzikiego kota. Amerykanki tego typu to niekoniecznie produkt anglosaski, przeciwnie często produkt późniejszej imigracji, produkt braku wychowania, — bo ojciec zajęty *byznesem* a matka z wczorajszego niedostatku znalazłszy się w atmosferze zbytku traci wszelką orientację. Wszystko, co najgorszego ma Paryż na eksport dla ciekawych *étrangerów* znajdzie tu przyjęcie jako wytwór kultury europejskiej, która w tych kołach imponuje. Taka Amerykanka nosi półczochy zawinięte zaraz za kolanami w formie kołnierza, zaczem idzie udo niczem nie zakryte. Krótka spodniczka pozwala przybierać pozy zuchwałe, czy to przy siadaniu na stole, czy przy wygodnem zakładaniu nogi na nogę. Oczywiście w chwili takiej twarz ma wyraz zupełnej nieświadomości dobrego i złego, nieświadomości wystawy w dzięków. Potem chwila zakłopotania i szybka zmiana pozycji.

XXIV.

Miałem wątpliwości, czy mimo nader licznych spostrzeżeń moich w rozmaitych środowiskach, mogę pozwolić sobie na pewną syntezę, na tworzenie typu Amerykanki pewnego rodzaju. Uspokoilem się po przeczytaniu artykułu p. C. Woolrich p. t. *Girls We're Wise*

to *You* ogłoszonego w miesięczniku *Smart Set* (wrzesień 1928). Autor, człowiek młody, lat dwudziestu kilku, wzdycha do typu panny dawniejszej (*oldfashioned*), którą zna tylko z fotografii, dla pańien współczesnych ma szereg ostrych określeń ilustrowanych przykładami. Wystarczy przytoczyć jeden ustęp: „jestem chory na te dziewczęta, a tak samo moi przyjaciele, jestem chory na nogi (*I'm sick of legs*) kostka (*ankle*) byłaby bardziej interesującą dla odmiany. Dlaczego muszą pokazywać ciągle swoje uda? (*Why do they have to show their thighs all the time?*)”... Autor wypowiada głośno swe marzenia: „chciałbym spotkać pannę, która nie nazwie mnie po imieniu w pięć minut po zapoznaniu, która nie będzie flirtowała ponad moje barki na sali tanecznej, która nie będzie opowiadała mi o komiwojażerze i córce farmera wtedy, kiedy ja chcę mówić o promieniach księżyca. Może kiedyś spotkam taką pannę, ale obawiam się, że nagłe wzruszenie mnie zabije (*Some day I may meet a girl like that, but if I do, I think the shock will kill me*)”.

Społeczeństwo amerykańskie ma świadomość, że te kobiety różnią się od kobiet dawniejszych, poprzedniej generacji. Inaczej trudnoby zrozumieć zachowanie się prasy, kinoteatrów wobec tych młodych cór Ewy. Poczytny dziennik *New York Evening Journal* ogłasza plakatami, że drukować będzie sensacyjną powieść *Dancing daughters*, co oznaczać może równie dobrze „tańczące córki”, jak „córki dancingu”. Ogłoszenie to zaopatruje

administracja w dodatek: powieść przedstawia *how does the modern girl go husband hunting*, (jak nowożytna dziewczyna poluje na męża). Jest więc w tem stwierdzenie, że dziewczyna dzisiejsza przedstawia jakiś nowy typ, że jej właściwością jest polowanie na męża.

Równocześnie zjawia się stała rubryka w dziennikach o rozbijaniu ogniska domowego przez kobiety, które osiągnąwszy cel swych zabiegów — męża, wcale o niego się nie troszczą, co oczywiście wystudza uczucia najbardziej wyrozumiałego człowieka (*wife indifference after marriage is often cause of losing mate's love*).

Czy w Ameryce nie ma rozwodów? Są i to bardzo liczne. Twierdzą znawcy, że ich podłoże leży w materializmie tych kobiecych *struggle — for — life*. Kobieta wychodzi za mąż dla *byznesu* — (*woman's chief business in life*) chce, żeby to był interes dobry, dobroć zaś ocenia według sumy możliwego użycia, — konsumpcji, — zbytku. Mniejsza o pieniądze, mąż je zdobędzie, ale na używanie trzeba czasu, którego mężczyzna przemęczony nie ma. On pragnie spokoju — ona zabawy. Cóż jej z pieniędzy, jeżeli nie może się bawić. Powiadają znawcy stosunków, że rozwód bez udowodnionej winy żony, to także świetny dla niej *byznes*, sądy przyznają jej i dzieciom alimentację w stosunku do dochodów męża. Mąż nie może się żenić drugi raz, bo go już na to nie stać.

Tu oczywiście wkradł się czynnik, który z instytucją małżeństwa nie ma nic wspólnego, materializm kobiety, tak jak w Europie przeważa materializm mężczyzny. Na to niema rady.

Jest wiele winy jednak samej publicystyki, czy autorów kinowych widowisk, którzy piszą, drukują tego rodzaju określenia jak *the battle of sexes*, nadając wyrażonej grze pewnego typu kobiet, charakter ogólnego prawa rządzącego w stosunkach wzajemnych obu płci. „Walka płci“ — co za straszne słowo! a więc żadnego pierwiastku sympatji lub przyjaźni, tylko gra na zmysłach, w której oczywiście zwycięża ten, kto ma temperament zimniejszy. Kto takie głośi hasła jako — „prawo“ społeczne, jako zwykłe, normalne zjawisko, niech się nie dziwi, że młode kobiety biorą to na serjo i wybierają się na wojnę zaopatrzone w całą zbrojownię kokieterji i zimnej krwi.

Zapytajmy jednak, czy to zjawisko jest czyste i wyłącznie „amerykańskie“? Sądzę, że nie, że nasza Łódź może dostarczyć także podobnych typów, to są kwiatki wyrosłe na bagnie wytworzonem przez dobrobyt nagły, zdobyty przez ludzi nie widzących nic poza pieniądzem. Tacy ludzie nie rozumieją sensu życia, nie rozumieją, że pieniądz może być tylko środkiem do celu, nie znają wyższych pragnień, jakżeż mogą wychowywać dzieci, jak mogą pozostawiać po sobie inne latorośle, jak takie. Cóż lepszego wytworzyć mogą i ci,

k którzy przy równej ocenie życia i równych apetytach nie doszli wcale do celu, zostali z pragnieniem na ustach. Czyż to nie jest typ znany w Europie?

W Sudermanna *Schmetterlingsschlacht* zjawia się taka matka trzech urodziwych córek, patrząca przez palce na ich znajomości, utrzymująca się z wynajmowania pokoi umeblowanych. Pociągana do moralnej odpowiedzialności woła; *Wissen Sie, Herr Kommerzienrat, was ein Pfund Margarin kostet?*

Stany Zjednoczone mają miast o typie przemysłowo-handlowym wiele, mają tętniące życie ekonomiczne, mają szybką ewolucję społeczną, mają kult pieniądza w tych kołach, które ocierają się o produkcję przemysłową, mają też ten gdzieindziej znany typ wyrachowanej kobiety w ilości oczywiście nadmiernie wielkiej.

XXV.

Kto chce obserwować to, co dla Europejczyka jest najbardziej amerykańskiem, ten winien czas jakiś spędzić w stolicy królestwa Henryka Forda — w Detroit (Michigan). Przekona się naocznie, jak szybko może rosnać miasto amerykańskie, jeżeli ma sposobne do tego warunki. Detroit w r. 1905 miało 318.000 mieszkańców, dziś ma półtora miliona (1,500.000). Są optymiści, którzy mniemają, że niedługo zrówna się z Nowym Yorkiem. Baedeker w r. 1909 podnosi, że Detroit położone między dwoma jeziorami ma korzystne warunki han-

dłowe, z zakładów przemysłowych podnosi fabryki sody amoniakalnej *Solvay'a* i t. p. Jest tam także wzmianka o samochodach mimochodem... Dziś jeden tylko Henryk Ford zatrudnia w swym głównym zakładzie (*River Rouge*) 90.000 robotników, łącznie z dodatkowymi zakładami około 120.000. Potęga konkurencyjna — *General — Motor — Company*, będąca związkiem Pygmejów, by powalić Tytana — zatrudnia mniej więcej tę samą ilość ludzi. Zjawiała się na horyzoncie Detroickim trzecia gwiazda — *Chrysler*, który wykupiwszy rodzinę Dodgeów, zaczyna tworzyć nową potęgę. Detroit rozwija się razem z automobilizmem. Mam uczucie, że może razem z automobilizmem przestać się rozwijać. Mogłoby się to stać z chwilą hyperprodukcji, z chwilą utraty rynków zbytu. Czy Europa długo jeszcze będzie rynkiem zbytu, czy przejście *Citroena* w Paryżu a *Fiata* w Turynie, *Oppla* nad Renem do produkcji seryjnej na wielką skalę nie stworzy silnej konkurencji? Widziałem w Nowym Yorku liczne reprezentacje firm europejskich.

Opowiadał mi stały mieszkaniec U. S. A., że pieniądz (dolar) w ostatnich latach ogromnie zyskał na sile kupna i że znawcy przepowiadają wzrost dalszy tej siły kupna. Rzecz jasna, europejskie rynki zbytu zawiodły, produkcja rzuca towar na targ wewnętrzny po cenie niższej. Małe zyski nie pozwalają na gromadzenie gotówki, wytwarza się zapotrzebowanie kapitału obrotowego, zaczyna się poszukiwanie za pieniądzem, co

wytwarza znowu dalsze obniżenie cen. Można dojść do punktu, w którym producent przestaje mieć interes w wytwórczości. Czy to grozi amerykańskiemu automobilizmowi? Na to pytanie odpowiadano im: Ford to już przewidział, w razie potrzeby przerzuci się na budowę aeroplanów, już do tego czyni przygotowania. Dziwny ten człowiek, którego majątek oblicza się na dwa miljardy dolarów, (oprócz zakładów przemysłowych ma majątki ziemskie, pod samem Detroit posiada ziemię w wymiarze kilkunastu tysięcy morgów), nie ustaje w pracy tak samo, jak tyle jego kolegów - milionerów. Ford, który przed czterdziestu laty rozpoczął swą karierę jako robotnik, uważa się za robotnika dalej, nosi tanie ubranie kupione w sklepie fabrycznym, jest popularny wśród swoich ludzi, ze starymi swymi robociarzami utrzymuje stosunki przyjacielskie, stosuje metody Bonapartego do armji robotniczej. Są niechętni, którzy twierdzą, że wszystko to, to wyrachowanie. Zapewne, praktyka wykazuje, że wszystko, co uczyni Ford w dziedzinie poprawy losu robotnika, sownie mu się opłaca, wytworzył sobie armję zgraną, oddaną przedsiębiorstwu, fanatyczną. Dlaczego nazywać to wyrachowaniem? zapewne miłość matki do dziecka można także nazwać egoizmem (kwalifikowanym).

Ford jest fanatykiem produkcji wogóle, zakupiwszy ziemię, zaprowadził swą metodę organizacji pracy w rolnictwie i wykazał, że stosując ją, można zmniejszyć ilość personelu na farmie do jednej trzeciej.

Zwiedzanie fabryki Forda przedstawia swój urok. Naokoło olbrzymich budynków niezwykła czystość. Na ogromnych placach stoi nieprzejrzana ilość samochodów, kilkanaście tysięcy, czy więcej? To samochody prywatne, któremi przyjechali robotnicy, ich własność. Kiedy byłem w Kopenhadze, widziałem jadących do pracy lub z pracy urzędników, robotników, pracowników wszelkiego typu, jechali także masami, tłumnie, ale na rowerze, — w Detroit, jak zresztą w całych Stanach, używa się samochodu.

Aby móc zwiedzać fabrykę, trzeba zgłosić się do osobnego biura, pomieszczonego w znacznym oddaleniu od fabryki. Zajeżdżamy przed zielony gazon, na którym stoi bardzo estetyczny, bezpretensjonalny budynek. W hału obszernym, poważnym czekają amatorzy zwiedzania, którzy muszą podpisać oświadczenie, że nie będą rościli sobie pretensji do firmy, jeżeli ulegną wypadkowi (musieli widać być amatorzy odszkodowania; — w U. S. A. trafiają się tacy kombinatorzy częściej, niż gdzieindziej). Za interwencją moich rodaków otrzymuję specjalnego *cicerone*, młodego człowieka, studenta z Ann Arbor (Uniwersytet stanu Michigan), który ma tutaj swój *job* przez lato. Pyta się mnie z amerykańską swobodą, jaki jest mój zawód, — dowiedziawszy się, że jestem profesorem w College, uderza mnie po ramieniu z frenetyczną radością a równocześnie staje się niezwykle uprzejmym na swój sposób. Narodowość jego? przy-

znaje się do krzyżówki: Anglik, Szkot, Irlandczyk, Szwed. Idziemy do zakładowego autobusu, pieszo zakładów Forda zwiedzać nie można. Nie mam zamiaru opisywać rzeczy częścią znanych, częścią wymagających technicznego przygotowania. Sławne te przesuwania budującego się samochodu po szynach poczynawszy od stanu embrjonalnego aż do wykończenia karoserji jest imponujące, robota każdego pracownika tak prosta, że nie potrzeba kwalifikacji — tylko sumienności. Ford też zatrudnia w oddziale chemicznym dwu adwokatów, którym kancelarja szła źle. Nauczyli się chemji w dniach kilku. Podział pracy wytwarza bardzo małe zadania, do których nie trzeba długiego przygotowania. Robotnik nie spieszy się, ale ma być ciągle zajęty (*busy*). Kiedy stwierdzono, że jakiś pracownik (Niemiec z uniwersytekiem wykształceniem) nie jest zajęty dla braku przydziału, to kontroler zaproponował mu, żeby wziął szmatę i wyczyścił — *lavatory*. Robotnik jest doskonale płacony, czas jego i jego siły zakupiła fabryka: nie wolno mu darmować, — jeżeli nie ma przydziału, to musi sam sobie wyszukać.

W zakładzie panuje czystość, o ile to jest możliwe; by ułatwić oddechanie, usunąć z powietrza pył, spada jakiś delikatny deszczyk. Ford dba o swoich ludzi, ale też nie znosi, by członek jego armji był socjalistą; służba wywiadowcza istniejąca w tej, jak w każdej innej, fabryce prędko doniesie, gdzie należy, o tego rodzaju osobniku

i wyznawca Marxa — wyleci. Słusznie, bo trzeba być człowiekiem nienormalnym, by pragnąć pracy w typie bolszewickich zakładów przemysłowych na rzecz — państwa, jeżeli się ma idealne warunki u — Forda.

Tego żadne państwo nie da, bo nie ma Fordów w służbie państwowej. Zapewne mogą być jednostki niezadowolnione z tego, że nie pracują dla siebie, że praca jest monotonna. Ale cóż zarobiliśmy na tem, gdyby zakłady Forda stały się własnością państwową, coby się zmieniło? Kto jest indywidualnością, ten nie nadaje się na szeregowca w obcym przedsiębiorstwie, wszystko jedno, czyją jest własnością.

Dla socjalizmu podłożem jest teoria beznadziejności losu robotnika i bezzasadności dobrobytu klasy posiadającej. W U. S. A. teoria się załamuje. Robotnik robi oszczędności i w miarę uznania staje się samoistnym *byznesmanem* lub przynajmniej rentjerem, przechodzi do klasy posiadającej. Praca jego stała się uzasadnieniem jego majątku. W Detroit są ludzie, którzy pamiętają bluzę robotniczą Henryka Forda, braci Dodge lub Chryslera. Fortuna amerykańska nie drażni nikogo, bo jest bardzo ruchomą; jeden krok fałszywy, a miljoner jest bankrutem. U. S. A. to są jak gdyby *montagnes russes* powodzenia, wyjeżdża się szybko na górę, by również szybko spaść, a potem znów się podnieść. Nawet zbytek miljonerów nie wywołuje złej krwi. Istnieje teoria, którą nawet Ford sformułował; „wytwarzanie

nowych potrzeb jest środkiem pobudzenia wytwórczości i źródłem narodowego dobrobytu“.

Teorja amerykańska brzmi: „tylko tam, gdzie ludzie wydają pieniądze, można coś zarobić“. Dlatego budowa pałacu przez multimilionera zadowalnia robociarza, bo daje możność zarobienia. Nic nie ma gorszego jak bezrobocie, tak mówi zdrowy rozsądek zdrowego umysłowo i fizycznie człowieka.

Ford dorabia do tego teorję: „nietylko milioner daje zarobić, zarobek dać może każdy, kto wydaje pieniądze, dlatego wydawajcie a my wam damy do tego sposobność — kupujcie samochody, kupując dajecie zarobek rzeszy pracowników samochodowych“. Tam, gdzie taka jest teorja, nie ma miejsca na gorszenie się zbytkiem; jeżeli kto ma na to, niech wydaje. Przeciwnie w tym dziwnym kraju za złe bierze się oszczędność, oszczędnym jest Szkot, to też na temat *Scotchmana* kursują tysiączne anegdotki, tak jak Niemcy mają swego *Nassauer* (z Nassau) albo Austriacy mieli — Czecha. — Za złe bierze się Polakom, że składają oszczędności, w polskiej dzielnicy jest ogromna ilość banków i banków i filji wielkich banków.

Cała ta piękna teorja dająca się streścić w zasadzie: „zwiększać produkcję, nie ograniczać się w konsumpcji“ — jest znamieną dla kraju niespożytych zasobów węgla, kruszców, urodzajnej ziemi, kraju dobrze zagospodarowanego z ogromnemi zasobami gotówko-

wemi, dla kraju wierzycieli całego świata. Przypomina mi się małopolskie przysłowie — *dobrze durity koły przystupaje*. — Mniejsza o trafność teorii — pewnem jest, że prowadzi ona do uzasadnienia konieczności zbytku człowieka bogatego, człowiek skąpy lub nieżyjący według swej skali, — to — wróg ludu. — Jest to psychologja kelnera z luksusowego lokalu, albo owej damy z ćwierćświatka, która w r. 1922 głosowała na ósemkę a zapytana o powód odpowiedziała szczerze: „ja chcę, żeby panom było dobrze, bo jak przyjdą socjały — to z czego ja będę żyła“?

W tej atmosferze rozwija się miasto typowo amerykańskie (U. S. A.) w europejskiem rozumieniu tego wyrazu. Detroit, brzmi oficjalne określenie w oficjalnej publikacji — to młody olbrzym (*a young giant*), widać jak szybko rośnie, co to będzie, jak dorośnie? a tymczasem buduje się *skyscrapery* w śródmieściu (*downtown*) i drewniane domki zaraz obok, — poco budować inne, kiedy może za parę lat stanie na ich miejscu nowy *skyscraper*? Takie „amerykańskie“ miasto ma wiele wspólnego z osiedlem przy kopalni złota: ludzie są tu różni, nie ma czasu na badanie ich przeszłości, człowiek, który okradł konsulat w Nowym Yorku, może być współredaktorem poczytnego dziennika, panna bogata nie może mieć złej reputacji, bo ona jest warta tyle a tyle milionów, musi zatem mieć reputację świetną. Wszystko to czytaliśmy o U. S. A., — już przed laty czytaliśmy

o *dollaritis* i o jej następstwach. Wszystko to jest rzeczywiście, tylko niewszędzie. Wszystko to jest także gdzieś indziej poza U. S. A. tam, gdzie zdobywanie majątku jest wyłącznym celem życia.

Twierdzić, że tak wyglądają całe U. S. A., to błąd krótkowzrocznego obserwatora.

XXVI.

Komunikacja w U. S. A. jest wogóle doskonała. Wyjechałem z Detroit statkiem o piątej po południu, w Buffalo znalazłem się o ósmej rano. Statek ogromny (*Greater Detroit*), doskonale urządzony, niesie świetnie. Noce spędzone na statku są dla mnie prawdziwym poczynkiem w tym zaduchu sierpniowym.

Z Buffalo do Baltimore pędzimy ekspresem Pensylwania R.R. — 400 mil angielskich w niespełna 11 godzinach. Przejeżdżamy czasem przez środek miasta jak w *Sunbary* — żadnych barjer, tylko na końcu ulicy krzyżującej się z szynami, twarzą do pociągu stoją ludzie w stroju farmera, czy robotnika i trzymają tablicę z napisem: *Stop*. Okolice podgórska, częściowo przecinamy pasmo górskie *Allegheny Mts*. Lasy tutaj lepiej zaszanowane.

W wozie restauracyjnym *Chief Steward* (coś w rodzaju austriackiego *Herr Ober*) — zapytuje mnie: *Sprechen Sie deutsch?* oczywiście! Ze spokojem odpowiadam — i pytam: *und Sie sprechen gut deutsch?* Steward

widząc brak entuzjazmu po mojej stronie zapytuje *parlez vous français?* odpowiadam „możemy mówić po francusku“. Jakoś zdetonowany zauważa: *Nous ne sommes ni en France, ni en Allemagne...* Patrzę żdziwiony, czego właściwie ten człowiek chce. Kiedy wychodzę z wozu po *lunchu*, podchodzi znowu: *You from Switzerland*, a to szelma — kombinator, wykalkulował sobie, że człowiek mówiący i po niemiecku i po francusku, to — Szwajcar. Daję odpowiedź wymijającą i wychodzę.

Kiedy wróciłem wieczorem na obiad, steward czyhał na mnie; zaczął po niemiecku, mając tego dość odrzekłem, że nie jestem Niemcem, tylko Polakiem. Zapytałem go lekceważąco, czy wie, co to jest Polska? Nato twarz mu nagle spoważniała, jakoś się wyciągnęła i z dziwnym wzruszeniem powiada: „ja z niesłychaną radością powitałem chwilę, gdy Polska wydobyła się z rąk despotycznej Rosji!“ Cóż to znowu? Pytam go, kto on jest, waha się, wreszcie przyznaje się, że jest Grekiem urodzonym w Smyrnie, osiadłym w U. S. A. od 29 lat. „Czy Pan pamięta“ pyta mnie, „jak to Turcy urządzili rzeź chrześcijan w Smyrnie, a żadne państwo chrześcijańskie nie protestowało, bo wszyscy mieli swe interesy w barbarzyńskiej Turcji“. Zaczyna się pogadanka polityczna, pyta mnie co sędzę o Wenizelosie, ja odwracam pytanie i informuję się o stosunki w Grecji — steward określa obecny rząd jako rząd silnej ręki i dodaje: „Grecy są niezadowoleni, ale to

taki naród młody, który miał dawniej króla, teraz puszczone luzem, samopas nie może sobie dać rady. Musi mieć silne rządy“. Pytam, czy jest zadowolniony z U. S. A. „O! to kraj szczęśliwy, lud wychowany w dobrobycie i wolności, nie wie, co to znaczy ucisk i prześladowanie. Mam tutaj dwieście dolarów miesięcznie i zwrot wszystkich wydatków — mogę dobrze zjeść, dobrze się ubrać, a moje dzieci mają wielkie szanse (*opportunity*). Kraj zakwitnie, jak Hoover zostanie prezydentem“. „Pan przypuszcza, że Hoover będzie wybrany?“. „Ja wiem (*I know it*), ja mu to przepowiedziałem trzy lata temu, jak jechał tym samym wagonem — miałem z nim wtedy długą dyskusję polityczną. Pan się dziwi, że steward z *dining-car* dyskutuje z Hooverem, ale niech pan pamięta, że jesteśmy w U. S. A. a nie w Europie“.

Co za człowiek! Kiedy mu powiedziałem, że i my w Europie rozmawialibyśmy z stewardami, gdyby mieli jego inteligencję, wzruszył się tem, podziękował i wyjaśnił, że on każdą chwilę wolną poświęca na lekturę książek, „bo Plato powiedział, że książka nie jest rzeczą martwą, bo tkwi w niej żywa siła“.

Nadchodząca fala gości przerwała dalsze wywody. Pod koniec obiadu, kiedy już piłem herbatę, zbliżył się i zapytał pokornie, czy ja przyjmę od niego porcję lodów? Co za sytuacja — widać, że pocziwina chce mnie uraczyć, wiem, że porcja lodów (około 20 cts)

w budzecie jego nie stanowi rubryki, — ale czy ja wiem — nie mogę — wymawiam się, że już piję herbatę...

Może zrobiłem mu przykrość, posmutniał, widać nie znam dostatecznie zwyczajów krajowych — w Hiszpanji człowiek jadący koleją, jeżeli chce korzystać z zapasów, które wiezie, winien, zanim zacznie jeść, ofiarować swe smakołyki wszystkim, choćby obcym towarzyszom podróży. Inaczej byłby źle wychowanym. Ale gdyby towarzysz podróży sięgnął po smakołyk, dałby ze swej strony dowód najgorszego wychowania. —

Chcąc na wszelki wypadek okazać, że po amerykańsku (U. S. A.) potrafię w stewardzie widzieć człowieka inteligentnego, jeżeli nim jest, dałem mu moją kartę wizytową. Udało się, — twarz się rozpromieniła, ukłonił się, wspomniał coś o wielkim zaszczyście i złożył na moje ręce najlepsze życzenia dla republiki polskiej.

XXVII.

Zajechawszy w Baltimore do hotelu Stafford, polecenego mi przez jakiegoś dżentelmena poznanego w wagonie (dygnitarza z *American Telephone and Telegraph Co.* zatrudniającej 350.000 urzędników podobno) — nie wychodziłem czas jakiś, czekając na chłód.

Jeżeli Nowy York ma tę samą szerokość geograficzną co Neapol, to Baltimore już pewnie zbliża się do Algieru. Jedno jest pewne: upał był tropikalny. Wy-

chodzę wreszcie koło dziewiątej wieczorem z hotelu i czuję, że padam ofiarą halucynacji. Jak Beduin na piaszczystej pustyni widzi nagle oazę z palmami i rozlaną wodę — a to tylko fata morgana, tak ja widzę szeroki plac pokryty krótko strzyżoną trawą, chodniki z wielkich kamiennych flisów, budowle z ciosowego kamienia, piękne, zupełnie europejskie, widzę pomniki ze spiżu w strojach z XVIII w. czy w jakiejś fantastycznej todze, wszystko to oświecone latarniami o matowym szkle. Panuje półmrok. Oczywiście działanie upału — wizje na jawie. Kiedy minąłem jakąś kolumnę, na której pewnie coś stoi, czego nie widzę i jeszcze jeden spiżowy pomnik jakiegoś zbrojnego męża na koniu, wszedłem w krąg silniejszego oświetlenia: przyszedłem wówczas do przekonania, że wizja jest rzeczywistością. Baltimore w części dawniejszej zachowało typ miasta europejskiego (holenderskiego czy angielskiego) z XVIII wieku, czy z początków XIX-tego.

Główna ulica (*Charlestreet*) ma często domy dwupiętrowe o trzech oknach (jak nasze domy staromieszczańskie), fasady zwykle z cegły z obramowaniem kamiennem; schodki kamienne przed domem na zewnątrz. Sklepy mają wystawy dyskretne, w dobrym guście; widzę wiele składów ze starożytnościami, wiele księgarni z książkami o „pięknych starych domach“, „pięknych starych kościołach“ i t. p. Piękno widać zajmuje mieszkańców tego miasta; w starym domu, czy kościele

widzą piękno a nie rudere, którą trzeba usunąć, by sta-
nął wielki dom handlowy. Dziwy nad dziwy.

Mijam jakiś kościół, na ogrodzeniu wielka tablica
z napisem: „nie jest wart zbawienia człowiek, który nie
jest gotów narazić życia na niebezpieczeństwo dla wiel-
kiej sprawy (*great cause*)“ Podpis: *Theodore Roosevelt*.

Tutaj prowadzi się widać także propagandę piękna
duchowego.

Kiedy nazajutrz przy świetle dziennem oglądałem
wizyjne ulice, stwierdziłem, że pomniki przedstawiały
rzeczywiście ludzi dawniejszych, kolumna dźwiga po-
dobno Waszyngtona (nie ręczę, bo nie dojrzałem), a ów
wojownik — to *Lafayette*. Pomnik ten ma głębsze zna-
czenie, niż inne tego rodzaju dzieła sztuki. Nie to jest
ważne, co przedstawia, ale to co na nim napisano. Na-
pis robi wrażenie, jak gdyby traktatu wiecznej przy-
jaźni rytego w kamieniu. Jest tam dialog Woodrow
Wilsona z R. Poincaré. Wilson powiada: „*La Fayette im-
mortal because a selfforgetful servant of justice and humanity*
(nieśmiertelny, bo był sługą spawiedliwości i ludzkości
z zaparciem siebie samego), *beloved by all Americans, be-
cause he acknowledged no duty more sacred* (ukochany przez
wszystkich Amerykanów, bo uznał, że niema obowiązku
świętszego), *than to fight for the freedom of his fellowmen*
(niż walczyć za wolność bliźnich). Na to odpowiada
Poincaré: *En 1777 la Fayette traversant les mers avec des
volontaires français* (w r. 1777 la Fayette przejechałszy

morza ze swymi ochotnikami francuskimi) *est venu apporter une aide fraternelle au peuple* (przybył by dostarczyć przyjacielskiej pomocy ludowi amerykańskiemu), *qui combattait pour sa liberté nationale* (który walczył o swą narodową wolność); *en 1917 la France combattait à son tour pour défendre sa vie et la liberté du monde* (w r. 1917 Francja walczyła z kolei w obronie życia swego i wolności świata), *l' Amerique qui n' avait jamais oublié la Fayette* (Ameryka nie zapomniawszy nigdy la Fayette) *a traversé les mers pour aider la France, et le monde a été sauvé..* (przejechała przez morze na pomoc Francji i świat ocalał.)

A więc piękno bezinteresowności, ukochania sprawiedliwości, piękno wdzięczności, nigdy nie zapominającej o dobrodziejstwie, a więc piękno wolności, którą wspólnymi siłami uratowano.

A więc w tem mieście jest czas na rozmyślanie o czem innem, jak o konjunkturze i cenach, o nowych motorach i o nowych oszczędnościach w produkcji. Opodał stoi biblioteka publiczna z fundacji p. Peabody. Zasiadłem w ogromnej sali, mogącej pomieścić kilkaset osób, a mieszczącej w danej chwili — sześć. Kazałem podać sobie nowość: H. H. Fisher — *America and the new Poland*. Książka doskonała, pisana rzeczowo, niesłychanie obiektywnie i dlatego wywołała ataki ze strony Niemców w prasie N. Yorku. Otwieram książkę, na pierwszej karcie czytam o przyczynach udziału Ameryki we wskrzeszeniu Polski.

Jako główny powód występuje: *The bond of sympathy between Poland and America established by Kosciuszko and Pułaski* (Więź sympatji między Polską a Ameryką zapoczątkowana przez Kościuszkę i Pułaskiego) *and strengthened by the participation of hundreds of thousands of Poles* (a wzmocniona przez udział setek tysięcy Polaków) *in our national life...* (w naszym życiu narodowym...). Na stronie 47 czytamy znowu: *like the tradition of friendship for France, friendship for Poland* (podobnie jak tradycja przyjaźni dla Francji, przyjaźń dla Polski) *began during the war for independance* (powstała w czasie wojny o niepodległość) *when sons of Poland gave their devotion and fine ability to the Revolutionary Army...* (gdy synowie Polski oddali swój zapał i swe zdolności na usługi armji rewolucyjnej...).

Czuć, że to nie jest frazes, że te słowa są szczerze tak, jak szczerym jest napis na pomniku *La Fayettea*. Tem różni się polityka zagraniczna narodów swobodnych od polityki gabinetowej monarchów, że naród może kierować się szlachetnym sentymentem (jeżeli go na to stać), a monarchowie cierpią na wyższą rację stanu i krótką pamięć. Sobieski więcej zrobił dla Habsburgów, niż polscy bohaterowie dla Stanów a jednak... *De mortuis nil nisi bene...* Polityka narodów swobodnych kieruje się nastrojami... O zmianę ich obecnie w U. S. A. starają się Niemcy... Czy im się uda?

W Baltimore czuć w każdym razie powiew świeżego powietrza moralnego, czuć ideologję tego typu

Amerykanów, którzy patrzą poza *byznes* na świat, którzy widzą, że produkcja nie może być jedynym celem dla wielkiego społeczeństwa, którzy pozwalają sobie na zbytek myślenia wysokimi kategorjami społecznymi i etycznymi.

XXVIII.

Baltimore ma piękne parki. Jeden z nich nosi nazwę poetyczną „wzgórza Druidów“ (*the Druid-Hill-Park*). Skąd ta nazwa celtycka, przypominająca legendarnych kapłanów, tego nie wie nikt. Pewnem jest, że w parku tym jest wiele dębów, a dąb miał to szczęście nie tylko u Celtów, ale u całego szeregu ludów, że uchodził za drzewo święte. Park ogromny (700 akrów) obejmuje także dyskretnie rozlokowany ogród zoologiczny — zwierzęta wśród zieleni mają złudzenie wolności. Jak ja zazdrościłem krokodylom, które z widocznem zadowoleniem wygrzewały się do słońca — przy tej tropikalnej temperaturze; powiedzieć, że szczęście mieszka w nas samych, naszym wewnętrznym nastroju, niezależnie od warunków zewnętrznych...

Liczne napisy w parku zapewniały, że ten park jest moją własnością (*this park belongs to you*). Boże! w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałem, że będę właścicielem takiego parku (a co tu kosztuje „lota“!). Tablice proszą mnie, bym jako właściciel starał się pomagać w utrzymaniu czystości. Ależ i owszem, nie

noszę przy sobie ani sandwichów, ani pomarańcz, nie ma obawy. Uważam, że amerykański pomysł nadania mi prawa własności wzmacnia moje stanowisko społeczne, to całkiem co innego, jak oddanie parku „pod opiekę publiczności“. Kiedy przed laty, w Polsce, wystąpiłem w obronie publicznej własności niszczonej w sposób barbarzyński, jakiś zadzierzysty młodzieniec krzyczał: „Co to Pana obchodzi, czy Pan jest dozorcą?“, a gdy się powołałem, że jestem ową „publicznością, której oddano w opiekę“ — parsknął mi śmiechem w twarz. Teraz co innego, jestem „właścicielem“... Do interwencji nie miałem powodu, choć przygodni moi towarzysze leżeli na krótko strzyżonych gazonach (nie było zakazu, była nawet zachęta — ławki porozrzucane po trawnikach — system w parkach amerykańskich częsty). Tu i ówdzie w zacisznej alei rozległego parku jakaś para miłosna gruchała w samochodzie. Samochód w życiu miłosnem w U. S. A. odgrywa rolę pierwszorzędną. On i ona (dwoje młodych kolegów ze sportu, fabryki, czy z biura) jadą samochodem, stają tam, gdzie nie ma wiele ruchu, jest wieczór... Kto tam się interesuje samochodem stojącym... W Uniwersytecie w Ann Arbor wydano pod adresem studentów obojga płci zakaz kierowania samochodem pod grozą wydalenia...

Gdy wracałem do domu, przystąpił do mnie jakiś dżentelmen, wyraźnie przeciwnik alkoholowej prohibicji i zaproponował mi po przyjacielsku z uśmiechem, bym

mu dał jakiego *kwodra* (¹/₄ dolara) na *sandwich*. To się nazywa wysoki *standard of life*. U nas z miną płaczącą ginącego z głodu proszą „na kawałek chleba“, tutaj musi być co najmniej — *sandwich*. Udałem, że nie rozumiem, o co chodzi i odpowiedziałem, że nie mam przy sobie — *sandwicha*. W N. Yorku jakiś doskonale odżywiony jegomość opowiadał mi, że przyjechał z Buffalo, że jest zrujnowany i pytał czy nie dam mu drobnych (*change*). Odpowiedziałem pytaniem: „Pan jest obywatelem U. S. A.“? Odpowiedział z dumą: „tak“. „A ja jestem *foreigner*“. — Zawstydził się: obywatel U. S. A. żebrze u *foreignera*... Zamruczał: *Oh! I see. Very fine...* Powiadają, że żebractwo jest właściwością Europy...

XXIX.

Upał trwa ciągle; pamiętam ostrzeżenie hygienistów, by w takim okresie unikać mięsa. Wchodzę przeto do jakiegoś lokalu pod firmą *Childs*, posiadającego w miastach U. S. A. liczne filje. Widok owoców zdala wabi oko. Otrzymuję spis potraw niezwykły: oto przy potrawach jest znak V (wielkie) lub v (małe) i jakieś cyfry przypominające numer wielkomiejskiego telefonu.

Na dole karty, jak w przypisku naukowej książki znajduję wyjaśnienie: *V indicates items rich in vitamins* (V duże oznacza artykuły bogate we witaminy), *v — indicates items in which vitamins are present* (v małe — artykuły

w których witaminy są wogóle) *and figures in parentheses indicate approximate protein calories and total calories respectively* (a cyfry w nawiasach oznaczają w przybliżeniu kalorie proteinowe względnie ogół kalorii).

Oczywiście zajęło mnie, jaką wartość przedstawiało moje danie: krajane banany ze śmietanką, było to V (15—350).

Amerykanin kładzie wielki nacisk na higienę, chętnie wprowadza pierwiastki systematyczności i metody nawet do życia codziennego. Uważam też, że amerykańska kuchnia w dziedzinie jarskiej jest znacznie smaczniejsza, niż w dziedzinie mięsnej, — mają niezłe pomysły jak *fruit-cocktail*, do szerokiego kieliszka wkłada się kombinację krajanych owoców, albo też układa się na szerokie liście naszej sałaty (*lettuce*) i nazywa się to *fruit-salad*.

Pouczanie, tak rozpowszechnione w U. S. A., oczywiście nie ogranicza się do witamin, są tu także próby kształcenia pierwszego lepszego przechodnia — na dżentelmena. Na rogach ulic stoją na osobnych nóżkach (lub wiszą) tablice, do których przyczepiono pewną ilość egzemplarzy najnowszego numeru dziennika. U góry tablicy jest puszka z otworem. Napis nad nią opiewa z jednej strony: *Please pay 2 cts* (Proszę zapłacić 2 centy) — z drugiej: *Honor-system* (system honorowy).

Któżby nie dał 2 centów za gazetę i za stwierdzenie honorowości. Przechodzień widzi bliźniego, który

wrzucił 2 centy i myśli prawdopodobnie „o! to honorowy człowiek“ a własne samopoczucie, to nic?

Jest w tem może metoda psychologiczna dobrego kupca, ale jest także podświadome działanie pedagogiczne,

XXX.

W Washingtonie, stolicy Stanów Zjdn. a zarazem ogniska narodowego i państwowego idealizmu najbardziej mnie zajął „biały dom“, mieszkanie najwyższego dostojnika, człowieka najbardziej wpływowego, nietylę dzięki konstytucji, jak się u nas sądzi, ile dzięki temu, że prezydent U. S. A. jest zwycięzcą-partyjnikami, ma możność przeprowadzenia swej woli nie tyle dzięki prerogatywom, które daje konstytucja (prawo *Veta* wobec uchwalonej ustawy), bo te uprawnienia mają charakter raczej negatywny, ile dzięki temu, że zwyciężywszy przy wyborach, a jest to zwycięstwo całego stronnictwa, ma do dyspozycji w obu Izbach większość zgraną tak, jak przemysłowy czy handlowy trust. Jeżeli zatem przychodzi do wykonania sprawa *Veta*, to dzieje się to niezmiernie rzadko, bo poco, skoro istnieje trwała zgoda między prezydentem a większością parlamentarną.

Mogą się zdarzyć wypadki *Veta* — dekoracyjnego, wtedy, gdy parlament uchwała jakieś ustawy, czy wydatki demagogiczne, dla pozyskania głosów przy nadchodzących wyborach, z cichem życzeniem, by prezydent do realizacji uchwały nie dopuścił. Prezy-

dent ustępujący bierze wtedy na siebie całe odium niepopularności.

Tak czy owak, Prezydent Stanów jest bezwzględnie pierwszą osobistością w Państwie.

Biały Dom, jako budynek, ma wiele podobieństwa do Belwederu w Warszawie w swej prostocie w otoczeniu drzew; jest może silniej rozbudowany, park naokoło domu staranniej utrzymany — Amerykanie na tem polu, jak na tylu innych, są dokładni.

Na parterze mieszczą się zbiory porcelany, używanej przez prezydenta (egzemplarze pojedyncze, orjentacyjne znajdują się w gablotkach), mieszczą się portrety dawniejszych prezydentów (nowsi jak Lincoln, Garfield, Wilson, Roosevelt wiszą na pierwszym piętrze). Na parterze hall wewnętrzny poświęcono d a m o m, wisi szereg portretów — małżonek pp. Prezydentów. W Białym Domu? w oficjalnej reprezentacji? żony prezydentów, które nie mają zadania podtrzymania dynastji, nie są matkami królów, nie mogą panować, ani być regentkami, żony, które konstytucyjnie nie mają nic wspólnego z życiem państwowem? Jakie to symboliczne, jak znamienne dla stosunku płci w Ameryce. Żona przenika życie męczyzny. Mąż spędza w jej towarzystwie wszystkie wolne chwile, w regule nie szuka innej kobiety, bo tę jedną znaleźć i zdobyć wymagało pewnego nakładu czasu i nerwów (Stany Zjednoczone cierpią ciągle na niedostatek kobiet), bo życie zaabsorbowane

zawodowem zajęciem ma miejsce wolne co najwyżej dla tej jednej. Kobieta amerykańska, w regule erotycznie nie podniecona (mniejsza o to dlaczego, kwestja bardzo skomplikowana, niech będzie udziałem specjalistów w rodzaju Freuda), jest materiałem na wierną żonę, pomimo, że metody kokieteryj stosowane w polowaniu na męża mogłyby budzić wątpliwości. Mając umysł wygimnastykowany w atmosferze *byznesu*, może być dobrą towarzyszką życia. O ile potrafi zapanować nad wrodzoną każdej kobiecie, zwłaszcza nowożytnej Amerykance, chęcią bawienia się (dancing, teatr, kino, koncert, wycieczki, sport), to może być żoną idealną, może być sekretarką, na której dyskrecję i inteligencję można liczyć, może wziąć część obowiązków na siebie, wszak ta kobieta często przed ślubem stała o własnych siłach, po śmierci męża lub w razie rozwodu, znowu stać będzie o własnych siłach. Nic dziwnego z punktu widzenia psychologicznego, że zawieszono w Białym Domu portrety tych pań, które tu właściwie rządziły — *women rule America*, biorąc na siebie ciężar obowiązków towarzyskich i reprezentacyjnych. Jestto niekonstytucyjne uznanie stosunków faktycznych. Czy to się nie zdarza gdzieś indziej, że stosunki faktyczne silniejsze są od konstytucji, że człowiek decydujący nie jest naczelnikiem państwa a zadowalnia się teką ministra? Życie jest silniejsze od formy, było niem zawsze, nawet za czasów królów frankońskich, kiedy to rządził ich — *majordomus*, lub za

czasów cesarów rzymskich, krępowanych przez dowódcę pretorjanów.

W Stanach Zjednoczonych ma widocznie wybitne stanowisko — pani prezydentowa.

Uderzył mnie pierwszy z kraju portret pani Coolidge: postać stojąca w towarzystwie wielkiego psa o długiej, białej sierści, zdaje się Collie (szkocki pies owczarski). Twarz damy pociągła o oczach głębokich, pełnych zadumy, cierpienia, poświęcenia, dobroci. Jest komedia amerykańska (zdaje mi się) „o człowieku, który poślubił niemowę“, czyżby cierpienia pani Coolidge wynikały także z faktu, że poślubiła „niemowę“ (p. prezydent nie jest zwolennikiem ani krasomówstwa, ani mówienia wogóle). Malarz nie pamiętał o zasadzie, że osób wątych nie należy malować razem z wielkim psem, bo może się narazić na zarzut dysproporcji. Kiedy w paryskim salonie pojawił się portret Sary Bernhardt (sławnej w swoim czasie artystki) w towarzystwie wielkiego psa, jakiś dowcipniś w t. zw. humorystycznym katalogu obrazów pomieścił karykaturę przedstawiającą wielkiego psa a obok tego jakąś wydłużoną wizję. Podpis brzmiał — „portret psa, który znalazł swą kość“.

XXXI.

Sprawa kobiety w życiu amerykańskim, to sprawa ważna oczywiście dla U. S. A., a niezmiernie interesu-

jąca dla obserwatora. W U. S. A. jest ciągle zamało kobiet, kobieta ma wartość dobra rzadkiego, poszukiwanego. Jeżeli w Europie jest kobiet zawiele, jeżeli ten nadmiar wzrósł po wojnie i skutkiem wojny, to w U. S. A. jest odwrotnie. W Europie nadmiar ów oczywiście zrezygnować musi z małżeństwa, w U. S. A. kobieta ma 99 % prawdopodobieństwa, że zamaż wyjdzie. W Europie ubóstwo zwłaszcza powojenne, ochrona lokatorów ze wszystkimi konsekwencjami (brak ruchu budowlanego, brak mieszkań), szanse matrymonjalne pomniejsza, w U. S. A. niesłychane możliwości gospodarcze szanse matrymonjalne zwiększają.

To też Amerykanka powiada sobie: „na co mi z mężczyzną rywalizować, ja wolę zostać jego żoną“. Jeżeli w Europie powstają rozmaite nowe typy kobiet, feministki, *das dritte Geschlecht*, *garçonne*, jeżeli z konieczności wytwarzają się najdziwniejsze związki (jakieś trójkąty z 2 kobietami, miłość lesbijska i t. p.) to w U. S. A. tego niema, jest najprostsze, a dla kobiety, najwygodniejsze rozwiązanie — małżeństwo (bez dodatków). W czasach mojej młodości obchodziła Polska jubileusz J. I. Kraszewskiego; wydano wówczas „Złote myśli“ z dzieł jego. Znalazłem tam w rozdziale „Kobieta“ zdanie: „Kobieta w mężczyźnie męża tylko widzi, ci, którzy się na męża nie zdali, są jak puste orzechy na świecie“. Jak na Europę zdanie to trąciło myszką już lat temu kilkadziesiąt, — w U. S. A. jest zupełnie na

czasie, dosłownie, jak napisał pocziwy nestor powieściopisarzy polskich.

Kobieta w *lunchroomie*, w pralni, w teatrze, w balecie, w banku, kobieta przepisująca, usługująca, jeżdżąca windą (są i takie) — to kobieta w stanie oczekiwania, polowania, zdobywania — męża. Jej chwilowe zajęcie to prowizorium, żadna nie myśli całe życie pracować na podrzędnej posadzie.

Może się to wydawać przesadą. Polecam zająć się literaturą amerykańską. Proszę n. p. wziąć t. zw. magazyn (miesięcznik) p. t. *Smart Set* za wrzesień 1928 r. Cały numer poświęcony jest tylko kwestji, jak kobieta ma zdobyć mężczyznę. Jest część historyczna o wybitnych kobietach ze wstępem, w którym spotykamy zdanie: *If anybody doubts that men were, are and ever will be womans chief business in life* (Jeżeli ktoś wątpi, że mężczyźni byli, są i zawsze będą głównym *byznosem* w życiu kobiety) *a careful study of the lives and loves of these immortal women will soon settle them* (to rozprószy wątpliwości dokładne badanie życia i miłości nieśmiertelnych kobiet...)

Autorka stwierdziwszy, jaki jest *byznes* kobiety, udziela cennych porad: *no woman ever held a man by physical attraction alone* (żadna kobieta nie trzymała mężczyznę przez sam urok fizyczny) *women did hold men by love and companionship long after physical passion had died* (lecz przez miłość i przyjaźń trzymały kobiety długo po wygaśnięciu

pożądania). Autorka przestrzega przed fałszywą dumą, okazywaniem chłodu i budzeniem zazdrości...

Oczywiście Amerykanka w tych warunkach, myśląca o małżeństwie, nie psuje swoich szans lekkomyślnym krokiem. Styka się z mężczyznami, pozwala na pewne poufałości. Wszystko — tylko nie to. Mężczyzna żyje w stanie erotycznego podniecenia, dla którego nie znajduje żadnego upustu (brak kobiet, a te które są, chcą wyjść za mąż) — żelazny pierścień kobiet urządzających nagonkę na mężczyzn z całym zasobem mniej lub więcej wyrafinowanej kokieterji musi mężczyzn wpędzać w jedyne wolne miejsce dla zaspokojenia przyrodzonych potrzeb, w małżeństwo. *Matrimonium est remedium concupiscentiae* — mówi prawo kościelne.

Małżeństwo jest osią, około której obraca się życie mężczyzny, podrażniony, niezaspokojony, rzuca się w wir interesów z całą energją młodego człowieka, szukającego zapomnienia, ogłuszenia z jednej strony, szukającego majątku z drugiej strony, majątku, który pozwoli mu założyć ognisko domowe. Jak dopnie swego, pracuje dalej, by ognisko nie zagasło. Kobieta staje się bodźcem do pracy dla wszystkich w tym stopniu, w jakim w Europie wyjątkowa tylko *passion* stać się nim może. —

W Ameryce nie ma instytucji posagu, mężczyzna musi sam starać się o podstawy bytu materialnego, dlatego też mężczyzna szuka takiej tylko kobiety, która

mu odpowiada pod każdym względem. Po stronie mężczyzny jest tu zawsze *passion*...

XXXII.

Twierdzi się często, że w Ameryce jest stosunek płci patologiczny, twierdzą, że jest bardziej naturalny, niż w Europie. Jeżeli wydaje się dziwnym, to dlatego właśnie, że jest bliższym podstaw. Jeżeli uprzytomnimy sobie historję instytucji małżeństwa, to okaże się, że mężczyzna kobietę zdobywał lub kupował (u rodziny), w Ameryce kupuje ją u niej samej. Kościół stosunek płciowy uświęcił, uznając jego fizjologiczną, emocjonalną podstawę.

Jest jeszcze jeden czynnik, który charakteryzuje małżeństwo amerykańskie — mały odsetek cudzołóstwa. — Mężczyzna ma w domu swoją *passion*, a kobieta, choćby chciała, nie odważy się łatwo stawiać na jedną kartę całej swej egzystencji. Czy to coś nowego? To poprostu małżeństwo pierwotne, przy którem motyw ekonomiczny po stronie mężczyzny nie odgrywa roli, a odgrywa po stronie kobiety.

Czy lepiej jest, jeżeli mężczyzna liczy się z posagiem, nie szuka w małżeństwie swej *passion*, a znajduje ją gdzieindziej? Na tle ekonomicznej zawisłości zarysowują się kontury wzajemnego stosunku małżonków. Rozmawialiśmy raz o tych kwestjach w towarzystwie mieszanem na pokładzie statku. Bogaty hoteljer z Florydy

(członek *yacht-clubu*, dygnitarz loży masonskiej *Egypt — temple* i t. p.) odbywający podróż poślubną z młodą i przystojną żoną, wygłosił w jej obecności pół żartem, pół serjo następującą zasadę postępowania z kobietami, powołując się na stare przykazania amerykańskie:

Catch them young (bierz je, kiedy są młode)

Handle them rough (trzymaj je krótko)

Tell them nothing (nie mów im nic)

Zona słuchała spokojnie, bez protestu...

Chcąc dokuczyć „właścicielowi“ żony, opowiadałem, jak to w Europie przyjętą jest w stosunku do wszystkich kobiet, a więc nie wyłączając żon, zasada: *Ce que la femme veut, Dieu le veut...* Czułem, że ciche sympatie młodej niewolnicy dla Europejczyka rosną, ale kiedy ją zapytałem, czy w Paryżu zatrzyma się dla zakupna toalet odpowiedziała trwożliwie: „nie wiem“ i popatrzyła pytająco na — właściciela... Nie musi być jednak kobietom źle, mimo to, że nie wnoszą posagu...

Chcąc mieć informacje dokładne, opowiedziałem o staro-amerykańskich zasadach prowadzenia żony młodemu człowiekowi z Nowego Yorku. Zamyślił się na chwilę, potem zauważył: „pouczenie to jest teorią, w praktyce: *Women rule America*“. Jednym słowem, jak w dawnej Polsce; przodkowie nasi mieli przynajmniej dokładną świadomość rzeczywistości, kiedy mówili: „my rządzą światem, a nami kobiety“.

XXXIII.

Są w Stanach próby reformacji małżeństwa wogóle a amerykańskiego w szczególności; próby bardzo śmiałe, dotyczące czynnika — materialistycznego. Nie będzie materializmu, jeżeli żadna strona nie będzie miała interesu majątkowego w zawarciu małżeństwa.

Zasadą nową ma być — małżeństwo bez posagu, ale też bez praw żony do męża, „każdy sobie“ a rozwód za obopólną zgodą. W razie rozwodu nikt do drugiego nie rości sobie pretensji. Nowy ten typ małżeństwa (legalizowany konkubinat czy małżeństwo za wypowiedzeniem) nazwano *companionate — marriage*. Twórcą tej koncepcji ma być znany (specjalistom) sędzia Ben Lindsey z Denver (Colorado), człowiek wielkich zasług, twórca *Juvenile Courts*, człowiek bogaty w pomysły, śmiało ujmujący problem nieletniego przestępcy. Byłem przed laty w korespondencji z nim w sprawie praktycznego stosowania przez niego śmiałych teorii, zastąpienia kary wychowaniem poprawczem. Już w drodze do U. S. A. dowiedziałem się od jakiejś starszej Amerykanki, że Lindseya usunięto od sprawowania sędziowstwa — „jako człowieka niemoralnego“. Co takiego? Lindsey, który problem nieletnich ujmował właśnie w płaszczyźnie umoralnienia, usunięty za niemoralność? Pytam, co się stało? Odpowiedź: propaguje wolną miłość. Jak wyglądało oryginalne wystąpienie

Lindseya, tego nie wiem, wiem za to, jak jego projekt wygląda w praktyce. Oto małżeństwo takie, złożone z dwojga artystów kabaretowych Josephine Haldeman — Julius (18 lat) i Aubrey Roselle (20 lat) ogłaszają swą historję matrymonjalną. Ślub zawarli w Girard (Kansas). Kto dawał, nie wiadomo. *Companionate marriage* według ich wynurzeń różni się od zwykłego w trzech punktach: a) *we remain individuals, financially independent of each other*, (odrębność i niezależność gospodarcza) b) *we have agreed to practise birth control, until we are ready to assume the status of „family — marriage“* (zapobieganie potomstwu) c) *if the necessity for divorce should arise we would wish to be divorced cleanly, without the filth and lying that is required now...* (rozwód — gładki). Nazwisko Lindseya powtarza się w tym artykule często, między innemi L. miał proponować, by rozwody nie należały do sądów a do osobnych urzędów rozjemczych (*house of human welfare*) obsadzonych przez specjalistów od psychologii, fizjologii, spraw seksualnych i t. p.

Cała ta sprawa przypomina nieco bolszewickie uproszczenie małżeństwa. Skąd mogło się to wziąć w U. S. A.? Przypuszczalnie jest to wynikiem bankructwa obecnego systemu koedukacji, doprowadzonego do ostateczności. Ciągłe ocieranie się o siebie młodych ludzi obojga płci miało według teorii działać uspokajająco, płęć przeciwna miała nie stanowić żadnej tajemnicy — w praktyce doszło do nielegalnych związków nibyto przy-

jacielskich, a faktycznie poświęconych kultowi typu *de mi* — *vierge* po obu stronach. W szczególności wchodzić nie mogą. Stan ten ma podobno działać niszcząco na młode pokolenie. Dlatego pewnie Lindsey domagał się legalizacji tych „przyjacielskich“ związków, a ze względu na wiek młodociany „przyjaciół“ nie chciał formalnego małżeństwa z ostreimi konsekwencjami w dziedzinie majątkowej.

Myśl ta jest niewątpliwie rewolucyjną. Któryż to mężczyzna w U. S. A. zechce przejść z typu *companionate* — *marriage* do normalnego *family* — *marriage*, jeżeli w pierwszym będzie miał to, o co chodzi. Instytucja proponowana przez Lindseya podkopie momentalnie także korzystne obecnie stanowisko kobiety. To też niewątpliwie kobiety pomysł ten utracą, o ileby góry nie wzięły te żywioły, które obecnie zadowolniają się romantycznymi wycieczkami samochodowymi a zechcą sprawę postawić na poziomie wygodniejszym.

Sprawę traktuje się w U. S. A. zupełnie poważnie. Dowodem tego poważny artykuł p. H. E. Fosdick *What is happening to the American family* w październikowym zeszycie *The American Magazine*. Autor uważa, że nowa forma małżeństwa jest prosto „małżeństwem na próbę“ (*trial marriage*).

XXXIV.

Washington ma charakter odmienny od innych miast — jest miastem parlamentu, urzędów, dyplomatów

i turystów. Jest stolicą wielkiego państwa i Mekką dla Amerykanina, wychowanego w kulcie Waszyngtona. Pojęcia „stolica“ nie należy brać w rozumieniu europejskiem — stolica nie znaczy w U. S. A. „największe miasto“, bo o wielkości miasta w Stanach rozstrzyga nie siedziba władz — a warunki gospodarcze sprzyjające rozwojowi. Skupienie ludzkie wywołane pomieszczeniem władz centralnych jest niczem w porównaniu ze skupieniem ludzkim, dającym możność zrobienia majątku. Pierwsze jest ograniczonem, drugie niema granic. To też jak stolice poszczególnych stanów mieszczą się w nieznanych miejscowościach w rodzaju Albany, Annapolis, Harrisburg, Lansing, Columbus, o średniej lub małej ilości mieszkańców, tak Waszyngton nie jest wcale największem, lub nawet wielkiem miastem U. S. A. Budynki oficjalne przeznaczone dla ministerstw wcale proste, natomiast wiele smaku wykazują liczne budowle prywatne, wille czy pałacyki położone przy długich, cieniistych ulicach. Bardzo dobrze przedstawia się ulica dyplomatów (zdaje się 16-ta), mieszcząca szereg budynków zajmowanych przez poselstwa. Litwę od Polski oddziela przezornie — Kuba. Nie zastałem posła Ciechanowskiego, który bawił na letnich wywczasach w Manchester (ale nie w Anglii — tylko w okolicach Bostonu, nad brzegiem Oceanu), przyjmował mnie radca Łepkowski (pamiętam jego dziadka, profesora archeologii w Uniw. Jagiell., znam ojca i stryja). Zawdzięczam mu

wiele miłych chwil i ułatwień, rozporządza doskonałym *Cadillac'em*, który pozwolił mi orjentować się w mieście szybciej. Waszyngton ma swój plan zabudowy opracowany przez francuskiego majora inżynierji (podobno jeszcze XIX wieku) — w nadziei szybkiego rozwoju. Na razie miasto nie wypełniło przeznaczonej dla siebie przestrzeni. Ozdobą miasta jest szeroko rozlana rzeka Potomac i dziki park, przecinający miasto, który ma podobno sto kilkanaście mil angielskich drogi dla konnej (!) jazdy. Z natury rzeczy miasto pamiątek i państwowej myśli ma wiele pomników. Jest pomnik Kościuszki (z jednej strony pomnika figura kosyniera) z napisem: *And freedom shrieked as Kosciuszko fell.* (Wolność wydała okrzyk zgrozy, gdy Kościuszko padł). Jest pomnik Jacksona z napisem: *Our federal Union — it must be preserved.* (Nasz związek federalny musi być utrzymanym). Pomnik przedstawia wojskowego na koniu stającym dęba; mimo to zdejmuje swobodnie stosowany kapelusz (co za jeździec!). Na około pomnika 4 armaty — mówiące niedwuznacznie do opornych Stanów: *und willst du nicht ein Freund mir sein, so schlag ich dir den Schädel ein.*

XXXV.

1. Dyrektor więzienia klepie po ramieniu młodego więźnia murzyna i powiada do mnie: ten się ładnie opalił (*sunburnt*). Murzyn rzuca na dyrektora spojrzenie,

w którym nie ma życzliwości. Widocznie nie lubi zar-tów na temat zabarwienia naskórka.

2. Wybrałem się do znajomych, mających farmę w okolicach Baltimore. Jak zwykle jest tylko jeden pracownik stały (reszta sezonowa). Pracownik ów — murzyn robi honory domu, pracuje u swego pana 21 lat, ma swoją rodzinę, ale żyje więcej rodziną chle-bodawcy; typ, który znam tylko z powieści J. I. Kra-szewskiego lub Rodziewiczówny „stary sługa“. Gdy mówi o panience, rozrzewnia się i podnosi z dumą: „przez całe jej życie żaden inny służący nie miał do niej dostępu tylko ja, dziś to prawdziwa pani (lady)“...

3. Nie zdarzyło mi się, by w jakim kraju tak często pytały się kobiety o godzinę, jak w U. S. A. Są to zawsze młode i przystojne murzynki.

4. Opowiadał mi młody człowiek biały: „znajoma moja chcąc dokonać na mnie aktu zemsty podała do wiadomości ogólnej, że mam bliższe stosunki z mulatką. Musiałem stanowczo przeciw temu reagować, gdyż znalazłbym się poza nawiasem białego towarzystwa“.

5. Ludzie biali czują nieprzyzwyczajony wstręt do czarnych. Ależ skąd biorą się mulaci?

XXXVI.

Powszechnie wyświetla się obecnie film „*We Americans*“ (My Amerykanie), film niewątpliwie propagan-dowy. Myśl przewodnia jest następująca: imigranci

powinni starać się o obywatelstwo amerykańskie, uczyć się po angielsku, dostarczać w razie potrzeby ochotnika dla armji amerykańskiej. Za to 100%. Amerykanie, którzy *Mayflower* (nazwa okrętu znanego z dziejów migracji angielskiej) noszą w butonjerze, gotowi są ich uznać za równych sobie. Problem ujęty jest we filmie jaskrawo: pierwsza generacja (Żyd, Niemiec, Włoch) pracują ciężko z rozmaitem szczęściem, dzieci wstydzą się rodziców, szukają towarzystwa za domem, dlatego nawet w nocy ich niema (nie wyłączając dziewcząt) — sporty, dancingi. Tłomaczy im rezoner (w roli *teacher*a z nocnej szkoły dla dokszałcających się): „Wy jesteście winni, dzieci uciekają z domu, bo nie znajdują zrozumienia“. Wybuchła wojna Ameryki z Niemcami, młodzi idą jako ochotnicy, starzy godzą się z losem lub nawet pochwalają zapał. Kończy się małżeństwem 100% Amerykanina z Żydówką, której brat padł na polu chwały. Młody Włoch wraca bez nogi, ale nie traci względów u Niemki (z pochodzenia), która czuje się Amerykanką i kocha bohatera.

Wprowadzenie problemu roztańczonej młodzieży jest niezręczne. Robi także wrażenie, jak gdyby „wyższa“ kultura Amerykanina zasadzała się na sporcie i dancingu, a niższa na pracy. Jeżeli dzisiejsza generacja dorastająca przepada za sportem i dancingiem, to nie są to tylko dzieci immigrantów, ale także stuprocentowców, które z tytułu pochodzenia nie mają powodu, ani się wstydić, ani z domu uciekać.

Film ten jest tylko dokumentem, że pewne sfery chcą co prędzej skończyć z zadaniem tworzenia „narodu“ amerykańskiego. Chociaż H. H. Fisher w swej książce *America and the new Poland* przeczy, jakoby istniała taka tendencja, to mogę w odpowiedzi odesłać go do wielkiej księgi oficjalnego wydawnictwa Detroit, gdzie problemowi amerykanizacji poświęcono wiele uwagi, gdzie wyraźnie się podaje adres głównego biura propagandy i adresy licznych filji rozrzuconych po całym mieście.

Zadziwiającem jest, że U. S. A., które szczęśliwie istnieją jako federacja tak długo, nie chcą losu Szwajcarii, mającej także odrębności narodowe. Szwajcaria niema jednolitego narodu, a jednak nie rozpadła się. Cóż grozi U. S. A.? czyż sąsiadują z jakim państwem, które mogłoby udzielić pomocy separatystom? Mówi się nawet o tworzeniu języka „amerykańskiego“, który ma się różnić od angielskiego. Najlepiej byłoby sprawę załatwić na sposób Włochów, którzy orzekli, że dialekt, jakim mówi się w Toskanie jest językiem włoskim. Można by orzec, który dialekt ma być językiem amerykańskim. Czy to się uda, wątpię. Szowiniści chcą przyspieszać amerykanizację przez to, że z góry traktują immigrantów świeżych, wywołuje to oczywiście reakcję. Polacy, którzy już nie mówili po polsku, zaczynają się teraz uczyć języka polskiego, i z tupetem zaznaczają swoją narodowość. Mają być całe życie 25% Ameryka-

nami, to wolą być 100% Polakami, a mają teraz możliwość powołania się na realne istnienie Polski, jako mocarstwa. Szowiniści amerykańscy niechętnie jednak słyszą rozmowę prowadzoną w obcym języku, niedługo gotowi reagować jak Prusacy przed wojną: *hier wird deutsch gesprochen!* Nie wszyscy jednak w U. S. A. są nacjonalistami, zauważyłem, że po więzieniach chętnie widzą, jak rozmawiam z dozorcami, lub więźniami po polsku. Uważam, że U. S. A. uczą się od Europy najgorszych rzeczy — między innymi nacjonalizmu, który już tyle szkody narobił. Rozumiem jeszcze nacjonalizm u gotowego narodu, ale robić naród tam, gdzie go nie ma, gdzie jest tylko społeczeństwo różnojęzyczne, to naprawdę aberracja. Powiedziałby Hamlet: Ameryka „wyszła z formy“.

W czasie przedstawienia „My Amerykanie“ miałem za sąsiadów Żydów — dziwnie szyderczo się uśmiechali, Dlaczego? — nie mówili.

Film ten odkrywa pomieszanie pojęć, które istnieje w U. S. A. na polu stosunku — państwa do społeczeństwa i narodu. Zjawiają się w tym filmie obrazy podkreślające, co wszystko ludność napływowa ma do zawdzięczenia Stanom. Ukazuje się okręt wiozący imigrantów, twarze grubo ciosane, spojrzenie tępe, strój chłopski. Zdała wizja pomnika Liberty, wyświetla się nawet ów sonet p. Emmy Lazarus (ktoby pomyślał!) zwłaszcza ustęp o „przytulaniu biednych“*). W czasie

*) por. wyżej str. 41.

filmu podkreśla się, że U. S. A., to kraj, gdzie łatwo można dojść do majątku (*the land of opportunity*). Konkluzja tego wszystkiego — „bierzcie pierwsze papiery, uczcie się po angielsku, zapomnijcie o dawnym kraju, bądźcie narodem amerykańskim“.

W rozumowaniu tem jest błąd pierwszy — faktyczny: ludzie nowi przyniosłszy swoją biedę, przynieśli także wielką energję pracy. Jeżeliby ich nie było, nie byłoby przemysłu amerykańskiego, bo do przemysłu nie wystarcza pomysł, kapitał i organizacja, potrzeba rąk do pracy. W rozumowaniu tem jest błąd drugi — logiczny, wdzięczność jest obowiązkiem przyzwoitego człowieka, wdzięczność wobec państwa objawia się lojalnością, ale gdzie jest obowiązek wynaradawiania się? Tam, gdzie jedna strona daje pracę, druga za to płaci, rachunki są wyrównane. Tam, gdzie państwo daje opiekę a mieszkaniem dochowuje ustaw, rachunki znowu są wyrównane. Gdybyśmy przyjęli tezę, że emigrant otrzymał więcej, niż dał, dlaczego zapłata ma właśnie przybierać postać wynaradawiania się? U. S. A. chce z imigranta zrobić swego obywatela, nikt nic mieć przeciw temu nie może, zwykle jest to i tak marzeniem przybysza. Można się zgodzić, że zaraz na wstępie przy wymianie pierwszych papierów musi składać deklarację następującą:

It is my bona fide intention to renounce for ever all allegiance and fidelity to any foreign prince potentate, state or

sovereignty and particularly to the Republic of Poland, of whom I am now a subject... and it is my intention to become a citizen... (Jestto mojem szczerem postanowieniem zrzec się na zawsze przynależności i wierności wobec jakiegokolwiek obcego władcy, Państwa lub władzy zwierzchniej, w szczególności wobec Rzeczypospolitej Polskiej, której jestem teraz poddanym i jest mojem postanowieniem stać się obywatelem St. Zjedn.). Oczywiście immigrant¹ stając się obywatelem U.S.A., przestaje być obywatelem innego państwa, ustają obowiązki wierności wobec niego... Ale dlaczego ma on zapomnieć o dawnym kraju? dlaczego ma stać się członkiem innej grupy etnicznej, ma przejąć jej język i tradycje? Przypuśćmy, że jestto możliwe, wszak w regule dzieje się to w drugiej generacji. Dlaczego forsować to, co samo przyjść może? Oczywiście jest to refleks owej standaryzacji, która ma objąć nie tylko artykuły przemysłu, ale i ludzi. Czy jednak jest to dobrze przemyślane? Czy nie jest to eksperyment niebezpieczny? Czy człowiek, któremu odbiera się ideologię wczorajszą, zaraz przejmie nową? czy człowiek, który przestał wierzyć w Polskę, czcić jej przedstawicieli jako wykładników cnót obywatelskich, patriotyzmu, poświęcenia odrazu zacznie patrzeć z rozrzewnieniem na Waszyngtona, Lincolna? wszak ma on w domu jeszcze rodziców z innemi tradycjami narodowemi. Następstwa gwałtownej zmiany ideologii są proste, wynika stąd — indyferentyzm. To też ta druga generacja, zanglizowana,

nie ma żadnej ideologii — wyzbywa się swej narodowej (wstydzi się Sobieskiego czy Batorego), nie nabywa amerykańskiej, (bo nie rozumie Waszyngtona), przestaje się interesować krajem rodzinnym, a nie staje się fanatykiem U. S. A. — Indyferentyzm potoczywszy się, jak lawina, porywa religijność, potem etykę. Zostaje człowiek wyprany z wszystkiego, który wie tylko o jednym, że U. S. A. to jest *the land of opportunity*. To też szuka powodzenia (*success*). W ten sposób wychowuje się owych *struggle — of — lifes*, których ma U. S. A. już dość wśród kobiet (z innych powodów). Dyrektorowie więzień uskarżają się na wzrost przestępczości przy nieustannym wzroście przeciętnej zamożności. Obawiam się, że wychowanie amerykańskich indyferentów znacznie do tego się przyczynia.

XXXVII.

W niedzielę o godzinie dziewiątej wieczorem, przejeżdżając przez niesłychanie ruchliwą ulicę Marketstreet w Filadelfji, zauważyłem tłum ludzi otaczający przemawiającego mężczyznę. Przyłączyłem się do słuchaczów w mniemaniu, że usłyszę mowę polityczną ze względu na nadchodzące wybory, wszak tuż obok na Chestnutstreet wisiał w poprzek ulicy olbrzymi siatkowy obraz, propagujący kandydatury republikańskie („ochrona celna i ogólny dobrobyt“). Okazało się jednak, że mowcy (było ich trzech po kolei) nie mają z polityką nic wspólnego.

Przemówienia były czysto religijne na temat: kto w Boga nie wierzy, jest potępiony, kto zaś wierzy, niech się nie obawia, grzechy będą mu odpuszczone, bo Bóg jest Bogiem miłości a nie zemsty, lub nienawiści. Chrystus, który poświęcił się dla odkupienia ludzkości znów nadchodzi (*is coming*)... Nie rozdawano żadnych druków, nie zbierano żadnych pieniędzy, nie nakłaniano do zapisywania się do czegoś. Mowcy ubrani najbardziej codziennie, najbardziej pospolicie, znikali po ukończeniu przemowy. Słuchano ich w skupieniu, mimo łoskotu przejeżdżających wozów tramwajowych i poryków samochodowych. Podobne uliczne zebranie widziałem raz w Detroit. Jakiś starszy człowiek mówił o higienie i polecał swą książkę, którą między słuchaczami rozsprzedawał. W Detroit — *business*. w Philadelphji — religja. Zdaje się, że posiew Kwaków (Filadelfja do dziś nosi nazwę miasta Kwaków) w kierunku silnych podstaw religijnych trwa jeszcze ciągle (między słuchaczami byli także ludzie młodzi). W U. S. A. co stan, to inny typ.

XXXVIII.

Kto chce poznać psychikę tego społeczeństwa etnicznie bardzo złożonego, a jednak mającego jakąś zbiorową duszę, to niech zajmie się na chwilę problemem, co należy robić z przestępcami. W Europie odpowiadali na to pytanie filozofowie, mędracy od przeszło

dwu tysięcy lat, wytwarzając teorie (często między sobą różne), które jakiś ustawodawca przemieniał w prawo, a jakiś dyrektor więzienia, czy inny organ wykonawczy w życie wprowadzał. Jeżeli było źle, to nikt nie twierdził, że pomysł był wadliwy, tylko, że albo źle przeprowadzony, albo materiał ludzki doszczętnie zepsuty. Przytaczał ktoś fakty na dowód, że sam pomysł był wadliwy — odpowiadano mu, jak ów profesor niemiecki „tem gorzej dla tych — faktów“ (*um so schlimmer für diese Tatsachen*).

W U. S. A. eksperymentowano, w każdym stanie inaczej; było źle, to rzucono jeden eksperyment, a rozpoczynano inny, w tym samym lub w innym stanie.

Fortece więzienne w Baltimore i Filadelfji mówią za siebie tomy — wysokie grube mury ochronne, budynki z ciosowego kamienia potężne, ponure, nie pozbawione pewnego stylu, przypominają zamek „królewski“ (cesarski) w Poznaniu, widać, że w początku XIX wieku, w stanach południowo-wschodnich przeważało hasło surowości: dla przestępcy najodpowiedniejszą jest twarda pięść, przestępca ma być przez karę złamany, niech głową bije, o te grube mury. Jakżeż to różne od wesołych (pod względem architektury) pałacików wiejskich w Elmira lub Ionia. Ale w Maryland i Pensylwanji zapatrywania zmieniły się tymczasem doszczętnie, więźniom pozwala się celę ozdabiać według gustu i ochoty (*schmücke Dein Heim*), w owem ponurem zam-

czysku w Baltimore na środku dziedzińca urządzono wielki gazon pełen kwiatów, więźniowie w wolnych chwilach grają w piłkę, w Filadelfji, która wprowadziła pierwotnie system zupełnego osamotnienia, śladu już z niego niema; nietylko, że często przebywa 2 więźniów w celi, ale co więcej, wogóle niema nakazu milczenia. W U. S. A. eksperymentuje się dalej — spróbowano wypuszczać więźnia na próbę, na słowo (*on parole*). Udało się — system ten przedostał się już do Europy, jako t. zw. warunkowe zwolnienie od reszty kary.

W U. S. A. zaczyna się dalsze eksperymentowanie: istnieją przestępcy, którzy nie zasługują na zwolnienie warunkowe przed upływem oznaczonego czasu kary pozbawienia wolności. Zachodzi nawet wątpliwość, czy dobrze jest ich wypuszczać, gdy czas oznaczony przez sędziego nadejdzie. Możeby było lepiej tego czasu nie oznaczać? Ależ owszem, powiadają jedni. Nie można, mówią drudzy. Znowu zaczyna się eksperymentowanie, pierwsi pokazują, że eksperyment się udał, drudzy milkną i pierwszych naśladową. Jesteśmy jednak dopiero w połowie drogi. Amerykanie zaczynają eksperymenty, które zaprowadzą ich dalej, niż przypuszczają dzisiaj. Co to znaczy „psychologiczna analiza“ przestępcy, stosowana w Elmirze lub w Sing - Sing? to znaczy, że chcemy poznać psychikę przede wszystkim dla wydania sprawiedliwego wyroku. Ale po co badamy go po wyroku, po co?

po to, by wiedzieć, jak długo mamy go trzymać w zamknięciu, by dokonać przemiany jego psychiki. Przepraszam, ale to już nie jest dawne prawo karne, które wymagało od sprawiedliwości, by miała oczy zasłonięte, by trzymała w jednej ręce wagę (aptekarską), w drugiej miecz. To jest jakieś nowe prawo karne, które sprawiedliwości każe się ubrać w strój siostry miłosierdzia i na rozgorączkowane czoło kłaść rękę miękką, aksamitną — na jak długo, tego nie wiadomo, o tem rozstrzygnie lekarz duszy.

Amerykanie mają swe osobne zakłady dla przestępców częściowo psychicznie anormalnych (w Napanoch N. Y.) lub zupełnie psychicznie chorych (w Bridgewater Mass). A więc tutaj myśl szpitalu przeprowadzona jest doszczętnie. Psychoanaliza zaczyna wykazywać, że wśród przestępców przeważa typ anormalności. Coraz częściej zachodzić będzie szpitalnictwo. Któż więc zostanie we więzieniu? zostaną normalni, którym tylko nie dostaje wychowania społecznego. Ależ tam, gdzie trzeba uzupełniać wychowanie, nieda się nigdy powiedzieć, kiedy zadanie będzie skończone. Szpitalnictwo i wychowanie — prowadzą do zmiany podstaw prawa karnego i doprowadzą. Stanie się to po cichu, powoli, tak jak się stało z warunkowem zwolnieniem od reszty kary i warunkowem zawieszeniem wykonania kary, — wszak jedno i drugie nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością, nic wspólnego z wagą i mieczem.

Tak się stało z prawem karania nieletnich, które przemieniło się wyraźnie już na prawo wychowywania i poprawiania.

Z rozmowy z amerykańskimi specjalistami, nawet z ich książek (*A. E. Barnes The evolution of penology in U. S. A. 1928*) widać, że nie mają oni dokładnej świadomości, dokąd eksperymenty ich prowadzą nieuchronnie. Lepiej, że nie wiedzą, bo mogliby się przestraszyć, a trzeba, żeby ktoś eksperymentował, bo przecież i w rzeczach społecznych praktyka życia ważniejszą jest od teorii, często niestrawnej.

Nie trzeba sądzić, by społeczeństwo amerykańskie było skłonne do szybkich kroków naprzód. Eksperymenty robią — jednostki, psychoanaliza jest dziełem także jednostek, które często łożą na to pieniądze.

„Ażeby uczynić klinikę psychiatryczną częścią administracyjnego mechanizmu penitencjarnych zakładów robiło się mało lub wcale nic. Nawet w Sing - Sing, tolerował ją Stan New York tylko dlatego, że kosztą ponosiła prywatna fundacja dla badań naukowych“ (*Barnes*). Barnes twierdzi, że społeczeństwo amerykańskie musi się do psycho-analیزی dopiero przyzwyczajać — *will doubtless require many years to educate the public*. Amerykanie nawet wtedy, gdy dadzą się porwać pewnej idei, to w praktyce są ostrożni. Tak było ze sterylizacją przestępców dla uniknięcia zbrodniczego potomstwa. 17 Stanów ją uchwaliło w stosunku do *hopelessiy defec-*

tive i habitually criminal, na wiosnę 1927 nawet *supreme Court* Stanów uznał ją za zgodną z konstytucją, (były widać wątpliwości) a jednak w praktyce i to tylko częściowo stosują ją — jedynie 2 stany: Kalifornia i Wisconsin.

Fala jednak idzie i rośnie, a gdy zatopi dzisiejsze prawo karne za lat kilkadziesiąt, gdy z niego pozostaną tylko szczyty widoczne dla oka, gdy główną rolę odgrywać będzie prawo administracyjne w stosunku do przestępców — obejmujące wychowanie i osobne szkolnictwo dla zaniedbanej lub występnej młodzieży, domy reformujące (Reformatory) dla przestępców normalnych a podatnych dla regeneracji, domy lecznicze dla częściowo i zupełnie anormalnych, domy ochronne dla niepoprawnych, gdy sędzia karny (jeżeli sędzia, a nie policja, czy inny urząd) rozstrzygać będzie tylko o przydziale danego osobnika do zakładu pewnego typu, gdy czas nauczania, wychowania, leczenia, izolacji zależeć będzie od uznania organu wykonawczego, wtedy okaże się, że tę falę idącą wyczuła w Europie tylko garstka ludzi, — t. zw. pozytywna szkoła włoska. Szkoła włoska jest teoretyczną, nie może się doczekać uznania, wypracowała projekt kodeksu karnego (1921) i z projektem tym przepadła, bo społeczeństwo reform takich radykalnych z dnia na dzień nie przyjmie. Wiadomo, jak to niejeden reformator postradał oczy lub nawet życie dlatego tylko, że nie czekał na ewolucję pojęć. Ustawodawca, który

narzuca system niezgodny z przeciętnymi pojęciami społeczeństwa, nie oddaje mu przysługi. Fala amerykańskiego eksperymentu, zaczyna dopiero podmywać prawo karne dzisiejsze — wiele lat upłynie, zanim mówić będzie można o nowym systemie jako całości. Jeszcze więcej lat upłynie, zanim zostanie się ten system na europejski kontynent. Dziś lepiej nawet o tem nie mówić, żeby ludzi nie niepokoić; dlatego proszę o dyskrecję.

XXXIX.

Sing - Sing to dźwięk złowieszczy dla przestępcy ze stanu New York. Nietylko dlatego, że jest tam więzienie, ale także dlatego, że jest tam (w środku więzienia) owo sławne krzesło elektryczne, z którego się żywcem nie zsiada. Godzina drogi pociągiem od Nowego Yorku do miejscowości Ossining, w okolicy malowniczej nad szeroko rozlanym Hudsonem. Budynek stary (z przed 124 lat) przedstawia się zupełnie nieciekawie, ani to forteca, ani pałacyk. Trakty celkowe podobne do Baltimore, tylko cele ciaśniejsze, ciemniejsze. Moda z początku XIX. wieku.

Twarda konieczność (przepełnienie) zmusiła do przenoszenia więźniów po pewnym czasie z celki do wielkiej wspólnej sypialni, — powstał w ten sposób swoisty system progresywny (celka, wspólność). Zmiana pojęć kazała na dziedzińcu założyć piękny gazon z kwiatami i drzewkami dekoracyjnymi, kazała muzyce przy-

grywać marsza, gdy więźniowie idą na objad. Uderzającym jest, że więźniowie w salach pracy przeważnie baraszkują. Pytam się, jakie jest wynagrodzenie więźnia? słyszę odpowiedź i nie wierzę własnym uszom — półtora centa (14 groszy) za dzień! Teraz rozumiem wszystko: w Baltimore praca tętni, warczy, tempo gorączkowe, bo tam jest *contract — system*, więzień pracuje na rachunek przedsiębiorcy akordowo, płatny od sztuki, może zarobić 1 — 3 dolarów. Nawet pracujący na dniówki otrzymuje dolara dziennie, (przedsiębiorca płaci oprócz tego, dolara od głowy na rzecz państwa). Więźniowie mają oszczędności dochodzące setek dolarów. — W Sing-Sing wynagrodzenia niema — to też praca jest bezochotna, „jak za napaść“. Oto są U. S. A. — kalejdoskop; co stan, to inny system. Dyrektor z Sing-Sing p. Lawes uspokaja mnie mówiąc: „myli się Pan, nie co stan, to inny system, a co więzienie (choćby w tym samym stanie), to inny system“... Jeszcze lepiej.

Miejsce stracenia mieści się w osobnym budynku, specjalnie zabezpieczonym, krzesło stoi w małej salce zawierającej ponadto cztery ławki dla przedstawicieli władz i 12 świadków, koniecznych dla tego aktu, wreszcie i stół na kółkach, na który składa się ciało straconego po ukończeniu przykrego aktu. Krzesło tracenia bardzo zwykłe, kilka rzemieni silnych dla przytrzymania straceńca i kilka przewodów elektrycznych,

Obok salka dla sekcji (celem gruntownego stwierdzenia śmierci), dalej chłodnia (rodzina czasem zabiera zwłoki).

Jak często odbywają się egzekucje? 12 — 15 razy w roku (na dwadzieścia milionów mieszkańców w stanie New York). W dawnej Austrii mającej 25 milionów bywało przed wojną rzeczywiście wykonanych egzekucji kilka zaledwie, czasem ani jednej.

Jeżeli zakład w Sing - Sing z początku przynosił mi rozczarowanie pod każdym względem, to sprawa zmieniła się z gruntu, gdy wprowadzono mnie do zakładowego psychiatry dra A. T. Bakera, człowieka starszego, rozumnego, myślącego nowożytnymi kategorjami. W ostatnim roku przeprowadzał badania nad ośmiuset więźniami. Okazało się, że trzydziestu z nich było wręcz obłąkanych, przeszło stu patologicznie anormalnych, reszta przedstawiała przeciętną inteligencję w stopniu dziecka 14 $\frac{1}{2}$ letniego. Niezmiernie ciekawe były wyniki co do rozwoju umysłowego przy poszczególnych przestępstwach, w grupie napadu (*assault*) 77 badanych okazywało umysłowość dziecka we wieku 11 lat, przy przestępstwach płciowych (*Rape and sodomy*) 20 badanych miało umysłowość odpowiadającą wiekowi 12 lat i 3 miesiące t. d. Oto jest świat przestępców: niedorozwój psychiczny, niedorozwój intelektu i woli.

Zaprowadzono mnie do nowego budynku zakładowego, wybudowanego kosztem 3 milionów dolarów, jeszcze nie zajętego, bo zachodzi brak pieniędzy na wy-

kończenie (podobno uruchomienie nastąpi za półroku). Jestto rzecz wspaniała z punktu widzenia zaopatrzenia w przyrządy do badań leczniczych i naukowo - przyrodniczych. Ogromny dwupiętrowy pawilon jest poświęcony tej sprawie. Oprowadzał mnie z ogromnym zapalem p. H. I. Gosline A. B., M. D., *pathologist, radiographer*.

Zajmującym jest, że chociaż Sing - Sing nie jest zakładem w typie Reformatory, tylko zwykłym więzieniem (*state prison*), to istnieją tam także wyroki nieoznaczone specjalnego typu, sąd skazuje na minimum i maximum; w obrębie tego wymiaru o czasie trwania kary rozstrzyga czynnik wykonawczy. W mojej obecności przywieziono samochodem nowego więźnia (Włocha) skazanego na *hard labor* od 2 do 5 lat, za sprzedaż za kilkaset dolarów bezwartościowego szkła, jako brylantu. Do wyroku był dołączony dokument wystawiony przez *Chief Probation Officer* a obejmujący badanie psychoanalityczne dla użytku sądu (*preliminary investigation*) — stosuje się to zawsze w sprawach większej wagi, należących do *Court of General Sessions*. Jestto analiza potrzebna dla wydania sprawiedliwego wyroku, tak jak analiza więzienna potrzebna jest dla odpowiedniego traktowania więźnia. Nowy ten więzień przekroczył lat 30 życia, nie można więc dosłownie mówić o treningu, (jak w Reformatory), ale sędzia już w wyroku daje mu możliwość korzystania przecież ze sposobności skrócenia okresu kary mającej trwać od 2 do 5 lat! „Od Ciebie zależy, czy wyjdiesz prędzej czy później“.

XL.

Amerykanie są podobno dumni na swą *Atlantic — City*, miejsce kąpielowe nad Oceanem, łatwo dostępne dla mieszkańców Waszyngtonu, Baltimore, Filadelfji i N. Yorku. Nazwa miejscowości jest trafna, bo jest to poprostu miasto nad Atlantykiem, a publiczność także z pewnością zajęta jest normalnie w *City* (śródmieściu) wielkich miast. Dla dokładności należy podnieść, że śródmieście, czy ognisko pracy danego miasta nazywa się w U. S. A. — nie „*City*” a *down — town*. Początku tej terminologii szukać należy w Nowym Yorku, gdzie ratusz (*City - Hall*), główna poczta, największe drapacze, i najważniejsze instytucje mieszczą się na dole (*down*) miasta, w najniższym punkcie wyspy Manhattan, między wschodnim a północnym biegiem rzeki Hudson. *Atlantic - City*, to miasto zapełnione ludźmi z innego miasta z wszystkimi ich upodobaniami, przyzwyczajeniami. Olbrzymie domiska są pomniejszonymi drapaczami, zgiełk na piasku lub ulicy biegnącej wzdłuż brzegu przypomina wieczorne tłumy między piątą i siódmą Avenue, 34-tą i 42-gą ulicę w N. Yorku, sklepy, restauracje, kawiarnie (z włoska po angielsku *Caffeteria*) — te same. Powietrze — to samo, zdaje się, że te tłumy byłyby w stanie zepsuć powietrze nawet na Mont-Blanc. Fala ludzka płynie doskonale zdyscyplinowana w jedną i drugą stronę, Petronjusze (w stylu owego

Lwowianina, który mówił o sobie — „ja muszę mieć łazienkę — bo ja jestem Petronjuszem“), każą się wozić murzynom, wzdłuż sunącej fali ludzkiej. Na tarasach tłumy — siedzące, Na piasku opodal tłumy — leżące. Czasem jakaś próba wesołości sztuczna, — robiona. Gdzież szukać owej żywiołowej radości życia u człowieka zmęczonego, którego mózg, o ile ma jeszcze nieco sprężystości, pracuje dalej nad problemem codziennego życia. Piasek przecinają liczne pomosty, które służą dla pomieszczenia lokalów zabawowych. Tutaj jest osób mniej (wstęp płatny), pomost idzie daleko w morze, tutaj można oddechać.

Gdzież Ocean? Ktoby przypuszczał, że ta brudna woda, marnie falująca, — to nie jest sadzawka przeznaczona do kąpieli. — Doskonale można przyjąć, że to jest jezioro Błotne na Węgrzech, że stoimy na brzegu w Siofok, czy Balaton - fürdő...

„Dystynkcja“ nie jeździ do Atlantic - City, bo jak mi ktoś mówił, jest tam za wiele *hot dogs* (dosłownie „gorące psy“ — nazwa gorących kiełbasek, które sprzedaje się w przydrożnych kramach),

XLI.

Przyjeżdżam do Nowego Yorku poraz wtóry, tym razem od strony lądu (z Filadelfji). Dzień 3. września — „dzień robotników“ — *labour day*. Wyobrażam sobie coś w rodzaju naszego 1-go maja: twarze rozognione,

„gniew ludu“ wisi w powietrzu, tłumne pochody, gorące, dyszące namiętnością mowy.

Nic podobnego. Miasto przypomina nastrojem raczej Lwów w czasie bombardowania przez Ukraińców, — sklepy pozamykane, ulice puste, przechodnie (z klasy robotniczej) zjawiają się w pojedynkę, jest im jakoś nieswojo, — widać nie mają rodziny. Nie mają pieniędzy, by z miasta wyjechać, woleliby pójść do swego *job'u* (zajęcia). Od czasu do czasu zjawia się samochód silnie wypełniony, to jakiś robociarz w koszuli, z podwinętymi rękawami zdecydował się mimo niepewnej pogody wywieść rodzinę za miasto. Musiał mieć powody, że nie uczynił tego w dniu poprzednim, choć była Niedziela. Na poczcie częściowe urządowanie, niektóre pociągi kolejowe nie kursują, Gdzie demonstracje, czerwony sztandar?

Na placu *Union-square*, u zbiegu ulicy 14, 15, 16, gdzie rozmaite napisy zdają się wskazywać, że jest tam ognisko socjalistyczne, — czy ośrodek komunistycznej agitacji, — stoi jakiś dobrze odżywiony jegomość w średnim wieku, przyzwoicie ubrany. Ma — czerwony krawat — pierwszy, jaki tego dnia widziałem, opowiada coś wesoło kilkunastu młodym ludziom. Nad nim wielki szyld dziennika żydowskiego „*Freiheit*“.

Po południu ożywił się ruch uliczny, mam uczucie, że był zupełnie normalny. Ponieważ wiele biur i urzędów, w których miałem sprawy do załatwienia nie

funkcjonowało, byłem cokolwiek nieswój. Sam w wielkiej Kosmopolis — bezrobotny...

Na rogu Broadway i ulicy 32-ej hałasowało kilku ludzi, reklamując w sposób jarmarczny wycieczkę autobusem — do miasta chińskiego (China-town), Na samochodzie stał karton z napisem: *China-town*. Zażądałem prospektu. Czego tam nie było — przejazd przez malowniczą dzielnicę włoską, Ghetto żydowskie, tajemniczą dzielnicę chińską, proletariacką ulicę Bowery, wszystko to za jednego dolara. Czuć było w tem amerykańską reklamę, robioną wyjątkowo dość nieumiejętnie. — Amerykanie doprowadzili w zasadzie sztukę reklamy do mistrzostwa, do wysokości sztuki, wiedzy, kultu. *Advertisement* — to wielkie słowo. Są ludzie, którzy zrobili miliony na reklamowaniu obcych przedsiębiorstw. Jeszcze więcej zarabiają ci, którzy reklamują umiejętnie własne przedsiębiorstwa. Tablice zachwalające biura ogłoszeń podają po krótkce teorię powodzenia reklamy — „to, co reklamujemy musi być zasadniczo dobre, tylko wtedy opłaca się reklama, ale bez reklamy najlepszego towaru nie można sprzedać“.

Przypominam sobie pewnego filozofa (człowieka, który zajmował się filozofją ścisłą), posiadającego dziwnym zbiegiem okoliczności — fabrykę perfum. Kiedy go pytałem (niedyskretnie) o finansowe powodzenie przedsiębiorstwa wygłosił sentencję cokolwiek różną od amerykańskiej — „o wszystkim rozstrzyga reklama;

można sprzedawać *czystą wodę*, byle w ozdobnych fiaskach i dobrze reklamować“!

W jakiś czas potem wycofał się z interesu; nie wiadomo, czy zwyciężyło ukochanie wiedzy ścisłej, czy też zniewoliła go do tego konsekwencja źle pojętej reklamy.

Mam uczucie, że reklamiarze z Chinatown podziwiają zapatrywania polskiego filozofa i podziela z czasem jego los — ekonomiczny.

To, co przedstawiono nam, ofiarom łapichłopstwa było niezmiernie skromne. Prelegent przez megafon opowiadał banalne historie o rozmaitych domach na Broadway, historie nie w rozumieniu dziejów a w rozumieniu szczegółów co do wysokości, szerokości, kosztów budowy, przeznaczenia. Wreszcie zakręciliśmy na sam dół wyspy Manhattan, skręciliśmy koło mostu Brooklyńskiego w jakiś splót wąskich uliczek. Pokazało się wiele śmiecia na ulicy i bielizna rozwieszona na sznurach — to dzielnica włoska (słuchacze powitali wesołością to stwierdzenie faktu). Pędzimy przez ulicę ciemną, z licznymi sklepami oświetlonymi, z wszelkiego rodzaju konfekcją, zwłaszcza damską, — to dzielnica żydowska. I to ma być Ghetto! Szkoda, że *conférencier* nie zna polskich miasteczek (mógłby pokazać lepsze Ghetto!). Wjeżdżamy do dzielnicy chińskiej, tu naprawdę jest coś nowego, naprawdę Chińczycy, w naturalnej wielkości. Domy mają specyficzną architekturę, żółci

ludzie patrzą na nas niechętnie. Zaczynamy zwiedzanie od jakiegoś domu z wielką salą, ławkami, krzesłami, ma to być dawny teatr chiński, obecnie miejsce propagandy chrystjanizmu wśród Chińczyków, istniejące od 35 lat. Rozdawany druk objaśnia, że w ciągu tego czasu uzyskano 2.751 nawróceń (około 80 rocznie). Osobne towarzystwo udziela Chińczykom pomocy materialnej, moralnej, religijnej, zajmuje się dziećmi, zakłada dla nich ogródki (niemiecki wyraz *Kindergarten* uzyskał prawo obywatelstwa). Zajeżdżamy przed jakiś inny dom, na zwany domem Konfucjusza, — każą płacić pół dolara za wstęp do sali, w której mieści się jakiś roześmiany bożek w typie chińskiego „Bachusa“, jakieś dwa inne bożki, jakieś posąжки przedstawiające przodków (a więc chińskie Lary i Penaty). Na zakończenie propozycja, — by kupić jakąś pamiątkę. Wszystko to w stylu bazarowym, tchnie mistyfikacją na gruby kamień. Potem przewieziono nas przez ulicę Bowery, która miała dać nam dreszcze zetknięcia się z najniższym proletariatem (człowiek syty lubi takie dreszcze). Szkoda, że nie możemy pokazywać za dolara naszych dzielnic proletariackich, na tych ludzi mieszkających w ziemiankach. Możeby o tem pomyśleć na wypadek przyjazdu bogatych Amerykanów, poszukujących dreszczów; mieliby je w lepszym gatunku, niż na Bowerystreet.

Odwieziono nas z powrotem. Z obecnych nikt nie podnosił głosu protestu, czy niezadowolenia, nie wiem,

czy się nie orjentowano w łapichłopstwie, czy też wstydzono się wzajemnie przyznać do własnej naiwności, czy też była to owa *self — control*, o której się tutaj wiele mówi, czy może wyczerpanie nerwów.

XLII.

Naogół Amerykanie mają wiele ciekawości dla wszystkiego, co cudzoziemskie. Cudzoziemszczyzna nie wchodzi w życie przez język, bo do tego Amerykanin nie ma czasu, czy ochoty, lecz przez kuchnię, zwyczaje, stroje. Chińczycy zakładają wszędzie swoje restauracje a *chop - suey* (czap - suj) jest popularną w Ameryce potrawą (dużo jarzyn nieznanych mi), włoskie *spaghetti* podają w restauracjach wszystkich, albo jako osobną potrawę, albo zamiast ziemniaków. Kapelusze Borsalino robią konkurencję Stetsonom, nawet europejskie samochody są modne. Widziałem na wystawie podwiązki — z napisem: „moda paryska, a więc kupujcie“.

Jest w tem wszystkim wiele naiwnej ciekawości. Do Chińczyków ciągnie ta reklamowana tajemniczość, opowiadania o niesłychanej, wyrafinowanej rozpuście starej rasy. Chińczycy są popularni, modni, ich jadłodajnie, nawet dancingi mieszczą się w najlepszych punktach. Na rogach ulic rozlepiono plakaty przedstawiające Chińczyka z palcem na ustach. To zapowiedź przedstawienia kinowego: *The silent house, the new mysterious play*. Tajemnicze, wywołujące dreszcze...

Europa przedstawia inny urok, — Anglja i Francja, to kraje dobrego tonu i szyku. Cóż to może interesować amerykańskiego *byznesmena*? Jego samego wprost nie, albo bardzo mało, ale kobieta amerykańska, ta, którą już wyhodowano, którą hoduje się dalej, ta kobieta przykrótkiej spódniczki, konsumująca artykułów toaletowych rocznie za bająnskie sumy (człowiek poważny zapewniał mnie, że kwota przedstawiająca cenę zużywanych przez kobiety w U. S. A. kosmetyków wynosi rocznie półtora miljarda dolarów), ta kobieta chce być modną, ubraną ze smakiem, jeszcze bardziej niebezpieczną, niż dotąd. Jakaś niegrzeczna Amerykanka (pewnie z zawiści) napisała w *N. York Evening Journal* o swoich koleżankach, że obnażają ramiona przez atawizm, bo babki ich miały wprawdzie długie rękawy, ale za to chodziły boso. Takie panie, więcej niż inne, są ciekawe tego, co noszą w Paryżu. Historia się powtarza; za czasów Bonapartego, mówiono w Londynie, dokąd się schroniła arystokracja burbońska, że na dworze w Paryżu przewodzą — praczki. Ale też wtedy starano się co prędzej nabrać dobrych form, — wnuczki praczek amerykańskich śpieszą się także w tym samym kierunku. Kobiety oddziałują na mężczyzn, — zjawiają się już napisy „krawiec międzynarodowy“. Amerykanin przeciętny nie nosi laski, bo mu zawadza, — ale eleganci nie ruszają się bez niej, pełno lasek na wystawach męskiej elegancji.

XLIII.

Jest kwestja, która mnie męczy oddawna, sprawa przestępców o częściowej anormalności, sprawa $\frac{2}{3}$ jeżeli nie $\frac{3}{4}$ części ogółu przestępców. Mamy zamiar w Polsce tworzyć dla nich osobne zakłady zabezpieczające (nie wypuszczać ich na wolność, jak długo przez specyficzne leczenie nie poprawi się ich stanu psychofizycznego). Projekt ten przyjęła komisja kodyfikacyjna. Ale jak przyjmie go nasze społeczeństwo, tak strasznie konserwatywne, tak strasznie nie rozumiejące nowożytnej walki z przestępcstwem?

Ażeby nabrać argumentów na wypadek opozycji, jadę do Napanoch. Co to takiego? Napanoch jest to wioska, o charakterze letniska, w której mieści się zakład noszący charakterystyczną nazwę: *Institution for defective delinquents*. Zakład ten, jako samoistny, istnieje od lat siedmiu, dawniej stanowił osobny oddział zakładu reformacyjnego (Reformatory) w Elmírze, która odsyłała tam jednostki nie nadające się do normalnego prowadzenia, z czasem nabrało się ich tak wiele, że trzeba było stworzyć osobny zakład.

Na dworcu oczekuje mnie Dr. Thayer, lekarz i dyrektor zakładu, odwozi samochodem do jakiejś przemiłej restauracyjki. — Wrzesień — letnicy wyjechali — cisza. Obwozi mnie potem po miejscowości i pokazuje las, w którym ukrywa się hotel, t. zw. klu-

bowy, zjawisko charakterystyczne dla stosunków amerykańskich. Hotel klubowy, to jest hotel w zasadzie, jak każdy inny, ale pokój w nim dostać może tylko członek klubu, lub gość polecony przez członka klubu. Klub taki zabezpiecza gościa przed towarzystwem niepożądanem n. p. jakiegoś milionera, który wczoraj czyścił obuwie nadając mu połysk świetlany (*shoe-shine*), albo milionerki, która przedwczoraj myła talerze w *lunch-roomie* (*dishwasher*). U. S. A. musiały wytworzyć selekcję towarzyską, bo bez niej człowiek kulturalny mógłby się tu udusić. Hotel klubowy w Napanoch nosi skromną nazwę *Yama-farm* przyczem *Yama* ma być wyrazem japońskim oznaczającym samotność, czy coś podobnego. Bywają tu jako goście Tomasz Edison, Henryk Ford, szukając spokoju, wytchnienia.

Zajeżdżamy przed willę zajmowaną przez Dra Thayera i jego rodzinę; godzina już późna; cicho, słychać tylko świerszcze. W hału widzę dużą fotografię Zofji Potockiej (Greczynki), tak znaną u nas. Dr. Thayer wie doskonale, że fotografia przedstawia Polkę, korzysta ze sposobności, by zaznaczyć swe polskie sympatje, Sienkiewicz jest jego ulubionym autorem, — pokazuje mi *Potop* w tłumaczeniu angielskim; widać, że wiele osób musiało mieć tę książkę w rękach. Spędzamy długie chwile na gawędzie we trójkę (trzecim był asystent Zakładu). Jak to miło znaleźć ludzi, z którymi można mówić jak z ludźmi. Wreszcie zegnamy

się. Pokój mój na pierwszym piętrze, przemiły; na t. zw. toalecie (tutaj się to nazywa *vanity* — próżność), w ramki oprawione stoi powitanie gościa:

*...Dear guest, this is your room, while you are here, we've
...decked it out, to give you cheer. Here may you find repose
...and rest. Assured, that you're a welcome guest.*

„Drogi gościu! to jest twój pokój, jak długo tu jesteś. Ozdobiliśmy go, by było ci przyjemnie, tu znajdziesz spokój i wypoczynek, przyjmij zapewnienie, żeś jest pożądanym gościem“.

Naïwne to, zwykły druk, ale jak się jest, nie wiem już ile, tysięcy kilometrów od domu, to tak przyjemnie przeczytać, że się jest komuś miłym; chętnie się w to wierzy.

Nazajutrz zwiedzanie zakładu. Zewnętrznie oczywiście nie ma różnicy między takim zakładem, a zwykłym więzieniem. Wszędzie ta sama czystość, wszędzie doskonały budynek szpitalny, te same cele z drzwiami o żelaznej kracie (o ile nie ma gdzieś wspólnych sypialni), te same twarze dobrze odżywione. Różnica tkwi w części duchowej, tutaj już nie wystarczy „reformować“, tutaj trzeba chorą duszę „leczyć“, a jak się nie wyleczy, trzeba pacjenta trzymać w zamknięciu, bo ta chora dusza może popchnąć zdrowe ciało do — przestępstwa.

Tutaj dotykamy problemu dla Europy nowego — Europa zna dwie kategorie ludzi: „zbrodniarz“ i „warjat“. Jak nie jedno, to drugie; — obu trzyma się w zamknię-

ciu, każdego w innem. Jeżeli zdarzy się kategoria pośrednia, w praktyce bardzo liczna, to karze się przestępców tego typu łagodnie (ze względu na dziwniejszy stan psychiczny) i następnie puszcza się ich wolno. Do Napanoch natomiast przybywa taki osobnik, wprowadzie jako do zakładu dla odbycia kary, ale po jej odcierpieniu sędzia opierając się na sprawozdaniu dyrektora i opinii dwóch lekarzy (z poza zakładu) może przepisać dalsze zatrzymanie, aż do — wyleczenia. Widziałem przestępcę, który odbył dawno karę dwu miesięcy zamknięcia, a który niewiadomo, jak długo jeszcze tu zabawia. Innemi słowy w zakładzie tym odbywają karę ci, którzy są podejrzani o częściową anormalność, odbywają ją tutaj właśnie w tym celu, by można było stwierdzić ich mentalną wartość i odpowiednie postawić wniosek co do zabezpieczenia społeczeństwa przed nimi.

W czasie zwiedzania zakładu Dr. Thayer przywołuje jednego z więźniów i powiada do mnie — „oto jeden, który mówi po polsku“. Zaczynam mówić, więzień odpowiada po polsku wcale nieźle, nazywa się John Carlo (jako taki występuje w urzędowych zapiskach), przyjechał z Europy jako Sowiński, ale jest Rosjaninem, nazywa się... mniejsza o to, jak, pochodzi z guberni Symbirskiej (obecnie Uljanskaja), służył przy wojsku w Warszawie, nauczył się po polsku, jak twierdzi we więzieniu Sing - Sing (kłamie), wyjechał do U. S. A. przed 18 laty, Ma łzy w oczach, gdy mówi

o swojej żonie i synku kilkomiesięcznym, którego zostawił w Rosji (obecnie ma lat 18). Pokazują mi akta — ofiarami dwukrotnego rabunku są Polacy. Zaznajomił się z nimi pewnie dzięki znajomości języka polskiego, którego nauczył się oczywiście w Warszawie, gdzie odbywał służbę wojskową a nie w Sing - Sing. Odbiera często listy od rodziny (żona przysłała mu swe dwa włosy — po 18 latach niewidzenia), Jako więzień jest posłuszny, pojętny, doskonały mechanik. Jakim sposobem znajduje się tutaj w zakładzie dla częściowo anormalnych? Jestto wynik pewnego rodzaju automatyczności procedury. Oto umysłowość każdego pacjenta bada się zapomocą zamerykanizowanej metody Bineta. Stawia się badanemu szereg pytań, a według tego jak na nie odpowiada, przyznaje mu się odpowiedni wiek — umysłowości, na przykład umysłowość 10-letniego dziecka. Pytania stawia się po angielsku, cudzoziemiec nie władający dostatecznie językiem, daje często odpowiedzi błędne, dostaje się wtedy do niższej kategorii, a skutkiem tego dostać się może łatwo między częściowo anormalnych. Czasem jest to niebezpieczne, bo mogą tu zatrzymać długo tytułem środka zabezpieczającego, czasem można na tem wygrać. Nasz John Carlo, rozbójnik skazany na lat dwadzieścia do dwudziestu pięciu (w stanie New York, jak zaznaczyłem, wydaje się także wyroki częściowo nieoznaczone), będzie przedstawiony gubernatorowi New York (obecnie Al. Smithowi, kan-

dydatowi demokratów na stanowisko prezydenta U. S. A.) do deportacji. Osiągnie to, czego chciał: pojedzie do domu.

Dział badań psychologiczno-psychjatrycznych w Napanoch stoi wysoko, pracuje w nim obok dyrektora Dra Thayera, dwu lekarzy, specjalistów.

Więźniów zajmuje się musztrą (przyzwyczajanie do dyscypliny), jak w Elmira, ponadto pracą w miarę możliwości; część pracuje na farmie, którą zwiedzamy. Pokazują mi nową oborę dla krów z betonową posadzką, każda krowa ma metalowy krążek, z którego za pociśnięciem pyskiem wytryskuje woda. Głowy nie przywiązuje się łańcuchem, lecz wkłada w ruchomą ramę drewnianą.

XLIV.

Powróciwszy z Napanoch odbywam konferencję z p. drem Cass, prezydentem amerykańskiego Towarzystwa więzienniczego. Opowiada mi o rozmaitych osobach, które przyjeżdżają do U. S. A. celem zapoznania się z tutejszemi eksperymentami, wymienia mi Haftera (z Zurychu), Freudenthala (z Frankfurtu nad Menem), Foltina (z Insbrucku) i jakiegoś Belgijczyka. Skarży się niepomrotnie na Liepmanna z Hamburga. Jeszcze jeden Niemiec, ale ten im dogodził gruntownie. Liepmann przyjechał bardzo oficjalnie na czele całej komisji hamburskiej celem badania tutejszego więziennictwa dla celów zupełnie i bezpośrednio praktycznych; przyjmo-

wano go też oficjalnie. Po kilkumiesięcznej podróży wzdłuż i wszerz wydał broszurę, w której niemiłosiernie przejechał się po U. S. A., — skrytykował wszystko. Widzę, że bytność Liepmanna usposobiła p. Cassa równie podejrzliwie wobec mnie, jak bytność jakiegoś podróżującego Polaka, który chciał ziemię opasać sztandarem Polski nastroiła wobec mnie podejrzliwie parę fotografów z Detroit.

Mimo wszystko p. Cass udziela mi chętnie informacji i słucha moich uwag; jestem oczywiście oględny w odpowiedziach, na ocenę sprawiedliwą mam czas. P. Cass czeka na pochwały; typowy Amerykanin. Ci ludzie przepadają za pochwałami, nie cierpią krytyki. Krytyka ich przygnębia, pochwały za to nastrajają na ton niezdolnie pewny siebie. Przypomina mi to naszego studenta ze szkoły średniej, który życie sobie odbiera z powodu złej noty, ale cały świat traktuje z góry, jeżeli ma doskonałe świadectwo.

Rozmowa z p. Cassem obfituje w szczegóły ciekawe. Nie możemy się porozumieć co do roli sędziego w rozwiązywaniu wielkiego problemu walki z przestępczością; pokazuję mu przekład polskiego projektu kodeksu karnego, który rolę decydującą przy środkach zabezpieczających zapewnia sędziemu. P. Cass pyta: „Dlaczego sędziemu? przecież sędziowie są zawodni, wszak ulegają wpływom politycznym (!)“. P. Cass pokazuje mi swą mowę przeznaczoną do wygłoszenia za

miesiąc, a w niej cytat jednego z amerykańskich profesorów (Raymond Moley z Columbia - University) dotyczący amerykańskiego sądownictwa.

Cytat miażdżący. Odpowiadam mu poprostu — „wasze sądownictwo nie stoi na wysokości zadania, bo wychodzi z wyborów powszechnych, a wyborami kierują stronnictwa“. P. Cass mówi nato — „jeżeli będzie mianował gubernator, to także będzie obsadzał posady sędziowskie swoimi ludźmi“. Przedstawiam mu postulat sędziowskiej nieusuwalności i niezawisłości, postulat skrępowania osoby nominującej pewnemi kautelami (wybór z terna i t. p.). Kiwa głową, przyznaje rację — ale w U. S. A. tego nie będzie. Sędziowie będą obieralni, będą zawisli i usuwalni... Wobec tego, że w tym kierunku nic się zmienić nie da, zjawia się nowy prąd, by ścieśniać zakres działania sędziów. P. Cass daje mi wycinek z gazety przedstawiający propozycję gubernatora stanu Nowy York p. Smitha, aby sędziowie orzekali tylko o winie, a kwestja, czy karę orzec, jaką karę wymierzyć, do jakiego zakładu odesłać, należeć ma do ekspertów dobrze płatnych (10.000 dolarów), a więc — niezawisłych... Społeczeństwo, które ma tysiączne powikłania prawne nie ma zaufania do swoich sędziów, co za obraz!

A jednak...

XLV.

Do Bostonu przyjechałem statkiem (*Eastern Steamship Line*) rano. Stwierdziłem, że najlepiej podróżuje się

w U. S. A. statkami i to nocą. Mając odwiedzić dopiero po dziewiątej p. Bates, *commissioner of correction* (rodzaj wiceministra sprawiedliwości) stanu Massachusetts, przechadzałem się po parku (*public garden*) położonym w środku miasta. Piękny, chłodny poranek usposobił mnie optymistycznie, napotkanie pomnika z lakonicznym podpisem — „Kościuszką“, nastroiło mnie korzystnie dla miasta, a kiedy zobaczyłem nietylko gołębie, nie chcące się ustąpić przechodniom, ale trzy wiewiórki żywione przygodnie przez amatorów, skaczące po ławkach, wyczekujące po chodnikach na swych ludzkich przyjaciół, uczułem się przeniesiony w jakąś atmosferę — dobrych ludzi. Nie zawiodłem się wcale na intuicyjnym wyczuciu.

Po dziewiątej wszedłem do State - House, stojącego na wzgórzu, ogromnego domu, z poważną architekturą i złoconą kopułą renesansową, gdzie odbyłem szereg konferencyj. P. Bates, chmurny i zamknięty w sobie jest najuczynniejszym z ludzi. Telefonicznie zapowiedział moją wizytę w Concord, wprowadził mnie do klubu, do którego należy (*City - club*), jako gościa, — dzięki czemu w klubowym hotelu zamieszkałem, swojemu urzędnikowi kazał mnie odwieźć na dworzec, z którego ruszyłem do Concord. Nazajutrz miał po mnie przyjechać Bates o 12-tej. Czekam. Chłopiec hotelowy zgłasza się do mnie z wiadomością, że dwie *ladies* chcą ze mną mówić w p r z e d s i o n k u do *lobby*. Klub ma ogromne salony towarzyskie, objęte ogólną nazwą *lobby*, do których nie

mają wstępu kobiety. *Ladies* ? Wychodzę, — młodzieniec podprowadza mnie do dwu bardzo młodych osób, jedna z nich oświadcza, że Mr. Bates przysłał ją, by mnie odwiozła do jego domu. Okazuje się, że jest to córka ze swoją przyjaciółką. Panienki prowadzą mnie do samochodu, jedziemy. Po drodze rozmowa ogromnie serjo — panienki chodzą jeszcze do *high school* (szkoła średnia), z perspektywą na *college* (uniwersytet). Jedziemy dość długo (9 mil angielskich) do miejscowości Newton, złożonej z samych will wśród lasu. Przemiała atmosfera rodziny bardzo zgranej, — jest jeszcze żona i syn. Jest także siwowłosa dama, która w latach 1918 — 1920 bawiła w Konstantynopolu z jakąś humanitarną misją amerykańską. Dzieci typowo amerykańskie, niesłychanie swobodne, ale nie rozhukane. Zaraz po śniadaniu siadamy do samochodu, tym razem prowadzi Mr. Bates (resztę towarzystwa żegnamy), zaczyna się kilkugodzinna jazda, do Norfolk, gdzie buduje się kolonję więzienną i do Framingham (Reformatory dla kobiet).

Nietylko Mr. Bates jest człowiekiem uczynnym (z grobową twarzą), tacy są oni wszyscy. — Kiedy mnie zapowiedziano do State-farm koło Bridgewater, Dr. Hanson, dyrektor-lekarz zaproponował przyjazd wcześniejszym pociągiem, dlatego tylko, bym mógł dłużej pozostać. Dla niego oznaczało to jazdę kilkunastu mil angielskich do odległej stacji na to, by mnie przez tych samych kilkanaście mil wieść z powrotem do zakładu.

Pociąg późniejszy staje tuż obok zakładu. Chciał jednak, bym jak najwięcej czasu mógł poświęcić zwiedzaniu. Znowu *lunch* w kółku rodzinnem, znowu ta sama atmosfera rodzinna. Rodzina w Ameryce rozbija się przeważnie tylko w środowiskach przemysłowych; zjawisko powszechne, praca pozadomowa wszystkich członków rodziny, wczesne zarobkowanie dzieci, i ekonomiczna ich niezawisłość gasi ognisko domowe...

XLVI.

Wyjeżdżając z Europy czytałem książkę znanego angielskiego pisarza: Arnold Bennett — *Those United States*. Literatura przedmiotu. Według Bennetta mieszkańcy Bostonu mają ambicję, że ich miasto ma wybitny typ angielski. Szukałem tej angielszczyzny, nie znalazłem jej w architekturze. — Gdyby mnie ktoś spytał, do jakiego miasta jest Boston podobny, — odpowiedziałbym: do Brukseli. Są partje przypominające żywcem ową spokojną, dostojną dzielnicę koło pałacu sprawiedliwości. Ambicje Bostończyków wspomniane przez Bennetta utkwily mi w pamięci. Szukam dla nich uzasadnienia innego. Może stosunek procentowy Anglosasów do reszty ludności? Mr. Bates oświadcza w tej mierze: w Bostonie żyje 70% irlandzkich katolików, a reszta to Włosi, Litwini, polscy i rosyjscy Żydzi.

Nie wspomniał o Francuzach z Kanady, Chińczykach i — Polakach. Gdzież są Anglosasi? Mr. Bates

wyjaśnia: ludność dawniejsza ustępuje z miasta i zaludnia miejscowości podmiejskie, jak Newton, tworząc tam swoiste osady willowe. Część zachodnia miasta zlewa się z otaczającymi wioskami, czy miasteczkami w jedno morze smacznych rezydencji, — domy jednak nie szablone, jak gdzieindziej, przeciwnie widać tutaj siłenie się na oryginalność, indywidualność — i starożytność. Gdyby Talowski żył jeszcze, byłbym mu poradził, by się osiedlił w Bostonie. Tutaj najwyższy wykwint przejawia się w fasadzie imitującej dom conajmniej z XVIII. wieku. Wszystkie domy Talowskiego z ulicy Retoryka w Krakowie wywołałyby tu zachwyt. W Bostonie kto nie może sobie pozwolić na dom z cegły, musi się ograniczyć do drzewa, ale nawet ten drewniany dom z przed lat trzech musi mieć wygląd zwiędłego, zniszczonego przez deszcz, śnieg i wiatr, — niech wygląda na dwadzieścia lat. Mieszkańcy meblują się, o ile możliwości, staremi meblami. Ogromny pokup na antyki.

Wysuwanie się Anglosasów z miasta jest objawem analogicznym do lokalnej emigracji w Nowym Yorku. Tam usuwają się oni przed Żydami, których wypierają znów — Murzyni. Tam Anglosasi opuścili najpiękniejszą (mojem zdaniem) część nad rzeką Hudsonem, — aby się przenieść w okolicę dworca centralnego i piątą Avenue.

W każdym razie nie wiem, dlaczego Boston ma być miastem najbardziej angielskiem. Może Bennett ma

rację z punktu widzenia R. P. 1912, w którym zwiedzał Stany. Sięgam do Baedekera (ostatniego) z roku 1910, czytam, że już statystyka z roku 1905 wykazywała uderzająco wielki procent katolickich Irlandczyków.

Przypomina mi to uwagę czyjaś, że Chicago jest „przedpokojem Warszawy“. Możnaby myśleć, że co drugi człowiek mówi tam po polsku. Szukałem oznak polskości i znalazłem w końcu na ulicy Lassalle napis — „dla niewiast“, (obok identycznej treści w czterech innych językach), za to nie mogłem odnaleźć polskiego konsulatu pod podanym mi numerem. Zapewne są Polacy w Chicago, jest ich wiele, ale o wyciskaniu piętna na życiu tego miasta nie może być mowy.

Bodaj to literatura piękna! takiemu to wszystko uchodzi, bo on nie ma obowiązku podawania, jak życie wygląda, tylko jak on życie widzi. Przyroda widziana przez oczy — talentu...

Boston jest miastem najwięcej europejskiem w tem znaczeniu, że rozwinął się powoli. Mimo 800.000 mieszkańców nie ma tam drapaczy nieba w sąsiedztwie skromnych domków drewnianych, jak w nowych miastach. Wszystko tu murowane, ale nie za wysokie; szerokie place i ulice, dużo domów niewątpliwie starych. Część przemysłowo-handlowa, — w osobnej dzielnicy — nie rzuca się w oczy.

Mniejsza o to, czy Boston jest miastem angielskiem; ważniejszem jest, że jest miastem stołecznem stanu

Massachusetts, który dla życia etycznego Stanów jest tem, czem jest Washington dla życia państwowego. Religijność zdaje się być tu równie wysoka, jak w Pensylwanji. Jak w Filadelfji słuhałem późnym wieczorem kazania na ulicy, tak w Bostonie słuhałem długiego wykładu na temat, co to jest katolicyzm, wygłoszonego z samochodu (nad kierownicą dach limuzyny podniesiony do kąta 45 stopni, na wewnętrznej części ma krucyfiks). Przemawiała kobieta lat 60 — 70. Co za głos, co za łatwość mówienia, co za zręczność.

Sprawa ta ma pewien posmak polityczny. Kandydat demokratów, Al. Smith, gubernator Nowego Yorku jest katolikiem, równocześnie zwolennikiem ograniczenia walki antyalkoholicznej (prohibicji). Mówczyni przeprowadzając apologję katolicyzmu, równocześnie zwracała się do obecnych, by w imię godności narodu amerykańskiego nie odstępowali od prohibicji. Kilkaset osób słuchoło przez godzinę, po ukończeniu przemowy gorące oklaski; zaczęła się zbiórka pieniędzy — nikt się nie uchylał. Następny mowca proponował dyskusję i stawianie pytań. Ktoś się zapytał, jaką religję ma Haeckel? odpowiedź: „żadną“; następuje anegdota: jakiś dżentelmen je śniadanie z Haecklem i pyta się go, czy pochodzenie od małpy nie psuje mu humoru, Haeckel odpowiada — „cóż mi na tem zależy, czy mój prapradziadek był człowiekiem, czy małpą“; na to zauważa dżentelmen: „zapewne panu na tem nie zależy, ale

pańskiemu prapradziadkowi mogłoby na tem zależeć“. — Burzliwa wesołość. Godzina dziesiąta wieczorem.*).

XLVII.

Boston ma pełno kościołów najrozmaitszych wyznań, — wszystkie pełne w czasie nabożeństwa porannego, czy wieczornego. Twarze często fanatyczne. Religijność w Massachusetts przechodzi w dewocję. Widziałem człowieka młodego, który drogą wiejską (20 mil od Bostonu) szedł, niosąc ogromną tablicę z napisem treści religijnej — wyraźnie własnego pomysłu.

W związku z religijnością stoją tutaj surowe przepisy etyczne. Mieszkańcy stanu Massachusetts nie żartują, ich etyka przerodziła się w prawo karne. To co u nas jest niemoralne, u nich jest — przestępstwem.

Stan Massachusetts jest na polu wzajemnego stosunku płci nieubłagalnym wyznawcą bezwzględnej czystości, co odbija się w przepisach karnych. Każde erotyczne zetknięcie się płci (poza małżeństwem) jest przestępstwem. Niedosć, że „mieszkanie na wiarę“ (jak się u nas mówi) karane jest więzieniem do lat trzech

*) Po powrocie do Polski rozmawiałem o moich przeżyciach w U. S. A. z O. Jackiem Woronieckim. Okazało się, że on także spotkał tę samą panią w Bostonie, organizującą — Catholic True Guild. Owa dama nazywa się Martha Moore Avery — a jej towarzysz — David Goldstein... Nazwisko to przypomina mi anegdotę o Taaffem, b. premierze austriackim, który otrzymawszy wiadomość o wyborze ks. Kohn przez kapitułę ołomuniecką na arcybiskupa zapytał: Ist er wenigstens getauft? Bostońska para wydała swe mowy w książce p. t. Campaigning for Christ,

(*a man or woman, not being married to each other, lewdly and lasciviously associate and cohabit together... sect. 16. Chapt. 272*) ale nawet jednorazowa wymiana uczuć, najzupełniej prywatna, ulega jako *fornication* karze aresztu do 3 miesięcy (sect. 18. Ch. 272).

Na tem nie koniec. Każdą kobietę, skazaną na areszt według jakiejkolwiek ustawy (sect. 16. ch. 279), może sędzia przekazać do osobnego zakładu (Reformatory), a wtedy pozostać ma tam aż do upływu dwuletniego okresu, o ile jej nie zwolnią wcześniej, ale warunkowo.

Niedość na tem. W Reformatory może się okazać, że kobieta ta ma przytępioną inteligencję — dajmy na to próba dokonana zapomocą specjalnej metody, (Binet-Simon) wykazuje umysłowość 11-letniego dziecka. Wówczas na wniosek zarządu więzienia można ją przesłać do zakładu dla przestępców o umysłowych brakach (*for defective delinquents*).

Kobieta napotkana w dwuznacznej, czy nie-dwuznacznej, sytuacji może nagle utracić wolność na długie lata.

Widziałem kartę ukarań jakiejs kobiety, z którą boryka się stan Massachusetts od 25 lat — przestępstwa jej opiewają: 1) *idle and disorderly* 2) *drunkenness* 3) *common nightwalker* 4) *fornication*. Kobieta ta znaczną część czasu w tym okresie 25-letnim przesiedziała w Reformatory.

Wynikiem takich przepisów jest oczywiście niezmierna ostrożność kobiet w nawiązywaniu miłosnych stosunków i jeden więcej argument do łapania męża. Dzieje się to zresztą i w innych Stanach, ale nie w tym stopniu, jak tutaj. Niema jednak światła bez cieni. W Concord — Junction rozmawiałem długo z lekarzem zakładowym Dr. G. Fernald, który sprowadza przestępczość w ogóle do wspólnej podstawy życia płciowego. Twierdził, że źródła osłabienia woli (*self-control*) szukać należy w pewnym znanem zboczeniu, które przytrafia się także i w Polsce u chłopców i dziewcząt we wieku szkolnym. Dr. Fernald sprawie tej poświęca wiele uwagi, bada mieszkańców zakładu w Concord (Reformatory) i stwierdza, że wyjątkowem jest zjawisko, by młodzieńcy tam się znajdujący nie cierpieli oddawna na to zboczenie. Dlaczego właśnie w Massachusetts prowadzi się tego rodzaju badanie? Na to samo zjawisko ciemnej strony cnotliwości przymusowej zwracano mi uwagę gdzieś indziej.

Niemniej stany prowadzące w U. S. A. propagandę etyczną na polu życia płciowego, jak stan Massachusetts, Nowy York, Pensylwanja i Illinois (Chicago) nie dają za wygraną i tępią to, co się nazywa niemoralnością kobiet. W Bostonie, Chicago i Filadelfji istnieją osobne oddziały w sądach poświęcone orzekaniu w sprawach przestępstw płciowych, spełnianych przez kobiety, — przyczem główną rolę odgrywa swoje

zarobkowanie. Nowy York poszedł dalej, — stworzył osobny sąd (*Court for women*), przeznaczony do orzekania w tych sprawach.

Dotykamy problemu niezmiernie delikatnego. — Wytępienie u kobiet płciowej niemoralności musi iść w parze z zawieraniem przez mężczyzn wczesnych małżeństw. Nato potrzeba pewnej sytuacji materialnej, której chłopiec dwudziestoletni zwykle nie posiada, potrzeba także rozwagi i doświadczenia pewnego, by nie zawierać małżeństwa niedobranego. U. S. A. odpowiada na to spokojnie:

„róbcie sobie, co się wam podoba, ja miłość pozamałżeńską a zwłaszcza swoiste zarobkowanie kobiet tępić będę bez litości. Męszczcie się, ale bądźcie moralni“.

Rozmawiałem o tym problemie z młodym człowiekiem, przedstawionym mi przez p. Bates. Nazywa się Charles A. Gates, odgrywa pewną rolę w State House, jako specjalista od zapobiegania przestępczości. Wypracował oryginalny kwestjonariusz przeznaczony dla młodzieży od 10 - 21 lat, bądźto znajdującej się w szkołach, bądź pracującej zawodowo, bądź zamkniętej w Reformatory. Kwestjonariusz obraca się około życia duchowego danej jednostki. Mr. Gates ma 14.000 gotowych arkuszy z odpowiedziami, materiał ten opracowuje. Między innemi ma zachodzić następująca różnica między nieletnim zamkniętym w Reformatory a nieletnim na wolności (normalnym etycznie): pierwszy nic nie czyta,

a zato przesiaduje w kinie, drugi odwrotnie, czyta, ale nie chodzi do kina.

Rzekłem do p. Gates: „wasze dążenie do czystości płciowej, do osiągnięcia ściśle religijnego stanowiska w sprawie erotyki, to są rzeczy oczywiście piękne, czy jednak grzywny i pozbawianie wolności, to odpowiedni środek do celu? Sami zwracacie uwagę na to, że młodzież obojga płci uczęszcza do kina na przedstawienia o niesłychanie silnym podkładzie erotycznym, a czy pamiętacie także o dancinach, gdzie uprawia się ów taniec powojenny, niezmiernie zmysłowy, czy pamiętacie o tem, że kobiety obnażają, co tylko mogą? że młodzieńcy nie mają warunków materialnych do małżeństwa?“ Odpowiedział mi na to: „o my potrafimy „zimmunizować“ niekorzystny wpływ dancingu i kina“. W jaki sposób? nie wyjaśnił. Kiedy go zapytałem, czy Massachusetts ma także sposób na „zimmunizowanie“ niekorzystnego wpływu głodu? — zamilkł.

XLVIII.

Bardzo amerykański obrazek zastałem w kolonii karnej w Norfolk. Kolonja ta buduje się dopiero. Na razie widać ogromne mury z żelazobetonu — to ogrodenie przyszłego zakładu. Mury te wznoszą więźniowie z rozmaitych zakładów, którzy mieszkają w kilku willach. Zajeżdżamy na dziedziniec między willami i zastajemy kilkanaście samochodów, to rodziny więź-

niów, korzystając z Niedzieli, zrobiły sobie wycieczkę do ojca, męża, czy brata. Więźniowie chodzą swobodnie, leżą na trawie, siedzą na werandzie. Otrzymuję wyjaśnienie: są to najlepsi więźniowie, stale zamieszkali w Massachusetts, mający tu rodzinę, tacy nie uciekną, bo wiedzą, że oznaczałoby to porzucenie rodziny. Ucieczka więźnia jest karana w Massachusetts jako osobna zbrodnia. Za wiele ryzyka i po co? skoro niedługo i tak otrzymają warunkowe zwolnienie z reszty kary (*on parole*).

XLIX.

W zakładzie dla obłąkanych przestępców Statefarm przy Bridgewater mieści się około tysiąc mężczyzn.

Jeżeli uwzględnimy, że Massachusetts ma trzy miliony mieszkańców, to wynikłoby dla Polski (27 milionów) — dziewięć tysięcy obłąkanych przestępców. Gdzież oni są? czy nasi przestępcy cieszą się wyjątkowym zdrowiem psychicznym? Przypuszczać muszę, że część znajduje się w ogólnym zakładzie dla obłąkanych, reszta t. zw. spokojnych — jest na wolności i czeka na sposobność, by popełnić nowe przestępstwo.

Przestępców o częściowej anormalności (*defective delinquents*) jest w Massachusetts razem 335 — mężczyzn 239, kobiet 86. Stosunek 1:3 jest dla kobiet bardzo niekorzystny, w Europie przyjmuje się przeciętnie

stosunek 1 : 5. Pamiętać jednak należy, że wśród tych kobiet znaczny odsetek stanowią kapłanki Wenery, którym w Europie powodzi się lepiej.

Na zakończenie zwiedzania Statefarm urządził dyrektor pokaz musztry wojskowej wychowanków z oddziału częściowo anormalnych. Około dwustu młodzieńców weszło na dziedziniec w specjalnych mundurach, podzieleni na oddziały, z własną orkiestrą (złożoną z ludzi, którzy przedtem nigdy muzyki nie uprawiali). Chorążym noszącym z wielkim pietyzmem sztandar U. S. A. był niezwykle wysoki Murzyn, zwany *coloured girl*. Pokaz wypadł wspaniale, przypuszczam, że Wilhelm II-gi, który takie rzeczy lubiał i znał się na tem lepiej odemnie, byłby zadowolniony. Chciałem powiedzieć dyrektorowi, że po niemiecku taki wynik nazywa się *Triumph der Dressur*, — ale on nie rozumie po niemiecku...

L.

Boston jest nietylko miastem religijnem, moralnem, ale także uczącym się. W bibliotece publicznej (budynek okazały — dekoracyjne malowidła Puvis de Chavannes — zastałem w godzinach wieczornych wielki ruch, przeważnie ludzi starszych. W bibliotece prawniczej (*Social Library*) przy Sądzie wyższym, w godzinach przedpołudniowych osób kilkanaście. Księgozbiór poważny, przeważają oczywiście książki amerykańskie; europejskie są w języku angielskim lub w angielskiem tłumaczeniu.

Bardzo uprzejmy młody człowiek, który mi wskazał dział mnie zajmujący, podszedł po pewnym czasie z zapytaniem, czy znalazłem, czego potrzebuję. Przeglądałem wówczas angielskie tłumaczenie książki hiszpańskiej *Bernaldo de Quiros Modern theories of Criminality* — pokazałem mu podane przez autora streszczenie moich poglądów i częste cytaty z moich rozpraw i książek.

Uprzejmość przemieniła się w uniżoność.

Mówiono mi w Polsce, bym się starał o propagandę polskość, próbowałem więc olśnić biednego clerka — „widzisz, Polaków cytują za granicą“ — może będzie o tem opowiadał. Za wielki sukces nie ręczę.

Próbowałem w ten sposób naprawić wszystkie moje zaniedbania. Wiem, że w imię propagandy, czy reklamy (nie wiem, jak się to nazywa) powinienem był składać wizyty po redakcjach, mieć ze sobą kolekcję fotografii i prowokować interviewy. Cóż kiedy ja tego nie potrafię. Radzono mi zajeżdżać, choćby na jeden dzień, do luksusowego hotelu, a reporter sam przyjdzie, což kiedy nie [znoszę] zgiełku panującego wokoło t. zw. pałacowych hoteli amerykańskich. Raz jedyny w Detroit zdarzyło się, że wracając późnym wieczorem z Chicago autobusem zajechałem do hotelu Stattlera tuż obok stacji samochodów. Odpokutowałem to nocą straszną, ale rzeczywiście był skutek. Nazajutrz rano telefonował portjer, że jest jakiś pan w lobby, który chce ze mną mówić. Był to reporter z Detroit

News, — który mnie męczył przez godzinę, ale interview był. Artykuł nosił tytuł „*Polish leader studies codes*”. (poczwieć sądzi, że jestem leaderem jakiejś partji, dlatego, że jestem senatorem). Uciekłem od Stattlera zaraz potem, reporter z konkurencyjnego dziennika Free Press szukał mnie przez dwa dni, pisał do znajomego Polaka w sprawie mego adresu, ale nie mogliśmy się spotkać...

Jaka szkoda, że nie było tu którego z moich warszawskich przyjaciół. Jakby to oni doskonale zreferowali...

LI.

Kiedy byłem w Washingtonie, mówiono mi, że korpus dyplomatyczny spędza letnie miesiące na wywczasach w Manchester w stanie Massachusetts. Będąc w Bostonie, postanowiłem zapoznać się z miejscem tak zaszczytnie wyróżnionem. Niema wątpliwości, że jest to miejscowość wymarzona dla człowieka, który chce wypocząć, a ma odpowiednie środki, by urządzić to sobie wygodnie. Manchester jest zupełnem przeciwieństwem Atlantic - City, nie jest hałaśliwym miastem na wybrzeżu, a jest wioską nad oceanem. Wyobrażam sobie, że geneza przemiany tej miejscowości na modne miejsce kąpielowe, była podobna, jak ewolucja Zakopanego, które odkrył Chałubiński i spowodował zrazu zjazd ludzi tylko wyborowych do trudno wówczas dostępnej wioski w górach. Manchester ma plażę piaszczystą

wśród skał, kombinacja Viareggio czy Lido z Nervi czy Abbazią.

Zaraz za strefą piasku, na którym w dyskretnem oddaleniu stoi jeden szereg drewnianych domków (do przebierania się), ciągnie się las przerywany głazami, polanami...

W ten las wbudowano kilkaset rezydencji, dworków czy will, przeważnie obszernych. Niema tam nic jaskrawości, przesady, jest swobodna prostota z licznymi tylko zastrzeżeniami — „no trespassing” i „private property”. Posiadłości te wykrojono z wielkopańskiego rozmachu; każda rezydencja ma obszerny park naokoło, dom cofnięty silnie od drogi. Niektóre (skromniejsze) mają napis: „do wynajęcia”. Miejscowość cała jest pokrajana wzdłuż i wszerz murem czy innem ogrodzeniem. Na plaży zastałem kilkadziesiąt osób kąpiących się, rozmawiających, leżących w piasku, nad wieczorem całe to towarzystwo zabawiało się rozpalaniem ognia potrzebnego widocznie do zrobienia herbaty — zabawiano się w „pustkowie”.

Wnosząc z czekających samochodów nie był to korpus dyplomatyczny, ale ludzie miejscowi, może z sąsiednich wiosek.

Wchodząc na plażę odczytałem z ostrożności ogłoszenie zapowiadające, czego mi nie wolno. Poza ogólnymi zakazami znalazł się swoisty:

No person or persons shall preach or pray loud or make an oration or harangue, on any political or other canvass or move in a military or civic parade or procession..."

(Nikommu nie wolno wypowiadać kazań lub głośno się modlić, wygłaszać przemówień na temat polityczny lub inny, urządzać wojskowych lub cywilnych parad lub pochodów).

Charakterystyczne dla Massachusetts — tutaj ludzie lubią kazać, modlić się, nawracać na wiarę religijną lub polityczną — (jest w tem wiele anglosaskiego), trzeba ich wstrzymywać od nadmiaru energii i zapału — zagrożeniem grzywną.

Plaża zamknięta, jak w ramy, skałami, w pewnem oddaleniu od brzegu znowu skały porozrzucane wśród fal, przypominają się okolice wybrzeża między Neapolem a Amalfi. Cicho, spokojnie, malowniczo.

Postanowiłem zostać tu jaknajdłużej, o zmroku zbliżyłem się do dworca kolejowego w przekonaniu, że głód zaspokoję dopiero w Bostonie. Nadspodziewanie wśród drzew ukazała się jakby japońska latarnia z papieru z napisem: „*Tea, Lunch, Dinner*“ i godło - czajnik (rzeczywisty, dużych rozmiarów), zawieszony na kawałku drewna, tak jak wywieszają koło Wiednia jakieś wieniec na oznaczenie miejsca, gdzie sprzedaje się młode wino (Heuriger).

Wszystko razem z małym, ale doskonale utrzymanym ogródkiem, należy do małego drewnianego domku.

Wchodzę po schodkach, wita mnie jakaś dama w średnim wieku [o typie raczej francuskim, jakieś dwie inne, siedzące, uśmiechają się uprzejmie. Menu pisane obejmuje albo cały obiad, albo pojedyncze potrawy. Siadam na werandzie, gdzie lampion i urządzenie potęgują wrażenie czegoś japońskiego. Gejsza (przepraszam — *landlady*) krząta się ze zwinnością wiewiórki, przynosi doskonałą *chicken-salad* (mięso z kurcząt z sosem majonezowym i sałatą główkową), równie dobrą herbatę, chleb, masło. Damy w sąsiednim pokoju prowadzą rozmowę półgłosem, za oknami grają świerszcze. Ach te świerszcze, Nikt nie ma pojęcia, co to za cudna muzyka, gdy się jej słucha w U. S. A. „przynosząc z miasta uszy pełne huku, stuku“, radja, gramofonów, jazzbandów. Nadszedł czas odjazdu. Chwila przykra zawsze, gdy trzeba porzucić miejsce przyjemne. Utwierdziłem się w przekonaniu, że w U. S. A. są ludzie, którzy, tak jak ja, tęsknią za ucieczką z miasta, że jest ich więcej w tych Stanach, które mają ludność dawno osiadłą. Ludność ta ma kulturę, czas i środki na wyszukanie pięknych stron życia. To nie są już „kopacze złota“ z Detroit.

LII.

Gdy wróciłem do Bostonu była dziewiąta według czasu kolejowego (*Eastern Standard Time*) a dziesiąta według czasu letniego (*Daylight Saving Time*). Czas letni rozstrzyga o godzinach pracy. Dla pracowników był już

na spoczynek. Gdy skręcałem z jakiegoś placu na ulicę, przy której mieści się *City-club*, w którym mieszkałem, natrafiłem na uliczne zebranie. Przemawiał człowiek we wieku 30 — 40 lat, w okularach, bez kapelusza, skórzana teka z aktami leżała obok, na jezdni. Domyślałem się: oczywiście agitacja przedwyborcza. Zbliżyłem się i słyszę: „nie wystarczy wierzyć w Boga, by być zbawionym, bo można także wierzyć w diabła, a to przecież zbawienia dać nie może. Trzeba żałować za grzechy; żałować, to jednak nie znaczy wzbudzać w sobie nastrój: przykro mi (*I'm sorry*), ale trzeba dać wyraz zewnętrzny nastrojowi temu przez dobre uczynki“...

LIII.

Kiedy przyszedłem do p. Bates, by się z nim pożegnać, zaproponował mi wspólne śniadanie w klubie. Poznałem wtedy cały szereg miejscowych ludzi od — prawa karnego. Rozmowa jednak zesłała na tory mniej zawodowe. — Interes budziły moje wrażenia z U. S. A. i kwestja: co tam słyszać z Polską. Ludzie inteligentni wiedzą, że istnieje Polska, jako państwo, natomiast mają przeświadczenie, że Polska jest w stanie chaosu, niepewności jutra politycznego i gospodarczego. Jedyne człowiek, który wykazywał w tym względzie więcej informacji i więcej optymizmu, to był sędzia sądu wyższego (*superior Court*) z Bostonu p. David A. Lourie, który pod koniec rozmowy zaproponował przysłuchanie

się rozprawie sądowej. Propozycję przyjąłem ochoczo. Kiedy się ze mną żegnał, oświadczył, że interesuje się Polską, bo ma tam rodzinę. Pochodzi z okolic Wilna. Do U. S. A. przybył mając cztery lata, obecnie ma zamiar zrobić wycieczkę do Polski. Oczywiście Żyd. Mówi po angielsku tak poprawnie, tak książkowo, jak zwykle mówi danym językiem Żyd inteligentny. Ten Żyd, który Polski nie pamięta, wykazywał wiele ciepła, być może było to ciepło o podkładzie uczuć rodzinnych. Chce, żeby było w Polsce dobrze, bo chce, ażeby było dobrze jego rodzinie w Polsce zamieszkałej. Jednak może być w tem coś innego. Polscy Żydzi w Stanach mają swoistą twarz duchową.

Kiedy raz w Detroit przechadzałem się ulicą Frederick (małą, zaciszną, za Muzeum Sztuki) i rozmawiałem półgłosem po polsku, usłyszałem nagle: „Niech Panowie mówią głośno, to tak miło słyszeć ojczystą mowę“, życzenie to pochodziło od kobiety przeszło pięćdziesięcioletniej, ubranej więcej, niż skromnie, o typie semickim. Stała przed swoim domem. Przyjeliśmy wyzwanie, — okazało się, że dama ta nazywa się Bernstein, pochodzi z Tarnowa, ma czterech synów — prawników, jeden jest *prosecutor* w Chicago. Dom — przed którym stała, oczywiście jej własność, „czy tylko ten jeden? mamy więcej“. Dlaczego nie zapomniała mówić po polsku, choć nie mieszka w dzielnicy polskiej? bo z mężem rozmawia zawsze po polsku.

Zjawisko psychologiczne ciekawe. Żydzi polscy w Europie odnoszą się do polskości wrogo, wyjechawszy do U. S. A. mają jakiś sentyment. Kiedy w jesieni 1925 r. opowiadał nam o tem w senacie Aleksander Skrzyński, miałem uczucie, że mowa ta ma charakter polityczny (*zum Fenster hinaus*), że ma echem odbić się tam, gdzie pożyczają pieniądze. Przekonuję się, że ten sentyment istnieje naprawdę. Jaka jego podstawa? Mam uczucie, że ci ludzie jeszcze nie zapuścili korzeni w U. S. A., jeszcze czują się obco, brak im czegoś. — Nawet ten naród Nomadów może tęsknić za jakąś ojczyzną. Palestyna to myt, dobry dla agitacji sjonistycznej. Pozostaje Polska, gdzie mimo wszystko przez tyle wieków mieszkali ich przodkowie, mieszkają jeszcze dalecy krewni. Upływ czasu i oddalenie zasklepiło jakieś mniej lub więcej powierzchowne rany, kazało zapomnieć o jakichś urojonych pretensjach do społeczeństwa polskiego, został miraż żydowskich bożnic, lisich czapek w Sobotę, cmentarzy. Czy ten sentyment jest bryłą szczerzego złota, z której można „wykuć kapitał“ dla Polski, jak zapowiadał Al. Skrzyński, — na to pytanie nie umiem odpowiedzieć.

LIV.

Na placu *Union — square* w Nowym Yorku mieści się, jak brzmi oficjalna zapowiedź, ośrodek życia robotniczego (*Workers Center*). Na domu, który mu udzielił

gościny, zawieszono na czas wyborów prezydjalnych wielkich rozmiarów płótno z podaniem własnych kandydatów partji komunistycznej i dodaniem zwięzłego, soczystego komentarza, mówiącego o walce klas (*Class struggle*) i konieczności wystąpienia przeciw — pryncypałom (*against the bosses*); konkluzja: „Vote Communist!”

Dla wykończenia obrazu dodajmy, że w domu sąsiednim mieści się redakcja *Freiheit* — dziennika żydowskiego — dosłownie — a *Jewish Daily*, że pod napisem wzywającym do walki klas pomieszczono zapowiedź robotniczego bazaru, mającego się odbyć w październiku, a urządzanego przez redakcje czasopism *Daily Worker* i *Freiheit*. Pod manifestem podpisano: *The Workers (Communist) Party*. Komunizm w Nowym Yorku jest w rękach żydowskich tak samo, jak gdzieindziej, ale komunizm amerykański nie mówi wyraźnie o upaństwowieniu środków produkcji i uchyleniu prywatnej własności, jak gdzieindziej; mówi tylko o walce klas i o pryncypałach, robi to wrażenie niewinne, organizacji zawodowej pracowników, dla wspólnej akcji o poprawę bytu. Przypuszczam, że jest w tej taktyce pewne wyrachowanie. Mówić o uchyleniu prywatnej własności tam, gdzie robotnicy posiadają domy i samochody, to byłoby ryzykowne. Przypuszczam, że jest to także wynikiem konieczności — władze nie dopuściłyby pewnie do wywieszki zachwalającej socjalizację, bo uważałyby to za propagandę anarchizmu — pry-

watna własność jest uważana za podwalinę życia społecznego i państwowego. Anarchizm uważa się za doktrynę antypaństwową. Kandydat na obywatela U. S. A. musi zaprzysiądz, że nie jest — anarchistą. Oczywiście wysunięcie przez komunistów własnego kandydata na prezydenta ma na celu policzenie się przy wyborach „ilu nas jest“, zdaje się, że policzenie to będzie równocześnie statystyką robotników żydowskich w Nowym Yorku. Może to być cyfra znaczna, skoro w magazynach niektórych firm okrętowych spotkać można napisy przeznaczone dla robotników w trzech językach: po angielsku, włosku i żydowsku. Rozmawiałem nieraz o komunizmie amerykańskim, nikt go tu poważnie nie bierze, uważa się go za europejską aberrację przeniesioną do U. S. A. przez napływowych robociarzy, prowadzonych przez politycznych karierowiczów. Natomiast bardzo często zapytywano mnie o komunizm w Polsce, — pytano ostrożnie, czuć było jednak, że pytający mają wyobrażenie, jakoby lada dzień Polska stać się miała krajem sowjetów. Prawdopodobnie opinię taką urabiają Polsce ci, którym zależy, by U. S. A. nie miała zaufania do stałości stosunków politycznych, społecznych i gospodarczych w Polsce, bo takie zaufanie, to pożyczka, to podniesienie się Polski, które nie wszystkim jest na rękę.

LV.

„Sąd dla kobiet“. Jeżeli może być sąd dla nieletnich, dlaczego nie może być sąd dla kobiet, powiedziano sobie i utworzono taki sąd dla spraw, które się wiążą z życiem płciowem kobiety. Sąd taki istnieje w Nowym Yorku.

Otrzymawszy odpowiednią pomoc w osobie urzędnika amerykańskiego Stowarzyszenia więzienniczego, który mnie zaprowadził na miejsce, wchodzę na salę rozpraw, — otwarta, zdaje się ogólnie dostępna, pomimo, że mówi się o niedozwolonych stosunkach płciowych, o kuplerstwie, o oddawaniu się za pieniądze, o Alfonsach...

Za stołem sędziego siedzi w todze — kobieta o ładnych, poprawnych rysach i mądrych, pocziwych oczach. Urzędnik szepcze jej do ucha, że na sali jest gość z daleka. Poleca mu zaprowadzić gościa do siebie, za stół sędziowski, (jest to tutaj stała praktyka — to samo zrobił ze mną inny sędzia), witamy się; każe siadać obok siebie, udziela krótkiego objaśnienia i prowadzi dalej rozprawę przeciw dziewczynie, którą aresztowano razem ze znanym kuplerem. Słucha jako świadców — rodzinę obwinionej, i — uwalnia podejrzaną, pouczając, by unikała osobników nieznanych, którzy mogą ją sprowadzić na bezdroża. Cały szereg rozpraw spadło z porządku dziennego, wyznaczono rozprawę na dzień inny. Dlaczego? procedura Nowego Yorku prze-

widuje stawienie aresztowanego natychmiast przed sędziego najniższego typu (rodzaj sędziego powiatowego czy grodzkiego, według przyszłej procedury polskiej). Sędzia ten sprawę załatwia, o ile się da, albo odsyła do sądu wyższej kategorii, albo rozprawę wyznacza na dzień inny. Aresztowany, który chciałby odpowiadać z wolnej stopy złożyć musi kaucję. Damy od komercyjnej miłości muszą składać po 1.000 dolarów. Sędzia, pani Jean Norris, wyjaśnia, że ubiegłego roku żądała kaucji tylko we wysokości 500 dolarów. Wynik był taki, że ogólna suma kaucji przepadłych wyniosła 52.000 dolarów; 104 obwinionych uciekło przed rozprawą. Sąd dla kobiet zajmuje się sprawami sprzedażnej erotyki a nadto sprawami dziewcząt od 16 — 21 lat, które albo zbiegły z pod opieki, albo dostały się w niewłaściwe towarzystwo, wreszcie sklepowymi kradzieżami kobiet.

Ściganie sprzedażnej erotyki idzie bardzo daleko — istnieje osobny dział policji tajnej, która podstępnie przyjmuje oferty niewiast, nie wolno jednak dla ustalenia dowodu, jak mówi instrukcja, wejść w stosunki intymne (*sex relations*). Policja ma prawo wchodzić do mieszkań prywatnych, jeżeli zachodzi podejrzenie, że jest tam osoba tego rodzaju. Przesłuchanie nieznanego kobiecie mężczyzny stanowi może dowód, na okoliczność, czy miłość była odpłatną.

Poruszano kwestję, czy policja nie narusza w ten sposób nietykalności mieszkania, sprawa ta jest jednak

już rozstrzygniętą według ustaw Nowego Yorku, postępowanie policji w takim wypadku jest legalnem.

Nowy York nie idzie tak daleko, jak Massachusetts, który ściga wszelką miłość nielegalną. Nowy York ściga tylko *odpłatną* — miłość [nielegalną z *nieznany*m mężczyzną].

Czy walka ta z prostytutką ma zawsze powodzenie? Ma właśnie te same szanse, co walka z przestępczością. Jak długo ładna kobieta znajdować będzie amatora, który zechce za miłość płacić, tak długo istnieć będzie prostytutka równie dobrze, jak „małżeństwo z rozsądku“. Jedyne tamę stanowić może etyka, — ale nie ustawa karna.

Czy uważać pracę Nowego Yorku za zmarnowaną? Wcale nie. Niewątpliwym jej wynikiem jest oczywiście hypokryzja, — kobieta sprzedająca się robi to ostrożnie, ulica nawet w nocy wolną jest od scen takich, jakie w dzień odbywają się w Warszawie przy ul. Marszałkowskiej (można to, co prawda, osiągnąć znacznie prostszymi środkami). Nie zyskuje nic na tem cnota — ale zyskuje przyzwoitość, estetyka życia publicznego. Wynik tu jest taki sam, jak przy prohibicji — nie zapobiega się piciu, ale zapobiega się szynkom i pijackim awanturom.

Czy wpędzenie kobiet danego typu w konieczność szukania pomocy i ochrony przed policją nie wytwarza falangi Alfonsów i rozmaitych „matron“? to kwestja

inna. W sądzie dla kobiet — widziałem ludzi tego typu; było ich więcej niemal, niż kapłanek miłości. Tak jak prohibicja wytworzyła bootleggerów i hijakerów, tak ściganie prostytucji pomnożyło zastęp wyzyskiwaczy kobiet upadłych.

U. S. A. to kraj ludzi energicznych, którzy chcą pokazać Europie, że można rozwiązać problemy, których Europa rozwiązać nie potrafiła...

LVI.

Wyjeżdżam. Chcę zyskać na czasie, jadę Leviathanem, największym, lub jednym z dwu największych parowców świata. Nie mam zamiaru robić mu reklamy, parowiec jest zresztą własnością państwa (*United States Lines*), które reklamy nie potrzebuje. Wyobrażam sobie, że rozmiary statku odpowiadają amerykańskiemu gustowi, schlebiamy miłości własnej obywatela U. S. A. (długość 950 stóp, szerokość 100 stóp, — *displacement* 65.640 ton.). Rodzaj drapacza nieba, położonego horyzontalnie.

Siedzę na pokładzie i czytam w ostatnim numerze tygodnika: *The Saturday Evening Post* z 15. września str. 7. szereg zdań, które mnie utwierdzają w przekonaniu o wielkiej dumie, wielkiej pewności siebie, wielkiem upodobaniu w sobie tego społeczeństwa między Atlantykiem a Pacyfikiem, Kanadą i Panamą. *The United States of America is the motor of the world; we are the most progressive, the most prosperous, the most vital country. We are*

the greatest producers, the greatest consumers, the greatest distributors. Our standard of living, our standards of wages, our standards of education, of life in all its phases lead the world". Stany zjednoczone są motorem świata, jesteśmy krajem najbardziej postępowym, najzamożniejszym, najżywotniejszym. Jesteśmy największymi wytwórcami, największymi odbiorcami, największymi pośrednikami. Nasz poziom życia, nasz poziom płac, nasz poziom wychowania i życia we wszystkich kierunkach przewodzą światu. Czy to nie za wiele? U. S. A. mają braki, których nie widzą, bo nie znają tych potrzeb, które ma człowiek wychowany w Europie. Wszak społeczeństwo to przede wszystkim ma bardzo słabe wyczucie piękna. Pozwalam sobie na uogólnienie, bo te rzeczy rzucają się w oczy. — Niesmaczne jaskrawości w reklamach i w dekoracji możliwe są tylko w społeczeństwie, które niema poczucia smaku, nie ma zrozumienia harmonii barw. Na tem polu, na polu sztuki i estetyki U. S. A. nie mogą sobie rościć pretensji do roli przewodniej, daleko im do kultury włoskiej, francuskiej, lub nawet polskiej. Świat myśli? ci ludzie zapatrzeni w szczegóły techniczne życia nie są zdolni do syntezy, do opanowania zjawisk i ujęcia, nie już w teorję filozoficzną, ale w jakąkolwiek całość. Ich nauka prawa, to wykład przepisów obowiązujących, conajwyżej połączony ze sztuką interpretacji. W ostatnich czasach zaczynają się wydawnictwa o poziomie naukowym, ależ to są tłumaczenia książek europejskich, które mają wypełnić lukę w wykształceniu. Inaczej być nie może, ci ludzie są nastawieni na szybkie, intensywne wydobywanie z życia korzyści materialnych, a gdy

zrobi im się pusto, kliwio wśród zdobytego czy zdobywanego dobrobytu, to szukają wypełnienia w wierzeniach religijnych, które dają im gotową, swoistą filozofję.

Inaczej być nie może, człowiek żyjący na zewnątrz, wydobywający z przyrody co tylko ona dać może, stał się genialnym technikiem, doskonałym obserwatorem, logicznym kombinatorem — ale nie ma czasu na to, by samoistnie — myśleć.

Nawet ich sposób zdobywania wiedzy nastawiony jest na praktyczne zastosowanie uzyskanych wiadomości. Są Uniwersytety, w których nauka przeplatana jest pracą zarobkową: miesiąc wykładów, miesiąc pracy w fabryce.

Na lekturę nie ma czasu, książka naukowa jest uważana raczej za *Vademecum*, za poradnik w chwili potrzeby, niż za przedmiot studjów. Znamienne jest anegdota o jednym z najbardziej amerykańskich ludzi — o Hooverze. W szkołach nie chciał uczyć się przedmiotów, dla których istniały podręczniki. „Poco ja mam się tego uczyć, jak będę potrzebował informacji, zagłdnę do podręcznika“.

Dlatego umysłowość tych ludzi pełna świeżości i elastyczności, oryginalnych poglądów często wykazuje brak erudycji a nawet podstawowych wiadomości, poza bardzo ciasnym zakresem zawodu.

To są rzeczy naturalne, wszak przed wojną, kiedy Polacy żyli w trzech zaborach, jak w trzech odrębnych

światach, można było obserwować stosunek mentalności w Wielkopolsce i Małopolsce. Wielkopolanin oszczędny, pracowity, zapobiegliwy, doskonały gospodarz był umysłowo silnie zacofany, zato w Krakowie i okolicy panował kult wiedzy, piękna przy równoczesnym zaniku cnót gospodarczych.

U. S. A. nie mają czasu na luksus myśli — *la luxure de la pensée*, przyznają to często sami: *we are too lazy to think...*

Przywódcy życia gospodarczego znajdują estetykę swoistą we wytwórczości, a masa pracowników w zbieraniu pieniędzy. Przybywa do tego czynnik czysto fizjologiczny — zmęczenie. Człowiek wyczerpany pracą myśli o odpoczynku, lub o rozrywce — o przejażdżce samochodem gdziekolwiek, lub o przedstawieniu kinowem. Nie jest w stanie czytać dziennika. Warto obserwować mieszkańca Stanów, który zakupił kilka gazet o olbrzymiej zawartości papieru i czcionek, gotów jest w kilkanaście minut; przerzucone gazety zostawia na ławce na pastwę wiatru. Dziennikarstwo tutejsze dostosowuje się też do stanu umysłu człowieka zmęczonego — daje krzykliwe nagłówki, jaknajwięcej ilustracji, koniecznie kącik humorystyczny (*funny*). Zmęczonego człowieka zajmie to, co nie wymaga myśli — sport. Kto najprędzej biega, najwyżej skacze, kto przelatuje Atlantyk, kto jest szampionem tenisa, ciężkiej i lekkiej atletyki — oto są problemy ciekawe. Pozatem kino. — Najważniej-

sze osobistości, to popularni artyści kinowi. Pola Negri spadła w Paryżu z konia, inna rozwodzi się z mężem po miesiącu zabawy w małżeństwo, to są wiadomości emocjonujące.

Our standards of living... lead the world. Tak, to prawda, stopa życia mieszkańca U. S. A. jest niesłychanie wysoka i w tem tkwi bardzo wielkie niebezpieczeństwo, na które nie zwraca się uwagi. Ford sformułował hasło, które było w powietrzu: „należy stwarzać nowe potrzeby, by zmuszać człowieka do nowego wysiłku dla ich zaspokojenia“. Teorja dobra dla producentów, którzy chcą rozszerzyć wewnętrzny rynek zbytu. Teorja niebezpieczna z punktu widzenia etycznego, — wytwarza ludzi nieszczęśliwych, gdy potrzeb nie potrafią zaspokoić. Wszak zagadka szczęścia polega na braku potrzeb; (znana jest indyjska bajka o księciu, który szukał koszuli człowieka szczęśliwego, a znalazł śpiewającego włóczęgę — bez koszuli, odwrotnie „Arab“ (Słowacki) robi nieszczęśliwym nurka rzucając w jego oczach wielką perłę w morze). Teorja niebezpieczna, bo wytwarza zbrodniarzy, gdy droga pracy jest zamknięta lub nie wiedzie szybko do celu. Za pewnik przyjmujemy w kryminalistyce, że zbrodnia w wielkich miastach jest wynikiem chęci używania, a nie braku środków do utrzymania życia. U. S. A. skarżą się na rosnącą falę zbrodniczości, szukają przyczyny, jedni widzą ją w nadmiernej łagodności sądów (co roku piętnaście osób gi-

nie na elektrycznem krześle w Sing-Sing, za zbrodnie popełnione w jednym tylko stanie Nowo-Yorskim), inni widzą przyczynę w niskim poziomie moralnym przybyszów z Europy i zamykają granice.

Nikt nie zwraca uwagi na zmaterjalizowanie społeczeństwa pod hasłem tworzenia nowych potrzeb, nowych pragnień. Kobietom, które muszą się obchodzić bez służącej, a imię ich miliony, — które muszą same myć talerze, — opowiada się, że muszą mieć mimo to piękne ręce; niech kupują drogie kosmetyki.

Teorja zwiększania potrzeb, podnoszenia stopy życia może mieć fatalne następstwa socjalne. Dziś jest konjunktura pomyślna — *prosperity* — 120 milionów ludzi z tego korzysta, prowadzi życie dostatnie lub zbytkowe. A jeżeli konjunktura się zmieni? Odpowiedź brzmi: „to jest niemożliwością, bo choćby U. S. A. straciły zagraniczne rynki zbytu, to zawsze zostanie rynek wewnętrzny, podniesie się jeszcze zapotrzebowanie klasy pracującej“. Zdaje mi się, że jest tu pewna granica, której przekroczyć nie można. Na to, by pracownik mógł zaspokajać potrzeby w sposób dwa razy intensywniejszy, niż to czyni dzisiaj, trzeba, by miał dwa razy większe środki materjalne, a więc dwa razy większą płacę. To musi odbić się na cenie produktu, a cena zwiększona nie tylko, że do reszty zamknie możliwość eksportu, ale zmniejszy możliwość sprzedaży wewnętrznej, bo między konsumentami są także ludzie o stałych dochodach.

Nadejść może chwila importu z zewnątrz. Już dziś można widzieć samochody europejskie w U. S. A. Ekonomisci tutejsi śmieją się z angielskiego sposobu budowania domów, używającego t. zw. koźlarzy do noszenia cegieł i wapna. W U. S. A. służy do tego winda (*pater - noster*). Ma to być przykład niezaradności europejskiej. Czy Europa nie potrafi nigdy wprowadzić amerykańskich ułatwień w produkcji i amerykańskiej organizacji pracy?

Europa potrafi się odrodzić, zwłaszcza z chwilą, gdy U. S. A. zamknie granice dla imigracji, wszak emigrant, to pierwszorzędna siła produkcyjna, to człowiek energiczny, który chce pracować i umie pracować. {*Die Lumpen bleiben zu Hause...* (Bismarck).

Może przyjść do przesilenia gospodarczego w U. S. A. a wtedy armia robotników o zwiększonych potrzebach, a bez środków do zaspokojenia jakichkolwiek potrzeb może stać się groźnym fermentem.

Twierdzą znawcy, że wielki przemysł nie boi się fermentów, bo ma własną policję, ma swoich ludzi zaufania, ma przygotowanych łamistrajków. Wszystko to wystarczy, jak długo chodzić będzie o chwilowe nieporozumienie co do warunków pracy. Ale co robić, gdy trzeba będzie zmniejszać produkcję, zamykać zakłady przemysłowe, gdy objawem stałym stanie się bezrobocie. Wtedy nie będzie to sprawa jednego fabrykanta, czy jednej gałęzi przemysłu, — wtedy powstanie kwestja

społeczna, tembardziej piekąca, im bardziej społeczeństwo wychowanem będzie w kulcie zwiększania — potrzeb.

LVII.

Prosperity... pod tym hasłem odbywać się będą wybory. Specjalnie Hoover i Republikanie idą z tem hasłem do urny wyborczej, — Hoover ma prolongować erę dobrobytu z czasów Colidgea.

Prosperity — jesteśmy najbogatszym narodem świata, *our prosperity is higher than anywhere else*, jesteśmy kierownikami...

Boże, jakie wspomnienia budzi we mnie ta fanfaronada. Byłem młodym bardzo, gdy dla uzupełnienia studjów uniwersyteckich wyjechałem do Halli nad Saalą, miasta przemysłowego w pruskiej części Saksonji. Pamiętam wykład etnologa, prof. Kirchhofa, starca siwowłosego, który potrącając o zbiorową megalomanię narodów przestrzegał słuchaczów: *Meine Herren, nur nicht übermütig!*

Na to sala odpowiedziała szuraniem stopami (oznaka niezadowolenia): „możecie panowie szurać, ile chcecie, ja powtarzam raz jeszcze, — *nur nicht übermütig*“. Było to w czasie najwyższego rozwoju przemysłu, nauki, militaryzmu, dobrobytu w Prusiech. Berlin pulsował tętnem wielkoświatowem. Polak czuł się nędznym robakiem, deptanym przez potężny but, było to prawie dwadzieścia lat przed wybuchem wielkiej wojny.

A jednak... Wszak były czasy także wielkiego imperjum rzymskiego, były czasy, gdy w państwie Karola V. słońce nie zachodziło... A jednak... *Meine Herren, nur nicht übermütig...*

LVIII.

Wychodźstwo do U. S. A. miało charakter często ideowy w XVIII w.

Ludzie, którym było ciasno w Europie uciekali do kraju wolności przed prześladowaniem z powodu wierzeń religijnych, lub poglądów politycznych. Ci ludzie byli w stanie przeprowadzić akcję rewolucyjną przeciw Anglii, uzyskać niepodległość, zbudować nowe państwo. Wychodźstwo późniejsze, zwłaszcza w drugiej połowie wieku XIX. i XX. ma charakter wybitnie — gospodarczy, komu w Europie źle się powodzi ekonomicznie, jedzie do Ameryki, a zwłaszcza do U. S. A. — by się czegoś dorobić. Przywozi z sobą siłę fizyczną i silną wolę, pozatem zwykle małą inteligencję. Pracuje, oszczędza, pracuje w obcym przedsiębiorstwie, czasem zakłada własne. Cała uwaga skupiona jest na zarobek i dorobek. W U. S. A. mówi się stale o dżab (*job*) i byznes (*business*). Ludzi tego typu spotyka się ciągle, niemal wyłącznie. Ci ludzie nie mają ani zainteresowania, ani zrozumienia dla spraw leżących poza zarobkiem i dorobkiem. Pracą ogłuszeni nie rozwijają swej skromnej inteligencji, nie mają do tego ani czasu, ani ochoty. Przypominają owych

polских biurokratów, którzy załatwiając przez osiem godzin dziennie biurowe „kawalki“ według pewnych wzorów, mówili o sobie z goryczą; „człowiek z każdym dniem głupieje i coraz lepiej się do służby zaprawia“.

Wychodźca w U. S. A. zaprzężnięty do monotonnie jednakowego typu pracy, nie mówi tego o sobie, a najmniej ma ochoty do goryczy, on zarabia, a ma za mało inteligencji, by zrozumieć, jak zabójczą dla umysłu jest ta monotonia. Pewien konsul mówił raz do europejskiego młodzieńca: „poco pan tu przyjechałeś, to dobre dla chłopów, ale nie dla inteligentnego człowieka“. Jest typ pracy mniej monotony, — to spekulacja, ale ta wyjaławia umysł jeszcze silniej.

Cała wielkość gospodarcza U. S. A. polega na tem, że posiada wielki odsetek ludzi obsługujących maszyny bez szemrania, bo nowożytna organizacja pracy nie potrzebuje inteligentów, potrzebuje jak najwięcej ludzkich — automatów.

Ale ci ludzie są równocześnie obywatelami U. S. A. o pełnych prawach, obywatelami, którzy mają wpływ bezpośredni lub pośredni na ustawodawstwo, administrację i sądownictwo. Wszak oni wybierają ustawodawców, prezydentów, gubernatorów, a nawet sędziów. Jakie są tego wyniki? Ustawodawstwo nietylko rozbite na poszczególne stany, ale nawet w każdym stanie z osobna chaotyczne, niejasne, rozrzucone. W stanie Massachusetts, jednym z najbardziej postępowych stanów

(stolica — Boston, który dał przez demonstrację z powodu cła na herbatę początek do dramatycznej walki o niepodległość), pytam o kodeks karny. Niema. Gdzie szukać wiadomości o tem, co jest przestępstwem? W General Laws. Pokazują mi dwa grube tomy, przeglądam — ależ to oczywista komplikacja w typie polskich Volumina Legum z XVIII. wieku. Materję karną mimo kompilacji rozbito na kilka części; z natury rzeczy postanowienia prawne nie są powiązane z sobą. Oczywiście można przytoczyć argument w obronie tego systemu — Anglja ma sytuację identyczną. Zachodzi jednak pewna różnica: Anglja ma sędziów fachowych nominowanych, a U. S. A. mają sędziów — wybieranych.

Administracja w U. S. A., to także ludzie wybierani, albo później przez wybranych dobrani. Rządzą ci, którzy zwyciężyli przy politycznych wyborach. Rządzić będą, dopóki ich wola ludu przy następujących wyborach nie usunie. Oczywiście rządzą po dyletancku, kierując się tylko chłopskim rozumem i względami politycznemi.

W jednej z bibliotek (*Social Library* przy Bostońskim *Supreme Court*) znalazłem angielskie tłumaczenie Fagueta: *le culte de l'incompetence*. Przypomniało mi się polskie określenie pewnych sytuacji: „głos wołającego na puszczy”. Czy jednak ci ludzie, którzy przemysliwają nad drobnymi szczegółami, jak ułatwić ruch uliczny

w Nowym Yorku, nie zastanawiają się nad tem, jak poprawić zasadniczo budowę państwa?

Przypuszczam, że nie, skoro trzeba dopiero opinię publiczną poruszać, jak to czyni George W. Alger w *Atlantic Monthly* (za sierpień) str. 225 w prostych stwierdzeniach:

American intelligence, imagination and capacity for organization have been diverted from problems of government to problems of industry. We have neglected our political organization to perfect an organization of industry unparalleled in the world...

(Amerykańską inteligencję, fantazję i zdolność organizacyjną odwrócono od spraw państwowych do spraw przemysłowych, zaniedbaliśmy organizację polityczną na to, by udoskonalić organizację przemysłową w sposób niebywały).

Cieszę się, że znalazłem to zdanie w artykule amerykańskim (poświęconym innej materji), bo gdybym powiedział to od siebie posądzono by mnie o niechęć Europejczyka, czy też niezdolność zrozumienia odrębnych stosunków.

Moloch rozwoju ekonomicznego pochłania co najlepsze, najdzielniejsze.

Niema ludzi do organizacji nowożytnego państwa, niema ludzi do wykonania woli państwowej, niema sędziów stojących na wysokości zadania. Wszystko jest rzeczą przypadku. Bywają wyjątkowi ludzie, wyjątkowe

kobiety, wyjątkowi sędziowie, wyjątkowi kierownicy zakładów poprawczych, karnych, czy innych.

Ale to są wyjątki, tylko wyjątki.

A jednak U. S. A. istnieją, rozwijają się., lecz „robak się łęgnie i w najbujniejszym kwiecie“.

George W. Alger pomieścił swe uwagi w artykule pod tytułem bardzo znamienitym: *The irritating efficacy of English criminal justice* — sprawność i skuteczność angielskiego wymiaru sprawiedliwości karnej wyprowadza go z równowagi. Anglja wobec zmniejszania się przestępczości zamyka więzienia, wysprzedaje budynki więzienne, — i to mimo przesilenia ekonomicznego. W U. S. A. oficjalne stwierdzenia (*National Committee on Prison and Prison Labor*) wykazują wzrost przestępczości od roku 1923 o 27% — mimo owej sławnej — *prosperity* i równie sławnej *opportunity*.

Porównanie z Anglja wykazuje niepomierne wysokie odsetek spraw, w których sprawcy nie odszukano w U. S. A.

Tak stwierdza George W. Alger.

Notorycznem jest, że wobec braku sprawności amerykańskiej policji — miljonerzy utrzymują policję prywatną; czy to nie zakrawa na stosunki polskie XVIII. wieku i organizacje militarne magnatów, wobec niesprawności aparatu państwowego.

Przy każdorazowej zmianie kierunku politycznego urzędnicy tracą posady, — czy to nie motyw do zabezpieczenia sobie przyszłości w czasie urzędowania?

A nad tem wszystkim góruje — ciągłe, systematyczne, rozmyślne, podnoszenie stopy życia, budzenie nowych potrzeb, nowych pragnień, *la contagion du luxe*. Cóż to za niebezpieczna zabawa!

LIX.

Zapytywałem niejednokrotnie mieszkańców U. S. A. o różnicę zachodzącą między stronnictwem republikańców i demokratów. Te tylko stronnictwa odgrywają rolę w życiu politycznem Stanów. Otrzymywałem zwykle odpowiedzi niejasne lub wymijające, przypuszczałem, że są to sprawy bardzo delikatne, o których z cudzoziemcem mówić nie wypada; przychodziło mi czasem na myśl, że zapytany jest poprostu ignorantem politycznym. Wracając do Europy zadałem to samo pytanie lekarzowi z Colorado jadącemu na studia do Wiednia. Odpowiedział krótko: „różnica jest ta, że republikanie są obecnie przy władzy, a demokraci nie“... Uważałem odpowiedź za żart. Nie chcąc wracać do Europy nie mając o tej sprawie pojęcia zabrałem się do szukania odpowiedzi w bibliotece okrętowej. Napotkałem na dwutomowe dzieło James Bryce *The american commonwealth 1921*. W tomie II. str. 21 znalazłem w końcu stwierdzenie faktu:

Neither party has as a party, anything definite to say, neither party has any clean-cut principles, any distinctive tenets... Both have certainly war cries, organizations, interests,

enlisted in their support. But these interests are in the main the interests of getting or keeping the patronage of the government...

(Żadne stronnictwo niema jako takie nic stanowczego do powiedzenia... żadne nie ma ostro nakreślonych zasad czy wytycznych... Oba stronnictwa rozporządzają oczywiście hasłami bojowymi i organizacją, mają interesy zaznaczone do popierania... Interesy te tkwią głównie w chęci zyskania wpływów, lub utrzymania się przy wpływach na rząd...).

Sprawa stoi zupełnie jasno. Stronnictwa amerykańskie podobne są do stronnictw naszych po wsiach lub miasteczkach, gdzie tworzą się organizacje dla zdobycia krzesła wójtowskiego, czy prezydjalnego, zaczęły idzie szereg posad, synekur, koncesyjek, dostaw. Jest stronnictwo Bartosza i stronnictwo Wincentego, nikt nie pyta się o program, są tylko ciche układy co do podziału łupów. W czasie agitacji wyborczej, gdy chodzi o stanowisko prezydenta Stanów nie widziałem ogłoszeń z jakimś programem, czy hasłem — Republikanie wywieszali portret Hoovera z zapowiedzią dalszego ciągu polityki Coolidgea w kierunku — *prosperity*. To chyba nie jest hasło bojowe.

Za to na samochodach widniały napisy: Al. Smith, albo — Hoover. Krótko węzłowato: partja Al. Smitha, partja Hoovera.

Jak taka partja przyjdzie do rządów, dzieli się stanowiskami jak łupem (*to the victor the spoils*) i rządziłaby samowładnie i terorystycznie, gdyby nie obawa przyszłych wyborów, obawa przed opinią publiczną. Opinia publiczna ocenia działalność partji rządzącej według jej wyników.

W Europie życie polityczne zaczyna się od „światopoglądów“. Najprzód program. Ludzie, którzy ubiegają się o mandat z innych zupełnie względów szukają zawsze liścia figowego — programu. Stronnictwa starają się o hasła mocne, by się odciąć od innych. W U. S. A., to tylko kwestja osób. Rządzi się nie według programu, a według zdrowego rozsądku, chłopskiego rozumu, po wójtowsku. Także w życiu politycznem stronnictw, podobnie jak w budowie państwa, zabrakło czasu na przemyślanie, na system, na syntezę. Stronnictwo zwycięskie rządzi; prezydent Stanów ma wielki wpływ, bo za nim stoi zwycięskie stronnictwo, rządzi, jak potrafi najlepiej, albo jak tego wymagają interesy, „krąg interesów“. Cały ten aparat rządowo-polityczny robi wrażenie jednego wielkiego partykularza.

Przyznać trzeba, że ten brak ostro zarysowanych programów u stronnictw ma swe dobre strony. — Gdyby przyszła do rządów partja na podstawie ostro zarysowanego programu, — zmieniałaby nie tylko ludzi, ale i system. Przypuśćmy, żeby co kilka lat zmieniało się stronnictwo liberalne ze socjalistycznym, coby to za

zamieszanie wynikało. W U. S. A. system się nie zmienia, zmieniają się ludzie. Polityczny kalejdoskop Stanów obraca się stale koło jednej osi — rozwoju gospodarczego. Ludwik Filip podobno radził Polakom pogrążonym w rozpacz po nieudanych wysiłkach odzyskania niepodległości: *Enrichissez — vous*. U. S. A. bez obcej rady uznają, że to hasło mieści w sobie wielki polityczny program. Stosują się do niego wszyscy, stosują się partje.

LX.

Wycieczka amerykańska nie skończyła się z chwilą przybycia okrętu do portu w Cherbourg. Bardzo amerykański był sposób expedjowania pasażerów, na których w Cherbourgju czekał specjalny pociąg t. zw. okrętowy (*boattrain*) z napisami na oknach *United States Lines*. Każdy pasażer otrzymał szereg nalepek z numerem wagonu i przedziału, w którym miał usiąść. Nalepki przeznaczone były do przyklejania na bagażu ręcznym. Na komorze celnej bagaż spoczywał według liter i liczb, służba na dworcu wносиła walizki, kuferki, torby do oznaczonego z góry przedziału. Najmniejszego zamieszania, wszystko odbyło się szybko i sprawnie. Organizacja...

Pasażerowie jadą pociągiem, tak, jak jechali na okręcie. Klasa pierwsza, druga i... turyści. Pytam się kogoś, kogo przedstawia klasa I i II, jeżeli oczywista klasa

trzecia służy turystom. Słyszę odpowiedź widocznie gotową: drugą klasą jadą miljonerzy, a pierwszą — bootleggerzy (przemytnicy alkoholu). Oczywiście wiele było w tem przesady, podyktowanej zawiścią — pierwsza klasa na Lewiatanie rozwija luksus - amerykański — nie tylko co do sposobu urządzenia, ale także ilości przestrzeni poświęconej na sale (bibliotekę, salę koncertową czy do tańca, dalej rodzaj *tearoomu* kombinowany z ogrodem zimowym, palarnię).

W pociągu wchodzi do przedziału jeden z „miljonerów“ o typie południowca Europejczyka, z grzywą (modną obecnie we Włoszech) — to blacharz (*tinsmith*) z 42 ulicy N. Yorku (centrum), jedzie na tydzień do Paryża, 2 miesiące do Włoch i znów miesiąc spędzi w Paryżu. Ruchliwy, zadowolony, zwłaszcza, gdy może po włosku zapewnić, że interes idzie mu doskonale.

Na stacji Caen stajemy na kilka minut, „miljonerzy“ wysypują się na peron, informują się o sposób wymawiania nazwy Caen.

Jeden wykrzykuje: „patrzcie: oni noszą jeszcze kapelusze słomkowe... po 15 tym września“! Zdumienie, zgorszenie, przerażenie... Ruszamy... Przysiada się do mnie para małżeńska z Florydy, partnerzy od *bridgea* na statku z prośbą, by się nimi zaopiekować przez pierwszy wieczór, potem zajmie się nimi Cook, nie znają ani kraju, ani języka.

Cóż robić — bliźniemu w takiej opresji nie można odmówić pomocy.

Paryż... Wysiadamy, ktoś chwyta mnie za rękę, ściska i woła „*a rivederla*” — to Włoch z grzywą.

LXI.

Wieczorem prowadzę małżeńską parę z Florydy poprzez Av. de l'Opera z Boulevard Hausman w kierunku pól Elizejskich.

Już na skręcie, gdy mijamy zabudowania Louvre'u — pani woła: — „ach jak tu pięknie”. — W ogrodzie Tuileryjskim prawie pusto, — światła zwolna się zapalają. Jest nastrój uroczysty, tajemniczy — feerja. Przechodzimy na most koło Louvreu. — Ze środka patrzymy na cicho przesuwającą się Sekwanę, na dalsze mosty, na *hirondelles* mknące od czasu do czasu, jak przed 30 laty. Idziemy zwolna na plac Zgody — tonący w morzu światła, przed nami pola Elizejskie z konturami Łuku tryumfalnego... Towarzysze moi są oszołomieni. Pani wydaje okrzyki zachwytu, potem — milknie. Pan (patryjota amerykański) zauważa, że takie „coś” powinno być w każdym mieście amerykańskim... Jasne stało mu się prawdopodobnie, że nie ze wszystkim biedna Europa uboższą jest od zamożnej Ameryki.

43

